

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





13565
POD ZNAKIEM NACJONALIZMU

WACŁAW BUDZYŃSKI

L U F C I K
N A Ś W I A T

BIBLIOTEKA „JUTRA PRACY”
UL. NOWY ŚWIAT 21
WARSZAWA

LUFCIK NA ŚWIAT

TEGOŻ AUTORA:

ZNACZENIE DOMÓW LUDOWYCH. Nakładem Centralnego Związku Kółek Rolniczych w Warszawie, 1918 r.

CO TO JEST KRYTYKA TEATRALNA. Nakładem „Drużyny“, Warszawa 1919 r.

SNY I RZECZYWISTOŚĆ (poezje). Nakładem wyd. „Światło“, Warszawa, 1920 r.

Z PIERWSZYM SZWADRONEM. Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa, 1920 r.

Vicente Blasco Ibanez. KREW NA ARENIE. Powieść tłumaczona z hiszpańskiego wspólnie z Edmundem Tymińskim, Warszawa, 1924 r.

POD ZNAKIEM NACJONALIZMU

WACŁAW BUDZYŃSKI

LUFCIK NA ŚWIAT

„LUFT, LUFCIK = PRZEWIEW
WOLNEGO POWIETRZA”

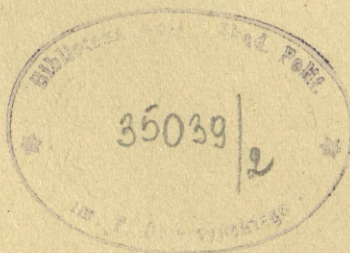
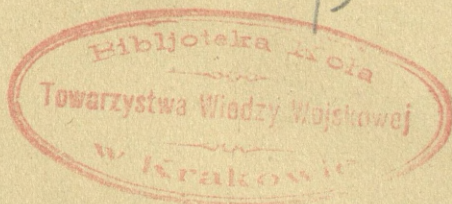
SŁOWNIK LINDEGO

WARSZAWA 1937.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „JUTRO PRACY”.
NOWY ŚWIAT 21

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone
Copyright by Wacław Budzyński nineteen hundred thirty seven.

18345/1



L U F C I K N A Ś W I A T

Z okien mego mieszkania mam rozległy widok: bliżej — na forty dawnej cytadeli, dalej — na Wisłę. Na fortach nie sterczy już obcy żołdat na straży i nie tkwią armaty, które kiedyś groziły stąd miastu. Jest na tym miejscu park, kwitną kwiaty na zboczach, dzieci się bawią, idzie zupełnie inne, nowe życie. Coś się zmieniło zasadniczo, przebudowane zostało i kształtuje się wciąż, bez przerwy, przez nas i po nas. Tylko Wisła ciągle ta sama, od prawników, rzeka naszego plemienia. Poza rzeczywistością bliższą, zmienną, burzoną i przebudowywaną, ta dalsza rzeczywistość trwa i trwa, w swej istocie płynącej wiekuista.

Mamy więc przed sobą jak gdyby dwie rzeczywistości. Bliższa zależy od nas, nadajemy jej dowolny, taki lub owaki kształt, urządzamy ją, jeśli tracimy, to znowu zdobywamy i wydźwigamy z rumowiska, podczas gdy dalsza płynie i płynie wiekuistą, historyczną rzeką. W jednej wypowiadamy się, druga w nas się wypowiada, obejmuje i ponosi żywiołowo od swych źródeł w ziemi aż do ujścia w świat. I to jest życie narodowe. Splot dwóch, zawsze w człowieku obecnych rzeczywistości.

Wszystko jedno skąd, w kim i jak wylania się myśl narodowa. Dość, że się wylania, rozpościera skrzydła, wlatuje i porywa za sobą do czynu. Myśl na peryferiach działania budzi człowieka w służbie idei. Następuje znów splot

jak gdyby dwóch rzeczywistości, jednej zastanej z drugą wymarzoną. Druga musi przyjść na miejsce pierwszej. Zbytni jednak pośpiech w ich przedstawianiu mógłby spowodować eksplozję, katastrofalne zderzenie tego co powinno być z tym co nas otacza. Tymbardziej, że robi się w ojczyźnie dziwnie ciasno i duszno, łakniemy świeżego powiewu, szukamy sposobów wyjścia. Życie dzisiejsze domaga się przebudowy, woła o sens, o plan, o myśl...

Trzeba nareszcie otworzyć lufcik na świat.

Nieprawda, że winniśmy się jako naród odgrodzić i pozamykać od obcych wzorów i że dopiero w takiej zabitej deskami parafii polskiej okrzepnie i zatriumfuje rodzima koncepcja przebudowy, „polonizm“ ustrojowy i kulturalny. Nieprawda, bo zawsze było i jest inaczej. Polak im gruntowniej się cywilizował, tym wyraźniej stawał się Polakiem. Od obcych przyjęliśmy religię katolicką, od obcych braliśmy system organizowania siły zbiorowej narodu. Pod wybitnym wpływem Europy i jej szkół rozwinął się wspaniale nasz wiek XVI. W skrócie — duch i państwo, Stefan Batory i Jan Kochanowski. Nigdy Polska nie była bardziej polska i w większej mocy twórczej na wewnątrz i na zewnątrz, aniżeli wówczas. Natomiast przesadna izolacja swojskości co dała? Sarmatyzm XVIII wieku, co stało się równoznaczne z ciemnotą i niewolą. Rehabilituje Polaka i regeneruje naszą moc narodową ponowne nawiązanie kontaktu ze światem za pośrednictwem Legionów Dąbrowskiego, żołnierzy i oficerów wielkiej emigracji XIX wieku, oraz pokoleń działaczy na przełomie lat ostatnich. Oni nam przyswajali obcą myśl, oni — powiedziałbym — otwierali swój lufcik na świat, nie tracąc nigdy poczucia odrębnej polskiej rzeczywistości.

Mój „Lufcik na świat“ nie jest książką oryginalną, ani

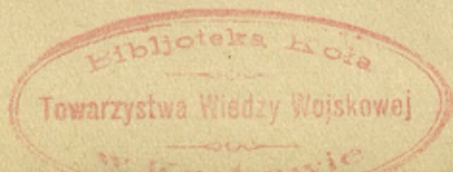
nie usiłuje informować wyczerpująco. Mój „Lufcik na świat“, to zbiór skromnych artykułów, drukowanych w tygodniku „Jutro Pracy“, na marginesie zdarzeń aktualnych i pasjonujących problemów dnia. To streszczenie książek przeczytanych, kompilacja wiadomości z różnych czasopism zagranicznych, fragmenty niekiedy żywcem wzięte i przytoczone. Starłem się w nich raczej nie siebie wypowiadać, lecz szukać sprężyn działania, źródeł każdego ruchu masowego, zasad osłanianych hasłami lub szyldami, które jakże często kłamią treści. Mój „Lufcik na świat“ to przegląd myśli obcej na peryferiach działania, pościg za myślą przetwarzaną w ruch zbiorowy. Na jakiej drodze odbywa się przetwarzanie myśli w ruch i ostatecznie po co, — to staram się wysledzić, na to odpowiem „Lufcik na świat“.

I stąd dochodzę do pewnych wniosków. 1^o Duch czasu tchnie zdecydowanym nacjonalizmem. Oczywiście w ujęciu całkowicie nowoczesnym, chodzi bowiem nie tylko o miejsce realne pod słońcem dla ciała, ale i o duszę, o swój osobliwy ton narodowy, o koncepcję człowieka, o sens i cel tego, że się jest np. Polakiem, Włochem, Anglikiem, Francuzem i t. d. 2^o Runęły, pogięły się i potłamały dotychczasowe formy, określenia, terminy i nazwy. Nacjonalizm jest tak samo radykalny w przebudowie społecznej jak socjalizm. Tylko szczęście ludzkie opiera na zasadach wolności indywidualnej i chrześcijańskiej, a nie na kolektywnej i kómunistycznej. 3^o Faszyzacja ustrojów państwowych w świecie wyszła ze środowisk demokracji lewicowej, gdyż ta walczyła o sprawiedliwość społeczną dla mas. Tutaj geneza takich postaci i zjawisk historycznych, jak: Lenin, Mussolini, Piłsudski, Kamal Atatürk, Hitler, Roosevelt. Faszyzacja ta bez względu na różnice narodowe i polityczne polega na zwal-

czaniu absolutnego liberalizmu, na koncepcji państwa jako w mniejszym lub większym stopniu obozu warownego, na piastowaniu w duszy wodza tęsknoty tłumów. Faszyzm operuje politycznie masami, doktrynalnie szczęściem mas i w technice plebiscytowej nie różni się zasadniczo od komunizmu. 4° Ale to jeszcze nie jest nacjonalizm.

Tymczasem we wszystkich ruchach masowych świata, we wtórujących im doktrynach i przejawach życia wyczuwa się nacjonalizm niby utajony krzyk krwi. Budzi się w masach człowiek swojego narodu, człowiek w którym żyją dwie rzeczywistości, bliższa i dalsza, dzisiejsza i wiekuista. Gustaw i Konrad w ujęciu mickiewiczowskim, tylko że razem w jednym, a nie jeden zamiast drugiego. I zaczyna się powszechny w Gustawach bunt Konradów. Wybuchą idea narodowa. Narazie odbywa się proces wulkaniczny, w odruchach, w łamaniu norm zaskorupałych, w konfliktach jakże często pełnych brutalności i grozy. Ale to nic. Instynkt plemienny musi objawiać się najpierw tak prymitywnie, pięścią i obuchem. Po barbarzyńsku, lecz zbawiennie, gdyż instynkt plemienny nie zawodzi. Rychło jednak następuje druga faza — idei narodowej w uświadomieniu mas.

Ten czas już nadszedł. Wchodzimy zdecydowanie w epokę nową — pod znakiem nacjonalizmu. Głosimy mobilizację Konradów. Myśl narodowa przeistacza się w ruch nacjonalistyczny, w ideę nacjonalizmu żelaznego. Zdobywcza siła, promieniujący duch narodu — to nacjonalizm żelazny. Tak jest, albowiem dokopywać się doń trzeba, niby do rudy, w najgłębszych warstwach narodu, łupać kilofami i rozsadzać ścianę kamienną, przetapiać w piecach wysokiej techniki na szyny i belki i z nich dopiero montować kościec nowoczesnej przebudowy świata.



GANGSTER W POLITYCE

Na Prezydenta Stanów Zjednoczonych A. P., Roosevelta, patrzy świat jako na czempiona Młodej Ameryki, który przeciwstawia się starym mocom swego kraju. Walka prowadzona jest na śmierć i życie, o byt albo niebyt, i dojść może albo do zwycięstwa i, co za tym idzie, do przebudowy gospodarczej kapitalizmu, albo do straszliwego bankructwa, od którego zadrży cały świat. Aut — aut. Tertium non datur.

Siła fatalna, pchająca Amerykę ku tej rozgrywce, sunie jak gdyby po dwóch taśmach; jednej gospodarczej, drugiej politycznej. Obie tak się dziś splątały ze sobą w węzeł, że wszystko zda się wołać o Aleksandra i jego miecz.

Nowy plan rooseveltowski w dziedzinie przemysłu i pracy został w pierwszej fazie obalony wyrokiem Sądu Najwyższego. To samo spotkało plan rolny, t. zw. A.A.A. (Agricultural Adjustment Act), który przewidywał użycie 5 miliardów dolarów na podźwignięcie rolnictwa z kryzysu i na który rolnik amerykański czekał jako na akt sprawiedliwości. Wyrok zapadł nie na skutek rozważań zasadniczych *pro* czy *contra*, lecz na mocy litery prawa w konstytucji. Litera zatriumfowała nad myślą.

Potężną rolę w urabianiu opinii przeciw Rooseveltowi odgrywa trust prasowy Hearsta. Ten niekoronowany, ale prawdziwy król gazet, sięgający swym wpływem od N. Yorku po Kalifornię, jest „republikaninem“ i zwolennikiem Hoovera, podczas gdy Roosevelt jest „demokratą“.

Tak to podejmując kwestie gospodarcze Ameryki P., znaleźliśmy się w ogniu walki dwóch obozów. Wybory prezydenta w listopadzie 1936 r. były w oczach świata znamionną próbą sił. Przy tym niejednego demokratę w Polsce stropiłby niewątpliwie system i element ludzki, których używa się w Stanach Zjednoczonych do agitacji i roboty wyborczej.

MASONERIA ZŁOCZYŃCÓW. W Bostonie wydano książkę p. t. „10 tysięcy wrogów publicznych“ (Courteny Ryley Cooper „Ten thousand public enemies“, Little Brown, Boston 1935). Autor liczy, że w ciągu jednego roku sądy amerykańskie skazały 3 miliony obywateli. Nie za to, że przekroczyli prawo, np. jazdy, czy coś podobnego, ale poprostu za wyczyny natury kryminalnej. 3 miliony ujawnionych złoczyńców, nie biorąc pod uwagę tych, co wymknęli się z sieci sprawiedliwości w pościgu albo w sądzie, to cyfra jak na Amerykę nie za wielka. Gdy jednakże dodamy do niej zakonspirowany współczynnik kryminalny, ludzi żyjących z przestępczości ubocznie, otrzymamy liczbę stokrotnie większą i jednocześnie halucynacyjny obraz czegoś w rodzaju raka rozgałęzionego w organizmie społecznym. Rak na taśmie gospodarczej, rak na taśmie politycznej aktywności... Rak we wszystkim, niby smak piólu w potrawie...

Wrogami publicznymi Cooper nazywa nie zwykłych rzezimieszków i złodziei, lecz bandytów, chwytyanych siłą i podających się tylko po walce z bronią w rękę. Dziesięć tysięcy krwawych plam, naskórny objaw raka, najwyższa kondygnacja zbrodni. Pod nią niższa: 3 miliony skazywanych co roku przestępców. A dalej: im głębiej, tym ich więcej..

Sposób działania wrogów publicznych ma pewne podobieństwo do masonerii. Szturmówka jest komórką złożoną

z 10—12 ludzi. Ale wtajemniczony lekarz zawsze ich opatrzy, fryzjer ogoli i ucharakteryzuje, garażysta przyjmie ukradzione auto, ktoś dostarczy karabinów maszynowych, bankier puści w obieg zrabowane papiery wartościowe, kluby nocne przeprowadzą wywiad, będący w zмовie policjant dopomoże, adwokat obroni, przekupny sędzia złagodzi wyrok, dozorca więzienny ułatwi ucieczkę.

W ten sposób powstaje system pracy łańcuchowy, racjonalizacja przestępstwa. Wytwarza się specjalna atmosfera. Klimat zbrodni. Kiedy człowiek raz wpadnie w tryby tak racjonalnie skonstruowanej maszyny, nie może się już z niej wyrwać.

JAK SCENARIUSZ FILMOWY. Wilbur Underhild był synem uczciwej rodziny w Oklahoma. Po skończeniu szkoły w 17 roku życia zauważył naturalnie, że lepiej się opłaci handlować wódką, niż iść na ciężkie roboty do kopalni. Działo się to w roku 1918, w samych początkach prohibicji, kiedy jeszcze zawód „*bootlegera*“ nie był hańbiącym. Powszeczenie bowiem rozumowano tak: ustawa prohibicyjna to idiotyzm, rzeczą normalną będzie ją obejść i — pić. Underhild ułatwiał to picie: porządny chłop! a że coś przy tym zarabiał to się rozumie. Starsi i doświadczeńsi koledzy po fachu przekonali jednak rychło młodego, że zarobi znacznie więcej, jeżeli będzie swój towar kradł i grabił zamiast kupować. Odtąd Underhild należy do szajki, która napada na ciężarówki i łodzie z wódką innych *bootlegersów*. Posiada broń i umie się nią posługiwać. W 19 roku życia aresztowany, otrzymuje wymiar kary dosyć łagodny. W więzieniu przechodzi kurs dokształcający. Po odzyskaniu wolności pracuje w tempie przyspieszonym. Po roku znowu aresztowany i skazany na 5 lat, już wie co robić: za wzorowe prowadzenie się w więzieniu ulaskawiony przed czasem. Teraz

stare wygi bootlegerskie uznają go za godnego siebie kompana i dopuszczają do spółki. Underhild bierze udział w zorganizowanej robocie „mokrej”. W napadach na banki umie tak teroryzować personel, wykazuje tyle odwagi i zimnej krwi, morduje tak wprawnie, że towarzysze robią go szefem bandy. Policji udaje się nakryć całą szajkę. Komedia wzorowego prowadzenia się w więzieniu już nie pomaga. Ma za to pomoc strażnika. Przepiłowanie kraty, sznur z prześcieradła, ucieczka. Ścigany, broni się ręcznym karabinem maszynowym, zabija policjantów. Pomimo to chwytają go, ale znowu im ucieka. Obiera kwatery główną w jednym z hoteli w mieście Kansas. Tam pokojówka przypadkowo odkrywa w jego walizce ręczny karabin maszynowy i sprowadza mu na kark policję. Pościg, strzelanina, złapanie. W 1933 roku wraz z 9 największymi zbrodniarzami organizuje bunt w więzieniu. Dostają w sposób wiadomy przez dozorców broń, wymordowują strażników i ratują się ucieczką. Underhild staje się postrachem trzech Stanów: Kansas, Oklahomy i Missouri. Okrucieństwem swym przeraża nawet podkomendnych. Policja lokalna nie czuje się na siłach, by opanować sytuację. Przybywa policja federalna. Rozpoczyna się obława na wielką skalę, formalna bitwa, wreszcie oblężenie domku, w którym bronią się bandyci pod wodzą Underhilda. Nikt się z nich nie poddał. Wystrzelano wszystkich, jak wściekłych psów.

To nie scenariusz filmowy, to rzeczywistość amerykańska. Wilbur Underhild, zwany postrachem trzech stanów, godzien jest stanąć obok typów, których legenda dotarła do Europy, a mianowicie: Al Capone, Dillinger, Frank Nash i t. p. Wszyscy oni, co tu ukrywać, mają dobrą prasę i dobry film.

„POLITICAL BOSS“. — Ale to durnie, powiada Amerykanin. Nie sztuka strzelać. I byk potrafił bósć.. Można zarabiać tyle samo delikatnie — w polityce. Tylko trzeba mieć głowę na karku.

W Ameryce polityka to nie walka idei, to raczej starcie dwóch maszyn: republikańskiej z demokratyczną. W starciu tym głos decydujący ma ten sam typ gangstera. To też metody są tak okropne, że człowiek uczciwy stroni od polityki, usuwając się dobrowolnie w cień.

Naturalnie krew nie ma w polityce tego pospolitego znaczenia, co w robocie ordynarnej. Chyba, że jako *ultima ratio* nad przeciwnikiem... (Np. zamordowanie dziennikarza Luggetta w Minneapolis.)

Przywódca polityczny, *political boss*, w mieście nie bawi się w żadne skrupuły. On robi wybory, on kontroluje radę miejską, on trzyma w ręku policję lokalną, jemu wszystkie zakłady i sklepy płacą haracz. Działa najczęściej w ukryciu, zrzadka obejmuje stanowisko, jak np. piękny Jim Walker, nie tak dawno burmistrz New Yorku, gangster I-ej klasy.

Cooper w swej książce mało poświęca uwagi tego rodzaju gangsterom, a przecież oni decydują o polityce Roosevelta i Hoovera w swoich prowincjach. Taki Johnny Lazzia dziewięć razy łapany na gorącym uczynku kradzieży, aresztowany i dziewięć razy zwalniany bez sądu, w ciągu 26 lat rządził faktycznie swym terenem i dopiero sprzątnął go jakiś zbir ostatnim argumentem politycznym — kulą karabinu maszynowego — w r. 1934.

Każde miasto w Ameryce ma swego Lazzie, tym groźniejszego, że nie ściga go żadna sprawiedliwość ludzka, jak to czyni w stosunku do gangsterów „ordynaryjnych“.

Gangster w polityce to nieodrodne dziecko amerykańskiego systemu demokratycznego. Najdoskonalsza policja

nie da mu rady. Najuczciwszy prezydent nie przełamie metody politycznej swego obywatela. Mocna ona jak bronz Posągu Wolności.

Rząd ludowy, *gouvernement by the people*, doprowadził do rządu gangsterów, *gouvernement by the gangsters*.

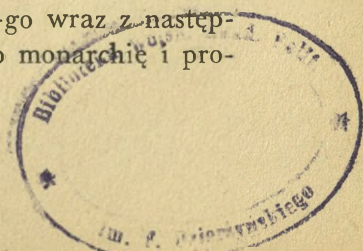
Stąd rozumiemy, dlaczego jeden z uczonych amerykańskich pisał, że *łatwiej jest rządzić parlamentem złożonym z ludzi sprzedajnych, niż z samych ideowców*.

DYKTATURA PROFESORÓW

Stojąc na redzie w zatoce Lizbony, ma się przed sobą białą zjawę miasta, jak sen. Bo chyba śniło się tylko, a nie było prawdą, że tutaj ongi piętrzyła się amfiteatralnie stolica świata. Nie chce się poprostu wierzyć, aby Portugalczyk mógł być kiedyś zdobywcą ziem nieznanych, władcą Indii, rywalem Anglii, królowej mórz... Biedny dzisiaj poławiacz sardynek...

A jednak za panowania Avizów, tych jak gdyby Jagiellonów portugalskich, przez cały XV i XVI wiek Portugalia była potęgą taką, że w koloniach jej naprawdę nigdy nie zachodziło słońce: Brazylia, Indie azjatyckie, Afryka, wyspy Oceanu Indyjskiego... Portugalczyk Vasco da Gama opływa Przylądek Burz, który odtąd nazywa się Przylądkiem Dobrej Nadziei, wytycza drogę do Indii, staje się wice-królem tajemniczego lądu. O tym opowiada każdy elementarz geografii, tego uczymy się wszyscy w szkole, ale dla Portugalii to już dawno miniony sen. Mityczna postać z „Luzjady“ Camoensa — *Adamastor* — olbrzym burz — ulega bohaterom portugalskim — w starej epopei, zato w epopei nowoczesnej on zwycięża i niby góra rzeczywistości spada na kraj i na miasto, grzebiąc na zawsze imperium kolonialne „Luzytanów“. Pod gruzami pozostał tylko jakiś żar wewnętrzny, który fermentuje i wybucha...

Ferment w Portugalii daje o sobie znać bardzo często. W 1908 r. zamordowano króla Karlosa I-go wraz z następcą tronu Don Luisem. W 1910 r. obalono monarchię i pro-



klamowano republikę. W 1918 zabito prezydenta republiki i wojennego dyktatora Sidonia Paesa. Portugalia przeżywa głębokie wstrząsy nieprzerwanej prawie wojny domowej, anarchii i komuny.

W maju 1926 r. (co za zbieg okoliczności?! jak w Polsce...) sławny żołnierz kolonialny, bohater wojny europejskiej (Portugalia walczyła po stronie Francji), marszałek Gomez da Costa robi zamach stanu i ogłasza dyktaturę wojskową. Porządek i spokój w kraju przywrócony, lecz *stalowy hełm w rządzie, to jeszcze za mało, musi być głowa do najtrudniejszych i najcięższych rozstrzygnięć*. Kryzys gospodarczy szaleje, waluta spada na łeb i szyję. W 1928 r. dochodzi do tego, że Portugalia prosi Ligę Narodów o pomoc finansową. Owszem, może uzyskać pożyczkę pod warunkiem podporządkowania się kontroli międzynarodowej. Propozycję tę uznano za obrazę suwerenności narodowej i z oburzeniem odrzucono.

OLIVEIRA SALAZAR. Wtedy przypomniano sobie po raz wtóry Oliveirę Salazara. To znaczy, że już raz odwoływano się do tego skromnego profesora prawa w uniwersytecie w Coimbra. Było to w 1926 r. po zamachu stanu Gomeza da Costy, kiedy dyktator zaofiarował Salazarowi tekę skarbu. Uważano wówczas, że profesor w roli ministra skarbu za dużo ma zapędów dyktatorskich. Zresztą sam Oliveira Salazar nie chciał być malowanym ministrem skarbu i po 3 dniach wolał powrócić do przerwanych studiów. Tym razem jednak uznano, po fiasku z Genewą, że jego dyktatura skarbowa mniej będzie upokarzająca, niż Ligi Narodów. I Oliveira Salazar został ministrem Skarbu.

Zaczął urzędowanie od orędzia, w którym określił swoją rolę w sposób zdecydowany. — Muszę uporządkować finanse i gospodarkę narodu. Do tego potrzebne mi jest absolutne

zaufanie ludności oraz spokój. Wiem dobrze, czego chcę i dokąd idę. Nie będę ukrywał ani stanu faktycznego, ani przedsięwziętych przeze mnie prac. Niech cały kraj się z tym zapoznaje, niech to omawia, lecz niechaj karnie słucha, gdy będę wydawał rozkazy. Zastrzegam dla siebie prawo kontroli wszystkich wydatków we wszystkich resortach. Nie mam osobistej ambicji władzy, przyjąłem ją o tyle, że pragnę służyć ojczyźnie i, jeżeli będą mi przeszkadzać w wykonaniu podjętych obowiązków, powracam w tej chwili do swych prac naukowych w uniwersytecie.

Orędzie było krótkie i węzłowe. Objawwszy dyktaturę gospodarczą, Oliveira Salazar okazał się reformatorem o zasięgu szerszym i głębszym, niż to się zdawało nawet jego zwolennikom. „Ponieważ miłuję naród, nie chcę, by władza była rozpylona pomiędzy wszystkich obywateli“. W tych słowach wyrażona koncepcja polityczna Salazara na tym polega, że *istotny przyjaciel ludu, czyli demofil, nie może być demokratą*, czyli stronnikiem władztwa mas.

Pierwszą rzeczą, której dokonał Oliveira Salazar zaraz po objęciu władzy, była sanacja skarbu. Osiągnął ją zupełnie inaczej, niż to obiecują socjaliści: nie burząc tego co jest w imię czegoś, co ma dopiero nastąpić, lecz powodując się jedynie i wyłącznie poczuciem rzeczywistości i zdrowym rozsądkiem. W ciągu dwóch lat zrównoważył budżet, reformując jednocześnie system fiskalny w kierunku sprawiedliwości i sprawności. Średnia obciążenia podatkowego obywatela w Portugalii jest znacznie niższa, niż we Francji i Anglii. (Mój Boże! wzdychamy). Pobierających wysokie pensje zmusił do skromności i ograniczył. Sam razem z całym rządem daje przykład prostoty życia i bezinteresowności materialnej. Dzięki tej surowej w każdym calu i stosowanej bezwzględnie na każdym stopniu oszczędności, Portugalia od lat siedmiu restauruje swą gospodarkę. Odrodzenie już jest

widoczne. Sieć pięknych szos, nowe gmachy szkolne, szpitale, reorganizacja armii, odnowienie floty. Radykalnie załatwiono się z marnowaniem grosza publicznego, zwalczone łapownictwo. Państwo cieszy się z powrotem zaufaniem za granicą. W tej chwili znajduje się w realizacji problem fundamentalny: uregulowanie stosunków pomiędzy pracą a kapitałem na podstawie ustroju korporacyjnego.

Dyktatura Oliveiry Salazara, jak widzimy, dopięła celu bez uciekania się do siły jako metody; oddziałała przekonująco samą jasnością planu; zadowoliła t. zw. „szarego człowieka“, ułatwiwszy mu życie i podniósłszy dobrobyt; ożywiła aktywność gospodarczą kraju właśnie w okresie depresji i powszechnego na świecie kryzysu. Każdy widzi wyniki dodatnie dyktatury i rozumie jej sens.

Większość współpracowników Oliveiry Salazara, to ludzie młodzi, profesorowie. *Mózg i energia*. Stare jak świat, ale przecież wiecznie młode są zasady, którymi powołuje się w pracy dla państwa zespół dyktatorski w nowej Portugalii.

Słusznie też sam Oliveira Salazar uważa swój rząd za dyktaturę rozumu, dyktaturę inteligencji, a znakomity publicysta i historyk francuski, Jacques Bainville, nazwał to z uznaniem „dyktaturą profesorów“.

FRANCUSKI DUCH

Najlepszy szewc między pułkownikami, nasz historyczny Kiliński, nie czuł nabożeństwa do Francji. Zwykł być mawiać, że „francuski duch to wojna domowa i jakobinizm“...

Ale my wiemy, że chwilami „Bóg czyni przez Francuzów“, gesta Dei per Francos. Jakobinizm wykołysał rewolucyjnego ducha Kościuszki. Akcja Francuska, w sensie promieniowania i oddziaływania kultury, porywa w swój krąg, czaruje i kształci. Nasz rodak Dr. Eugeniusz Minkowski po wyemigrowaniu do Francji zdobywa sławę w dziedzinie psychiatrii. Lubliniak Emil Meyerson staje się chlubą filozofii francuskiej. Jerzy Politzer, wybitne dzisiaj wśród psychologów Francji nazwisko, to młody jeszcze człowiek, z pochodzenia Rumun.

Coś jest takiego w kulturze francuskiej, w tym francuskim duchu, że zapładnia. Coś z Orfeusza, który, że wyrazimy się stylem naszej ekonomicznej epoki, przerabia spożywców żarłocznych w płodnych producentów.

Z drugiej strony napływa fala wiadomości o tym, co się we Francji dzieje codziennie. Bałagan. „Front ludowy“ walczy z „Frontem narodowym“. Zamiast płodów nauki i sztuki puszcza się w ruch pięści, kije i noże. Młodzi monarchiści obili wodza socjalistów, deputowanego Leona Bluma. Socjaliści zrewanżowali się i poranili prawicowego doktora Golse'a. Waśń domowa, rozjuszenie, brutalność. I to ma być kultura, ów francuski duch?...

Spróbujmy na przykładzie, w jednym człowieku pogodzić te sprzeczności; znaleźć i zrozumieć te światła i cienie. Takim typem okazowym, wykwitem ducha francuskiego jest niedawno zmarły *Jacques Bainville*. Największy dziennikarz Francji, jak go ocenili Anglicy, znakomity historyk, świetny pisarz, erudyta i działacz.

JACQUES BAINVILLE urodził się dn. 9 lutego 1879 r., zmarł akurat w 57 rocznicę urodzin. Zadziwiająco wczesny rozwój intelektualny. Licząc zaledwie lat 19, wyjeżdża do Niemiec w celach naukowych i w 20-tym roku życia wydaje swą pierwszą książkę historyczną „Ludwik II bawarski”. Podróż odmieniła Bainville’a radykalnie. Konfrontuje Niemcy z Francją i ogarnia go przerażenie. Tam organizowanie siły, tu rozprężenie i słabość. Wychowany po republikańsku, po powrocie z Niemiec wstępuje do obozu monarchistów. Odnajduje w sobie *wolę mocy* własnego państwa. *W Polsce byłby pilsudczykiem*. Talent niezwykle, pracowitość imponująca, piękne pióro, celna myśl. A erudycja! Dajcie mu, żartowano, 4 strony formatu gazety, a napisze wszystko sam: o polityce, o finansach, o literaturze, teatrze i sztuce, o modzie... i to pierwszorzędnie. Takie dzieła, jak: „Historia dwóch ludów” (1915), „Historia trzech pokoleń” (1920), „Napoleon”, „Historia Francji” (300 wydań w ciągu paru lat!) — zapewniły mu miejsce w galerii największych. Autor mnóstwa książek, prócz tego pisywał codziennie do dzienników, do tygodników i miesięczników, często przemawiał. Brał w posiadanie dziedzinę oderwaną, po czym swobodnie przerzucał się w rzeczywistość dnia i wszędzie okazywał się majstrem nielada. Uważano go za geniusza zdrowego sensu oraz za mistrza w przekonywaniu. Forma klasyczna, wiekuisty język francuski XVIII w., były

w nim na usługach myśli awangardowej, aktywnej, bojowej...

Hipolit Taine powiedział, że polityk bez perspektyw historycznych nie jest politykiem. Trzeba docierać wstecz, żeby umieć przewidywać. Koncepcję porozumienia francusko-sowieckiego Bainville zwalczał historią. Wszystkie, twierdził, próby aliansu z Rosją, zawiodły: pierwsza w w. XVIII, druga za Napoleona, kiedy znajdował się u szczytu po Tyłży, trzecia — w wojnie światowej; to są trzy ostrzeżenia przeszłości dla Francji dzisiejszej. Historyczne podejście do zdarzeń bieżących, owo jak gdyby ocykanie się obywatela wiecznego w człowieku przemijającym, poczucie ciągłości trwania i stąd konsekwencja i tradycja formy — tworzą kapitalną cechę francuskiego ducha.

Nie może żyć ryba na piasku, zwierzę w wodzie, ani człowiek w snach. Albowiem istnieje się w przyrodzonej, konkretnej rzeczywistości. Bainville to konkretne przeciwstawia fantasmagorii romantycznej tak w myśleniu jak i działaniu. Narody, pisze w swej „Historii dwóch ludów“, są takie, jakie są, każdy idzie w swoją drogę, ponieważ pchany jest fatalizmem dziejowego nastawienia, wiekową szkołą swego charakteru. Żadne gadanie nie zdoła niczego odwrócić! *Chyba żelazna garść*. Francuzowi nie rozchodzi się o jakąś misję, tylko o fakt, decydujący o człowieku i o zbiorowisku. Rzecz realna przede wszystkim. Złudzeń nie potrzeba.

Ale potrzebna busola. Znajduje ją człowiek, według Bainville'a, w imponderabiliach, w zasadzie moralnej, która wynika z idei Arystotelesa, Platona, Seneki i Tacyta tak, jak z kultury grecko-łacińskiej wypływa francuski duch. Człowieka realnego stawia kultura w obliczu bezmiaru i poddaje ton duszy. Stąd odwaga myśli, wolność i polot, niczym nieskrępowany oprócz dyscypliny. Stąd niezrównana siła atrak-

cyjna kultury francuskiej dla tych, którzy z niej zaczęli czerpać.

Grecy wykombinowali Pegaza, konia ze skrzydłami, jako symbol osobliwego łączenia kontrastów: ciężenia ku ziemi i lotu wzwyż. Odpowiednio do tego Francuz szuka pomiędzy tymi biegunami — umiaru. Albo mu się to udaje, albo strzela krańcowością. A więc w doktrynie religijnej ma rzeź hugenotów w noc św. Bartłomieja i pracę naukową ks. Alfreda Loisy. Intelktualista może być bez wyrzutów sumienia — rentierem, a Charles Maurras, wódz monarchistów, — filozofem. I to wspinałym w obu kierunkach. Uduchowienie i mocna pięść.

Pod znakiem ducha i pięści formują się *zespoły*. One tworzą rozbieżne siły polityczne w kraju. Ścierają się wzajemnie idea i w razie czego — kijem. Ludzie ci wiedzą o co walczą: o organizację państwa podług własnej koncepcji.

Nie wolno odmówić sprawiedliwości nawet wrogowi. Na takie postawienie sprawy nie zdobędzie się ladajaka kultura, tylko Pegaz europejski — francuski duch.

Kiedy w r. 1935 przyjmowano Bainville'a do Akademii na fotel po zmarłym Rajmudzie Poincarém, było zaiste co podziwiać. Znienawidzony, walczący wróg ustroju, wstępował na miejsce niezłomnego republikanina i wygłaszał jego pochwałę. To coś jakby u nas Świętochowski komponował panegiryk na cześć Sieroszewskiego.

„Wszystko to być może, rzekłby Krasicki, jednakże ja to między bajki włożę“...

A szkoda, bo ta właśnie sztuka wiązania przeciwieństw zapewnia państwu trwałość i ciągłość.

CHŁOP W PIŻAMIE

Znam, bo przeszedłem na własnej skórze, trzy systemy pracy fizycznej: *akord*, kiedy w tempie gorączkowym odrabialiśmy w cukrowni amerykańskiej więcej niż normę; *racjonalizację* taką, jaka jest w fabrykach samochodowych Forda w Ameryce i u Renault we Francji, i *sztukę*, która jak np. rzeźbiarska w twardych materiałach, wymaga też wysiłku mięśni. Tym trzem systemom pracy fizycznej towarzyszą trzy różne odczucia duchowe. Akord powoduje odrętwienie wewnętrzne, wyczerpanie sił i zdrowia. Z racjonalizacją różnie bywa. W ciężkim przemyśle zwłaszcza doprowadza ona robotnika do takiego stanu zmęczenia, że człowiek czuje się niby zgonione zwierzę i klnie na czym świat stoi mądrą organizację pracy Taylora. Ale równocześnie za to samo błogosławi Forda. Dlaczego? Powiedział do mnie kiedyś Polak z Detroit tak: „Panie, ja widzę, że tu nie tylko część żelazna sunie do mnie po taśmie, tu idzie do człowieka cały rozum Forda i także trochę — serca”... Co zaś do pracy w sztuce, to poprostu nie ma słów: robi się wszystko „con amore”, z umiłowaniem i radością, aż szkoda się odrywać. Być artystą w robocie, czyż to nie szczęście?!...

Lenin uczył, że dyscyplina pracy podtrzymywana była w czasach feudalnych batem, w ustroju kapitalistycznym — głodem, w komunizmie — tak przynajmniej powinno być — wolą świadomego robotnika. To znaczy, że robotnik musi mieć jak gdyby duszę artysty, aby ofiarnie i w uniesieniu dźwigał dzieło budownictwa socjalistycznego. Dzisiejszy

wódz Sowietów, Stalin, stwierdza oficjalnie, że oto marzenie stało się faktem. Rosja takich robotników już ma i teraz rozpoczyna nową erę prawdziwie radosnej twórczości, co zawdzięczać należy przede wszystkim „stachanowcom” i stworzonemu przez nich systemowi pracy, „stachanowizmowi”. Odpowiada on „tayloryzmowi” amerykańskiemu, z tą atoli różnicą, że stanowi wybuch samorodnego geniuszu mas proletariackich, zdolnych powiązać inwencję intelektu z solidną pracą rąk. Z czego powstaje radość życia.

A zaczęło się bardzo zwyczajnie: od chłopca i robotnika.

ALEKSY STACHANOW był synem biednego chłopca z gubernii Orłowskiej. Rodzina nie mogła wyżyć z nędznego kawałka gruntu. Niedostatek dawał im się tak dalece we znaki, że dziad i ojciec chadzali sezonowo na dorobek do kopalń węgla w Zagłębiu Donieckim. Marzyli o tym, by kiedyś móc kupić konia, bo ostatecznie z koniem w gospodarstwie łatwiej. Po ojcu w spadku oddziedziczył Aleksy owo niespełnione marzenie i zaopatrzony w ten platoniczny wiatyk na drogę, mówiąc po sorelowsku „mit o koniu”, oraz w kuferek na plecach, powędrował, jak czynili dotychczas ojcowie, za pracą do Zagłębia. Działo się to w 1922 r. Przez dłuższy czas furmanił, roboty pod ziemią bał się okropnie. — „Kiedyś głupi, idź do węgla” — odgryzał się tym, którzy mu doradzali lepiej płatne zajęcie górnika. Po zmotoryzowaniu kopalni, kiedy konie okazały się zbyt ciężkie, chciał odejść. Uległ jednakże namowom kolegów i na próbę jął się kilofa. Zarazem uczęszczał do klubu górniczego, gdzie na kursach nauczył się czytać i pisać. Gazety odśłoniły mu inny, szerszy świat. Akurat trafiła mu do przekonania enuncjacja władz sowieckich o konieczności zwiększenia produkcji, a potanienia kosztów. Zastanawiał się odtąd nad tym tematem często i nagle olśniła go myśl. Zauważył, że wydaj-

ność pracy górnika wzrosła niepomiaralnie, jeśli zastosować właściwy podział czynności. Nie jak dotąd, żeby ci sami rąbali przez 2 i pół godziny, przez resztę zaś zmiany zgarniali węgiel i umacniali korytarz, tylko jedni niech bez przerwy stoją przy świdrze mechanicznym, a drudzy niech także bez przerwy robią swoje. Zwięźlenie funkcji, opanowanie ruchów jednostajnych aż do automatyzmu, — innymi słowy, racjonalizacja, taylorizm. Dla Stachanowa w koniunkturze sowieckiej był to wygrany wielki los.

W dniu 30 sierpnia 1935 r. o godz. 23-ej Stachanow zjechał do szybu i przy zastosowaniu swego systemu, zamiast jak dotąd 14 tonn węgla, wydobył 102 tonny. Za jego przykładem poszedł Duchanow 3-go września — 115 t., Konczedałow 5-go września — 127 t. Sam Stachanow 9-go września wyrobił 175 t. i wprędce doszedł do 227 t. Znaleźli się wszakże zaraz tacy, co go przewyższyli: Izotow — 240 t. w 6 godzin, a Artiuchow osiągnął niewiarygodną wprost cyfrę i pobił wszystkie rekordy w górnictwie — 536 t. Wyczyn Stachanowa stał się zaczynem ruchu, który z rozkazu władz nazwano „stachanowskim“ i skwapliwie zalecono we wszystkich działach produkcji.

We włókiennictwie dwie siostry, Dusia i Maria Winogradowe, obsługiwały normalnie do 24 krosien. Wciągnięte w ruch „stachanowski“ zwiększyły wydajność swą do 60, później do 100, aż stanęły na 144. W fabryce samochodów w Gorkim kowal Busygin z 675 sztuk kutych dziennie dochodzi do 1050. Maszynista kolejowy Krywonos w Donieckim Zagłębiu węglowym zwiększa szybkość prowadzonych przez siebie pociągów towarowych z 30 do 53 klm. na godz. „Stachanowizm“ przerzuca się na metalurgię, do fabryk obuwia, nawet w dziedzinę rolnictwa: Maria Demczenko ustanawia rekord zbioru buraków cukrowych — 500 kwintali z ha. Prasa sowiecka snuje legendy dokoła najwybitniejszych „sta-

chanowców“. Robi się przy tej okazji kolosalną demagogię pracy. A że od wzniosłości do śmieszności krok tylko, listonosz Popik rzuca wyzwanie górnikowi Stachanowowi do wysiugu pracy. Lecz ruch nie kończy się na karykaturze.

Rząd organizuje w Moskwie zjazd „stachanowców“ z całego Z. S. S. R. Na zjeździe między innymi wygłasza mowę sam Stalin. „Stachanowców“ noszą na rękach, fetują, dekorują najwyższym orderem Lenina, obwołują „nadludźmi“. I to bynajmniej nie za jakiś szpurt sportowy, albo za atletyczne wyczyny energii i siły. Ważniejsze są wyniki pracy. Dowiadujemy się bowiem, że produkcja sowiecka wzmożła się ogólnie o 20% i staniała o 6%. Zawdzięczając „stachanowizmowi“. A więc o to chodziło. Produkować więcej i taniej. Cel ten musiał być osiągnięty kosztem robotnika. Na swoich strudzonych barkach udźwignął on interes państwa. Zaiste należy się Stachanowowi tytuł „nadczłowieka“ — pracy. Tylko że Nietzsche powiedziałby: „nadczłowiek w zaprzęgu“...

Jest taka książka bolszewicka, mówiąc nawiasem — świetna, p. t. „Organizacja opinii“. Cóż tedy prostszego, niż wyobrazić sobie proces następujący: rząd odwołuje się w potrzebie do obywateli, a bohaterskie typy w rodzaju Bussygina i t. p. odpowiadają na apel rządu nadludzkim wysiłkiem, rekordami pracy. Jako uświadomieni towarzysze, artyści budownictwa socjalistycznego... Otóż to, co się słyszy z ich ust na zjeździe w Moskwie, wygląda, niestety, na rozbrajającą bajkę o uświadomieniu państwowym.

Stachanow zarabiał zwyczajnie 500 do 600 rb. miesięcznie. We wrześniu 1935 r., za pierwszy miesiąc swych wyczynów rekordowych, liczących 18 dni pracy, otrzymał 1000 rb. Duchanow — 1338 rb. Konczedałow — 1618 rb. Oświadczają oni publicznie: skoro mamy duże zarobki, możemy sobie

pozwolić na życie przyzwoite. Busygin z 300 rb. skacze na 600 rb. Pewien stolarz z fabryki w Briańsku sprezentował uczestnikom zjazdu swoją listę zarobków za r. 1935: w styczniu 184, w lutym 350, w marcu 657, w kwietniu 759, w maju 813, w czerwcu 820, w lipcu 997, w sierpniu 1220, we wrześniu 1315 rb. Niektórzy z „artieli“ Stachanowa — piszą „Izwestia“ i „Prawda“ — zarabiają przeszło 2000 rb. miesięcznie, co pozwala robotnikowi podnieść już znacznie swą stopę życiową (anglicy mówią „standard of life“). Wytwarza się wobec tej nierównomierności płac plutokracja świata robotniczego, nowobogaccy proletariatu. Odpowiednio do zarobków rosną i wymagania komfortu: chcą mieć gramofony, radio, fortepiany dla córek i t. d. Zupełnie podobnie, jak pracownicy w Polsce, w Niemczech i na całym świecie, w ustroju kapitalistycznym, czy komunistycznym, bez różnicy. Ta sama egoistyczna podnieta, pieniądz, a nie jak marzy Lenin — wola świadomego obywatela.

Angielski korespondent „Daily Telegraph’u“ zauważył ze zdumieniem na uroczystym posiedzeniu pewnego sowietu wiejskiego zasiadających z wielką powagą — *chłopów w piżamach*. Zainteresowany, pyta, skąd to mają. — To premia za przodowanie w ruchu stachanowskim. Jeden dostał gramofon, drugi harmonię, trzeci piżamę. Ta piżama to barwny szczegół systemu. Symbol metody sowieckiej w zastosowaniu do barbarzyńskiej rzeczywistości. I jakże dowcipne posunięcie gospodarcze rządu! Wysortowany ze składów fabrycznych towar został drogo sprzedany chłopom i robotnikom za ich wysiłek w kierunku wzmożenia produkcji. Jota w jotę taki system stosuje biały kupiec wśród murzynów, wymieniając świecidełka na słoniową kość.

Wołał Stalin na zjeździe „stachanowców“ w Moskwie: Szukajmy normy technicznej dla produkcji pośrodku, pomiędzy rekordem „asów“ a niskim poziomem robotnika

przeciętnego. Jeżeli podniesiemy ogólny poziom w sumie tylko o 100%, to podwajamy bogactwo państwa.

Oczywiście tanim kosztem, ponieważ podciągany do większej wydajności pracy robotnik przeciętny żadnej za to premii nie otrzyma. Da liegt der Hund begraben!

Normy techniczne są po to, żeby obowiązywały. Wystarczy w fabryce 2—3 stachanowców. Reszta robotników równa na nich w górę. Nie to, że chce. Ordynarnie musi. To też ogół w Sowietach nie cierpi „stachanowców“, jak w ustroju burżuazyjnym nie cierpiał łamistraszków. Częste są z tego powodu ekscesy. W styczniu 1936 r. za zwykłe pobicie dwóch „stachanowców“ sąd sowiecki skazał 4 robotników na 5 lat katorgi. Kara odpowiednia za zdradę stanu, albowiem kto hamuje produkcję, działa na szkodę państwa.

Stachanow wyraził się kiedyś, iż gdyby zrobił—w Ameryce to, co zrobił w Rosji, to robotnicy amerykańscy chyba by go zlinczowali. Prawdopodobnie. Za przekroczenie linii bezpieczeństwa życia i za uczynienie z tego bazy systemu.

Wydobycie 300 tonn węgla w ciągu jednej zmiany przez jednego człowieka równa się 14 klg na sekundę, czyli wymaga takiej szybkości, która kwalifikowałaby górnika na samobójcę lub na szaleńca groźnego dla otoczenia. Może nastąpić oberwanie się zwału górnego, wybuch i t. d. Najwybitniejsi fachowcy zgodnie uznają takie tempo za niebezpieczne i wszelkie rekordy w tym kierunku są surowo zakazane w krajach cywilizowanych. Poza tym o ile średnie wydobywanie 30 tonn dostatecznie wyczerpuje górnika dobrej klasy, o tyle rekordy Stachanowa et consortes położą robotnika w ciągu 3 — 4 lat na amen. Na dalszą metę są nonsensem zabijającym człowieka najzdrowszego.

I rzeczywiście „stachanowcy“ to są jeszcze młodzi ludzie. Stachanow liczy sobie wiosen 29, Busygin 28, Krywonos 25,

Winogradowa 21. Zobaczymy jak te zuchy będą wyglądały za parę lat.

Parę lat temu czytałem ciekawy artykuł Jean Richard Bloch'a, „*Wojna jest w nas*“. Autor uważa, iż człowieka wcale nie przeraża niebezpieczeństwo. Przeciwnie: pociąga, nęci, podnieca. Człowiek z natury swej wcale nie jest tchórzem. Przeciwnie: jest cudem, potworem odwagi. Heroizm młodego człowieka wypowiada się w walce. Sport i wojna to jedno. Przewyciężyć zmęczenie i ból, opanować samego siebie, mieć ducha bojowego, triumfować...

Japończyk zgłasza się na ochotnika do wypróbowania torpedy. Amrykanin rzuca się z wysokości 60 piętra z nowym wynalazkiem skrzydeł. Stachanow jak szalony łamie ścianę węgla w czarnych czeluściach kopalni.

To jest wiekuiście i wszędzie taki sam człowiek, patrzący w oczy śmierci.

KIMONO I REWOLWER

Co my wiemy o Japonii? Właściwie nie wiele. Obszar mniej więcej równy Polsce, ale zamieszkały przez 70 milionów ludności; męstwo w wojnie rosyjsko - japońskiej 1904-5 r.; miłość gejsz czarujących jak kwiat wiśni; pornografia podana w ponętnej formie; operowa „Madame Butterfly”; energiczne pchanie się do Chin... Wszystko to jednak dziwnie ogólnikowe i jakby przyćmione mgłą oddalenia. Daleki, najdalszy wschód, capland Azji...

Pamiętam, kiedy w pewnym momencie zatargu Japonii z Chinami wybrali się dziennikarze paryscy do studentów japońskich w „Cité Universitaire“ po informacje, trafili na jednobrzmiącą odmowę: „Nic nie umiemy powiedzieć, nie jesteśmy kompetentni“... Żółta ściana milczenia. Mój Boże, co by w podobnej sytuacji nie omieszkali nawygadywać Polacy i jak bardzo byliby kompetentni... To charakteryzuje rasę.

Zdumiewa nas powściągliwość Japończyków, ostrożność krańcowa w wypowiedaniu się, gdy jednocześnie skądinąd dowiadujemy się o iście wulkanicznej ich ekspansji i zaborczości imperialistycznej. Są jak rzeki ich kraju, małe, lecz rwące.

Porucznik w czynnej służbie, Tota Isimaru, napisał książkę, w której stara się uzasadnić, że Anglia wcale nie jest taka mocna, na jaką wygląda, ma tylko machiawellistycznie zręczną dyplomację. Gdy Rosja stała się konkurencją groźną, Anglia potrafiła rzucić na nią w 1904 Japonię. Gdy

z kolei rzeczy Niemcy mogły być niebezpieczne, umiała sprowokować wojnę europejską, do której sama przystąpiła dopiero po Rosji i Francji. Zawsze biła przeciwnika cudzymi rękami bez narażania sił własnych. Zdaniem Toty Isimaru starcie z Wielką Brytanią przedstawia dla Japonii poważne szanse zwycięstwa, a już niech tylko flota angielska ulegnie japońskiej, wówczas los Indii i Australii zostanie przesądzony. Indie oderwą się, Australia nie zdoła się oprzeć ofensywie japońskiej.

Książka ta narobiła dużo hałasu w Anglii. Napewno jednak nie tyle z powodu tej książki, ile ze względu na pozycję realną, Wielka Brytania od paru lat fortyfikuje port Singapore, czyniąc zeń obóz warowny i bazę kontrofensywną morską i lotniczą. 14 tysięcy ludzi pracuje na zmianę dniem i nocą. Koszt przekroczył 12 milionów funtów.

Jeżeli wojna z Anglią wisi w powietrzu, to z Sowietami faktycznie trwa, chociaż rozgrywa się narazie na terytorium Chin. Japonia idzie etapami.

Pierwszy etap to utworzenie niepodległego i sprzymierzonego z Japonią państwa Mandżurii, Man-Dżu-Kuo. Dnia 1-go marca 1934 r. Pu-Yi koronował się na cesarza imieniem Kiang-Te, co oznacza w tłumaczeniu — spokój i dobroczynność. Cesarstwo Mandżurii, Mandżu-Ti-Kuo, nie jest bagatelką. Powierzchnią swą równa się Francji i Niemcom łącznie, liczy 30 milionów mieszkańców, posiada budżet trwale zrównoważony, bilans handlowy dodatni. Niezły bufor w stosunku do Sowietów.

Drugi etap to demilitaryzacja prowincyj sąsiednich: Siahar i Hopei, czyli innymi słowy wprowadzenie garnizonów japońskich na miejsce chińskich. Bufor wzmacnia się.

Trzeci etap to rozpostarcie zbrojnej dłoni na pięciu prowincjach: Hopei, Siahar, Siansi, Sinjan i Siantung. W ten sposób północne Chiny znajdują się pod kontrolą Japonii. Za-

miast dawnego muru chińskiego dla celów obrony, Japonia formuje odskocznę wypadu.

Warto bliżej wejrzieć za kulisy akcji w Chinach, aby pochwycić sznurki przeróżnych machinacyj, nie tylko japońskich. Np. co tam robi misja finansowa sir'a Fredericka Leita Ross'a, doradcy technicznego przy rządzie chińskim. Misja ma jakoby dwa cele: reformę waluty w Chinach i pożyczkę 50 milionów funtów dla rządu nankińskiego na sfinansowanie wielkich robót użyteczności publicznej.

Stąd niepokój Japonii, stamtąd zaś Anglii, Sowieców i Stanów Zjednoczonych A. P. Akcja w Chinach jest skakaniem iskiek po beczce prochu.

Odebrać Rosji Władystok i odepchnąć ją od Pacyfiku jaknajdalej w głąb lądu. Zorganizować Panazję pod hegemonią Japonii. To nie są mrzonki wylęgłe w mózgu młodego oficera, to fatalizm dziejowy, który przysła wojnę światową spycha na Ocean — co za ironia w nazwie — Spokojny. Walka ras o przewodzenie świata tam znajdzie finał.

W walce tej Japonia wyznacza sama sobie rolę dominującą i konsekwentnie zmierza do jej podjęcia. W wojnie italo-abisyńskiej, będącej w istocie konfliktem italo-angielskim, zdawałoby się, że wszystkimi swymi sympatiami Japonia stanie po stronie Italii. Tymczasem dzieje się wręcz odwrotnie: Japonia pomaga Abisynii. Nie żeby względy gospodarcze decydowały. Chodzi o stawkę stokroć ważniejszą: o problem ras. Japonia broni ludów kolorowych, pragnie być orędowniczką uciemiężonych i jęczących pod butem białego człowieka, podejmuje się misji dziejowej wyzwolenia ras podbitych i kolonizowanych przez Europejczyków. Japonia staje na wyżynach swego losu, idzie w kierunku tragicznych przeznaczeń.

SAIGO i OKUBO. Żaden chyba naród na świecie nie nosi w sobie tyle straszliwej dynamiki, co japoński. Wulkaniczne formacje geologiczne ukształtowały wulkaniczną duszę Japończyka. Mistyk marzący o zdobyciu świata. Podobno mistycy potrafią być geniuszami w budownictwie. A odkąd poczują siłę, stają się mistagogami i ruszają na podbój świata. Jak swego czasu Arabowie. Jak dziś Trzecia Międzynarodówka.

Upton Close w swej książce „*Niebezpieczeństwo japońskie*“ (wydana w przekładzie francuskim u Payot'a z przedmową Francisa Delaisi) zwraca uwagę na niesamowite rozdzielenie cechujące rzeczywistość japońską i dzisiejszego Japończyka. Mistyczność i siła. Tradycja duchowa i ostatni wyraz techniki materialistycznej. *Kimono i rewolwer*. Naturalnie w kimonie cała przeszłość, w rewolwerze potęga militarna współczesnej Japonii.

W drugiej połowie XIX wieku żyli dwaj bohaterowie: Saigo i Okubo. Akurat w tym czasie, bo w r. 1868, Mikado obalał władzę szogunów (dziedzicznych generałów) i otwierał kraj na dobrodziejstwa wpływów Zachodu. Saigo był zwolennikiem najwyższego autorytetu cesarza, lecz nienawidził dobrodziejstw zachodu. Okubo był również zwolennikiem najwyższego autorytetu monarchy, ale przyszłą potęgę Japonii widział właśnie we wpływach zachodu.

Antynomia zasadnicza, która ciągnie się nieprzerwanie do-
tąd. Z niej wynikła rewolta kół wojskowych w Tokio w nocy z 25 na 26 lutego 1936 r. pod wodzą kpt. Nonaki.

Wprowadzony na wzór zachodu system gospodarczy i finansowy dał w rezultacie rozwój pewnych gałęzi życia, inne natomiast pozostawił w pierwotnej niemal formie z zeszłego stulecia. Symbolem kontrastów byłoby ustawienie nowoczesnego gmachu parlamentu w Tokio, podobnego do Pałacu Sprawiedliwości w Brukseli, obok typowej chaty wiejskiej

z bambusu, papieru i słomy. Tak się też ma organizacja zewnętrzna rzeczywistości materialnej do treści wewnętrznej człowieka.

W dniu śmierci Mikada Mutsu - Hito w 1912 r. sławny Nogi popełnia wraz z żoną harakiri, aby iść razem z ukochanym władcą w kraj cieniów. Człowiek pozostał wiekuiście ten sam, japoński. Młodzież na wyższych uczelniach namiętnie zwalcza angielszczyznę. Człowiek i nadal pragnie pozostać takim samym, japońskim. Chce mieć cywilizację europejską i buntuje się przeciwko niej. Znowu Saigo i Okubo.

Pod względem przemysłowym Japonia reprezentuje siłę zdolną konkurować z Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Eksport japoński, dobry gatunkowo i tani, zdobywa rynki Meksyku, Ameryki Centralnej i Południowej, Zachodniej i Północnej Afryki, Azji i wysp australskich. W r. 1935 osiągnął zawrotną cyfrę 2 miliardów 500 milionów yenów (yen — prawie 2 zł.).

Nazwiska przemysłowców japońskich, jak Mitsui i Mitsubishi, notowane są na giełdzie obok Rockefellerów i Morganów. Taka Rodzina Mitsui ma w swym posiadaniu jedną czterdziestą całego bogactwa narodowego Japonii ocenionego na 8 miliardów 500 milionów funtów sterlingów. Do Mitsui należą kopalnie węgla, rudy i złota, fabryki przędzalnicze i tkackie, przemysł chemiczny, plantacje tytoniu, herbaty i bawełny, lasy, pola i t. d. Mitsui jest dyktatorem wielu rynków.

Ekspersi obliczają majątek jego na 8 miliardów złotych polskich.

Ale robotnik w tym wielkim i świetnie prosperującym przemyśle dostaje dziennie garstkę ryżu i nic więcej. Jest chronicznie głodującym kulisem, niewolnikiem swego pana.

Oficjalna liczba bezrobotnych 400.000, nieoficjalna — 2.000.000. Japonia nie zna instytucji ubezpieczeń społecz-

nych. Bezrobotny nie korzysta z żadnych wsparć, ani państwa, ani gminy. Liczyć ma prawo wyłącznie na siebie i na swoją rodzinę. A jeśli nikt w rodzinie nie znajdzie pracy?... Pozostaje „oyakosinju“ — rodzinne samobójstwo. Rodzice mordują dzieci, po czym zabijają siebie.

Na wsi nie lepiej. Struktura rolna i sytuacja chłopa gorzej się przedstawia niż w Polsce. 10 ha gruntu to już obszarnik. 3 ha to „kułak“. Olbrzymia większość, miliony, to dzierżawcy drobnutkich działek ziemi, najczęściej wprost „glebae adscripti“, nie mogą bowiem żywić żadnej nadziei, by kiedykolwiek wybrnęli z długów lichwiarskich zaciąganych u swego pana. Wszyscy wojskowi, przeważnie synowie wsi, zżymają się na taki stan rzeczy.

Jeżeli to ma być, powiadają, postęp na polu społecznym i cywilizacja, to precz z nimi! Znowu Saigo i Okubo.

Kiedy Minobe, profesor uniwersytetu cesarskiego w Tokio, autorytet światowy w dziedzinie prawa konstytucyjnego, ważył się interpretować konstytucję z 1889 r. w duchu demokratycznym XIX wieku, t. j. że cesarz dzieli się władzą z innymi organami państwa, w Izbie Wyższej nazwano wielkiego profesora „uczonym bandytą“, a później na ulicy go zamordowano. Znowu Saigo i Okubo.

Zresztą z kim właściwie możnaby dzielić się władzą? Parlament w Japonii nie cieszy się ani sympatią, ani powagą. Życie polityczne jest skorpumpowane do najwyższego stopnia. Posłowie zdyskredytowani. Ministrowie sprzedajni. Skandale i afery finansowe są nie mniej częste niż we Francji. Tylko że sprawiedliwość jest rychłą i nieubłagana. B. minister komunikacji, Sinso Mitsui, siedzi w więzieniu, b. wice-minister skarbu, Hideo Kurosa, — w więzieniu, b. minister Przemysłu i Handlu, Nakazima, — w więzieniu i t. d. i t. d.

W tych warunkach, czy ta partia wygrywa, czy owa, na jedno wychodzi. Tymbardziej że nie ma różnic programo-

wych pomiędzy konserwatystami „Seiyukai“, a liberałami „Minseitō“. Kwestia raczej taktyki i tradycji.

DUCH ŻOŁNIERZA. Przeciwstawia się im, ich grom politycznym i wynikającej stąd słabości — *duch żołnierza*. Wojsko japońskie — podpora tronu, wyraz dynamiki narodowej.

Wodzem duchowym armii jest samuraj XX-go w., albo jak go nazywają z powodu małego wzrostu i wielkiej inteligencji, Bonaparte japoński, gen. *Sadao Araki*. Pochodzi z biednej rodziny chłopskiej z południa. Ma w sobie coś ze Spartańczyka i Ateńczyka zarazem. W wolnych chwilach układa „hokkou“, epigramaty poetyckie z 17 sylab o kwiatkach wiśni, o duchu Japonii. Siedząc w kucki na matach „tatame“, przyodziany w kimono, mówi słodkim głosem, ale potrafi przekonać i zmusić. W oparciu o młodych oficerów podjął ofensywę w Chinach, zdobył Mandżurię i gotów był spaść drapieżnie jak orzeł na granicę sowiecką, gdy powaliła go ciężka influenza, a intrygi polityków odwołały z frontu. Lękano się zbyt szybkiego marszu na zachód. Zwłaszcza po wystąpieniu z Ligi Narodów i po opuszczeniu konferencji morskiej w Londynie. Jego systemowi faktów dokonanych przeciwstawiono dyplomację. Na przełęczu tych dwóch systemów, wojskowego i politycznego, gore walka wewnętrzna oddawna. Od czasów Saigo i Okubo. Po przez wszystkie zamachy tajnych organizacji i rewolty wojskowych.

Araki to fenomen połączenia dwóch wpływów: zachodniego z japońskim. Mojżesz wiodący naród swój w pancernych wozach, a jednocześnie ściśle przestrzegający Dziesięciorga Przykazań i święta Paschy. W nim bohaterowie Saigo i Okubo podali sobie ręce.

P L A N D E M A N A

Każdy Francuz nieźle urodzony pragnie być urzędnikiem, każdy Belg marzy o stanie kupieckim. Ambicją robotnika jest — zostać majstrem, a żona żeby miała sklepik. Finansi-
stę honorują więcej, aniżeli akademika literatury. Kraj ko-
miwojażerów, kupców i kantorów wymiany.

Ale 150 tysięcy znalazło bohaterską śmierć na frontach wielkiej wojny od Nieuport do Ypres. To chyba także o czymś świadczy. Największa w Europie konsumcja piwa na jeden brzuch ludności, a przy tym Rembrandt, geniusz światła i cienia, mistyczny realista... Trafiamy na niebez-
pieczny, utajony wir tam, gdzie toń wydawała się gładka i spokojna.

Taki już los Belgii od czasów Cezara. Iść wciąż od prze-
ciwieństw do konfliktów. Mieć przez parę wieków oczy zwró-
cone na Hiszpanię i Austrię, a sąsiadować o miedzę z Fran-
cją. Być pod Habsburgami od 1477 do 1794 r. i w łączności z Holandią, a w r. 1830 robić rewolucję w duchu francuskim i to za przewodem inteligentów w cylindrach, kiedy bezwa-
runkowo przeważa niebieska bluza chłopca i robotnika. Pro-
wadzić aż do dni dzisiejszych zaciętą walkę przeciw kościo-
łowi i w obronie Kościoła. Dzielić się na dwie odrębne gru-
py etniczne, Flamandów i Wallonów. Stanowczo tego wszy-
stkiego za dużo, jak na jeden niewielki kraj.

Żadne państwo nie ostoi się bez podbudowy w masach, czyli bez odpowiedniej struktury społecznej. Czy Belgia może zatem w swoich warunkach, przy rozdarciu wewnętr-
z-

nym i spiętrzeniu przeciwnieństw, znaleźć i ocalić swą wiekuiistą rację bytu? Pytanie to nie my stawiamy. Stawia je za troskana, czujna myśl młodej Belgii z niepokojem wpatrzona w przyszłość. I nie tylko wpatrzona. Aktywna, jak mało gdzie. *Homo agens* tęskni czynnie do przebudowy belgijskiego świata.

Belgia to państwo buforowe. Tak się mówiło za czasów starszego Leopolda. Niespełna 8 milionów mieszkańców przy dużym zgęszczeniu: 250 ludzi na 1 klm. kw. Układ gospodarczy podobny do Zagłębia Ruhry w Niemczech i do Walii angielskiej, z tą jednak różnicą, że oba te zagłębia mają potężne zaplecza własne i tam zapewniony zbyt produkcji, podczas gdy Belgia zależy całkowicie od wymiany z zagranicą. Musi importować żywność, płacąc za nią wyrobami swego przemysłu. Zależność ekonomiczna od kompleksu zachodniej Europy wiąże z ustalonym systemem gospodarki i utrudnia bardzo dotkliwie wszelkie próby samodzielnych rozstrzygnięć.

Na szczęście przyszłość należy do tych, którzy ryzykują, nie czekając na stuprocentową pewność. Albowiem rzeczywistość czymże jest, jeśli nie polem ciągłych eksperymentów, jak powiedział jakiś ekonomista. Prawdopodobnie w najbliższym 25-leciu zakończy się ewolucja kapitalizmu i wówczas Belgia przekona się, czy gospodarczo i politycznie może istnieć, jako państwo niezależne. Narazie wszystko ma do zdobycia i nic do stracenia.

Marx nie przewidział, że maszynizacja przemysłu osłabi armię robotników. Marksisci uważali za dogmat, iż w miarę koncentracji kapitałów rosnąć będzie siła i liczba proletariatu, poczym władza polityczna musi sama upaść mu do nóg. Tymczasem maszyna wyparła człowieka. Statystyka w Stanach Zjednoczonych A. P. (Committee on social trends) za czas od 1900 do 1930 r. wykazuje czarno na białym, że

klasa robotnicza wyraźnie zmalała, wzrosła natomiast t. zw. średnia burżuazja i pracownicy umysłowi, specjalnie w takich dziedzinach, jak: handel i komunikacja. To znaczy, że maszyny pracują automatycznie, do kierowania zaś i kontroli potrzebni są raczej technicy i urzędnicy. Innymi słowy, im większa kultura produkcji, tym mniej roboty dla proletariatu. Ale proletariatus nie przestaje się płodzić. Stąd dalszy wzrost bezrobocia i spadek spożycia. Błędne koło. Niestety, kręci ono fundamentami systemu gospodarczego, w którym żyjemy.

W ciągu niecałych 30 lat, od 1901 do 1929 r., ludności w Belgii przybyło niewiele, za to produkcja wzrosła o 69%. Dzięki ulepszonej technice w kopalniach wydobyto w r. 1929 trzy razy tyle, co w r. 1914. A któż miał to kupować, kiedy przez ten czas gospodarcze i polityczne mapy świata uległy zmianie; kiedy granice obcych krajów podniosły się na kształt ścian i na tych ścianach ustawiono autarchiczne bariery celne. Wtedy począł szaleć kryzys. W dwa lata, od 1929 do 1931 r., rozmiar handlu światowego spadł z 750 miliardów franków fr. do 280. W Belgii, podobnie jak wszędzie, obniżył się przeciętny poziom życia, rozszerzyło się bezrobocie, zwiększyły ciężary państwowe i społeczne.

Co robić, jak wyjść z kryzysu? Wpadano z jednej ostateczności w drugą. Wczoraj wzywano do ofiar na rzecz dobra powszechnego, dziś obiecuje się powrót do wygod i dobrobytu. Uchwalano podatek, aby uratować te źródła, które właśnie podatek wyczerpał. Spieszono z pomocą kredytową bankom, żeby ulżyć tym warstwom, które właśnie przez te banki doprowadzone zostały do ruiny. Stan ogólny pogarszał się z dnia na dzień. Po szczeblach polityki deflacyjnej schodzono coraz niżej. Kurczył się budżet mas pracujących i drobnej burżuazji. Zanikała siła kupna. Rozciągał się de-

ficyt budżetu państwowego. Stare partie nie znajdowały wyjścia z sytuacji.

Z góry wiadomo, jakby wyglądały żaby, gdyby się bocian podjął je poprzemnieść w swoim dziobie z jednego stawu do drugiego. Obywatele belgijscy poczuli się w sytuacji owych żab, kiedy tolerowali przez czas zbyt długi rządy, powiedzmy, bocianów.

Minister Francqui trzęsie wszechmocnym bankiem „Société Generale“. Minister Theunis robi w aferach Empain'a i w trustach elektrycznych. Minister Gut, nie tak dawno jeszcze ubogi adwokat, obecnie uchodzi za grubą rybę nie tyle palestry, ile finansjery. Dziób tych „bocianów“, a na imię ich — legion, nie zna skrupułów sumienia. Interesy, rady nadzorcze, tantiemy, synekury po administracjach przedsiębiorstw, — oto ich żywioł. Notabene — rozkoszny. W porównaniu z tym, czymże jest minister? Katorżnikiem, podejmującym się ciężkich robót w trujących gazach publicznej krytyki i wymyślań! Nikt nie uwierzy, by ludzie rozkosznego żywiołu woleli zabójczą katorgę, niż lukier zysku. Nikt nie może się po nich spodziewać, by samym sobie na szkodę odwracali istniejący swój porządek rzeczy i „nowy zaprowadzali ład“. Jak w hymnie o czerwonym sztandarze, który przeciwstawia się takim ministrom... Człowiek zwyczajny, kiedy już ma do wyboru albo jedno, albo drugie, woli sztandar niż „szmatę“.

Do schyłku niemal ubiegłego stulecia społeczeństwo belgijskie dzieliło się politycznie na dwie partie: katolicką i liberalną. Cała różnica między nimi jeszcze dzisiaj polega na niczym innym, jak tylko na stosunku do kościoła. Poza tym każda z nich znosi w swym łonie tendencje najsprzeczniejsze: flamandów i wallonów, militarystów i pacyfistów, zwolenników dewaluacji i oparcia o złoto. Co np. w Polsce wystarczyłoby na założenie co najmniej 6 stronnictw niezależ-

nych, to w Belgii nie. Większe tam mają upodobania do siły i masywu.

Pierwsi socjaliści weszli do parlamentu w 1894 r. Ruch socjalistyczny poczynił się w rzetelnym entuzjazmie, niósł masom robotniczym w Belgii nadzieję wyzwolenia z nędzy i wyzysku. 14-godzinny dzień pracy, głodowe zarobki, jednakowe w fabrykach u katolików i u liberałów, — to były warunki życia i śmierci proletariatu. Warunkom tym socjalizm wypowiedział walkę i rychło stał się głęboko ideowym nurtem społecznym. Dużo wody upłynęło od tego czasu. Ofiarność wyblakła. Apostołowie zeszli do roli urzędników partyjnych. Wodzowie roztyli się i wyciągają skwapliwie dłoń po tekę ministra.

Ale obok tych konformistów i reformistów pozostał *reformer*, Henryk De Man. Największy aktyw Belgijskiej Partii Robotniczej (Parti Ouvrier Belge).

NOWE PRAWO CZŁOWIEKA. Pisze się w Belgii: „Kiedy lud jest głodny, król wzywa De Mana“. Bo De Man powiedział: „Masy wolą pracę i chleb, niż kartki do głosowania“. Po polsku określilibyśmy go jako romantyka w celach i realistę w środkach działania.

Podstawą rewizjonizmu jest u De Mana *moment psychologiczny*, który wysunąć należy na plan pierwszy. Nomenklatura taka, jak: burżuazja, proletariat, — straciła w obecnej dobie swój dawny sens. Czyż bowiem bieda klasy średniej nie jest tak samo przerażająca, jak bieda robotników? Pracownicy umysłowi — w nędzy, młodzież po opuszczeniu uniwersytetu — bez widoków pracy, rolnicy zadłużeni do niemożliwości spłat, kupcy w sieci pajęczej kredytów bankowych, technicy, rzemieślnicy — toż to właściwie razem z robotnikami jeden obóz wyzyskiwanych najemników. Najemnicy łączcie się! Organizujcie blok przeciwkapitałistyczny!

Mit walki klas staje się zaczynem szerszej znacznie niż proletariacka, rewolucji strukturalnej.

Zasadą moralną tej rewolucji musi być *nowe prawo człowieka*: do minimum pracy i egzystencji. Praca nie stanowi towaru na sprzedaż, lecz funkcję społeczną. Przedsiębiorstwo winno być również traktowane jako funkcja społeczna, a nie cel sam w sobie. Tutaj zachwianie dotychczasowego pojęcia własności. Przemysł ma dostosowywać swą produkcję do potrzeb spożycia, a więc do dobra powszechnego, nie zaś odwrotnie. Tutaj odwrócenie dotychczasowych praw rynku.

Aby to osiągnąć, trzeba przechodzić od doktryny do realizacji. Socjalizm, według De Mana, jest jedną z form akcji emancypacyjnej najemników, dążących do opanowania steru gospodarki. Tutaj narzuca się, jako konieczność — *polityka możliwego maximum działania* na codzień. Stopniowa realizacja programu. Plan pracy.

Kiedy wszyscy zwątpili i rozpacz chytała się krańcowych środków, Henryk De Man podał narodowi ostatnią deskę ratunku — swój „Plan Pracy“.

„Program jest zwykłym wyliczeniem żądań. Plan jest uszeregowaniem środków działania uwarunkowanych całością. Program postuluje dezyderaty. Plan precyzuje wolę. Określa, że to i to wykonamy w tym a tym terminie. Plan jest zobowiązaniem ustalonym, częścią programu do zrealizowania niezwłocznie“... Tak pisał o swym „Planie Pracy“ De Man.

Schemat Planu poprzedzony jest wstępem, w którym twórca ustala swą pozycję złotego środka pomiędzy własnością prywatną, a kolektywizacją. Po Charybdzie unika Scylli. Uciekając od monopolu prywatnego, nie chce monopolu biurokracji: „Tam, gdzie przemysł prywatny skartelizował się dostatecznie i przeszedł niejako w monopol, należy go wy-

właszczyć na rzecz państwa; tam, gdzie znajduje się jeszcze w trakcie ewolucji konkurencyjnej, należy tą ewolucją pokierować planowo, pozostawiwszy własność właścicielowi; tam, gdzie stanowi zespolenie własności osobistej z pracą osobistą (np. drobne rolnictwo, rzemiosło), zasługuje na opiekę i poparcie państwa". To są wyraźne trzy strefy działania „Planu Pracy". Gospodarka planowa, lecz mieszana.

„Plan Pracy" obejmuje dwa sektory: I — upaństwowiony, II — prywatny.

I upaństwowiony: instytucje kredytu, przemysły podstawowe (surowce i siła pędna), środki transportowe.

II prywatny: wszystkie pozostałe gałęzie gospodarki; oszczędności, prawo spadkowe, kapitały obce.

Oba sektory podlegają Radzie Gospodarczej powołanej przez parlament. Żeby nie było zbytniego etatyzmu, parlament wyposaży ciała przez siebie powołane do realizowania „Planu Pracy" w pełnię władzy i odpowiedzialności.

Do opracowania w związku z „planem pracy" ustaw powstawać będą Rady specjalne, złożone w części z parlamentarzyistów, w części zaś ze speców z poza parlamentu.

Na Kongresie w czasie świąt Bożego Narodzenia w r. 1933 partia zaaprobowala „Plan Pracy" De Mana, uznała za swój i powierzyła szczegółowe przepracowanie wytycznych swemu Biuru Studiów Socjalnych. W rezultacie wydany został w r. 1935 gruby tom p. t. „*Wykonanie Planu Pracy* przez Henryka De Mana i zespół Biura Studiów Socjalnych".

Fala zwolenników planu szła przez cały kraj, rosła, potęgowała. Na mityngach w Charleroi, Brukseli i wielu innych miastach gromadziły się tysiące ludzi różnych warstw i różnych przekonań. *Mistyka gospodarki planowej jęła ogarniać masy*. Tymbardziej że chodziło o sprawy materialne i niematerialne, o pierwszy zdecydowany krok w kierunku przebudowy struktury gospodarczej i politycznej. „Nic, tylko

plan, cały plan"! To nie było wołanie. To był grzmot zapowiadający burzę.

Jednakże maksymalistów „Planu Pracy“ spotkał srogi zawód. Mistyczno - burzliwy pierwszy kwartał 1935 r. zakończył się kompromisowo. Misję tworzenia gabinetu powierzył król Leopold III van Zeelandowi, wicegubernatorowi Banku Państwa. Do rządu zaproszono także i socjalistów. Z „Planu Pracy“ De Mana przyjęto do realizacji tylko pewne fragmenty.

Cynicy uważają, że ład społeczny trzyma się — krakowskim targiem.

CZWORAKI DUŃSKIE

Treść: problem pantofli domowych, szlafrok, fajka, fotel. Tytuł „Pan domu“. Pod tym tytułem i tej treści oglądałem niegdyś film duński. Powie kto: nudna rzeczywistość. Tak jest, dla tego, kto ją ma, ale ideał społeczny — dla bezdomnego dziada. Kiedy mówimy — Dania, myślimy — chłop. Cóż to za nieosiągalna, zdawałoby się, sztuka: móc dokonać metamorfozy chłopu w „pana domu“ z duńskiego filmu. Rozumie się, że nie stylem Owidiusza, ani gęsim piórem naszego Piotra Baryki z Sieradzkiego w komedii rybałtowskiej „Z chłopu król... Tylko naprawdę, realnie, jak w Danii.

Statystyka urzędu skarbowego posłużyć może jako termometr gospodarczy, wskaźnik zdrowia lub choroby.

W Danii na 3 miliony 700 tysięcy mieszkańców, w tym 750 tysięcy ojców rodzin, prawie połowa, dokładniej 1 milion 700 tysięcy obywateli płaci podatki. Z górą 70% ludności zarabia przeciętnie od 2.500 do 3.000 koron rocznie (korona duńska — trochę więcej niż złotówka), czyli jest w stanie utrzymać się względnie dostatnio. 300 tys. ludzi zarabia po przeszło 4 tys. koron rocznie. To już są zamożni. Milionerów na miarę światową nie ma, lecz na miarę duńską starczy. Jest ich 464. Z czego 3 posiada majątek każdy powyżej 10 milionów, 9 po najmniej 5 milionów, 128 po 2 miliony z czymś, reszta po milionie z ogonkiem.

Oczywiście nie milionerzy decydują ostatecznie o bogactwie kraju, tylko zakres powszechnego spożycia. Pod tym względem przeciętny Duńczyk bezkonkurencyjnie przoduje

w porównaniu z kimkolwiek innym średnim zagranicą. Nikt bowiem nie zjada tyle co on: cukru, kawy, mięsa, jarzyn, masła, czekolady i ciasta. Podobnie produkuje stanowisko zajmuje on w dziedzinie spożywania produktów z regionu bardziej duchowego, jak radio, telefon i książka. Wprawdzie nie ma podstawowych surowców przemysłowych, za to łańcuch je nabywa od innych za gotówkę z eksportu własnych płodów rolnych: masła, bekonów i jaj, które lokuje w Anglii.

Szekspir umieścił wiekuistego Hamleta na zamku w Elsynorze. Elsynor, albo Helsingoer, to w rzeczywistości miasto duńskie na Sundzie. Konkret i poezja. Jakże jednak zdumiewającą drogę przebył Duńczyk od obiektu fantazji poetyckiej Anglika do eksportera bekonów, od Hamleta do wieprza...

KOMFORT ROBOTNIKA ROLNEGO. Parlament w Kopenhadze, „folkething“. Dyskusja nad budżetem Ministerstwa Opieki Społecznej. Minister Christensen zwraca uwagę Izby na smutny objaw zwiększania się bezrobocia w miastach, podczas gdy z drugiej strony brak rąk do pracy na wsi. Poseł Larsen ilustruje słowa ministra faktem następującym.

— Dałem, powiada, ogłoszenie do gazet, że potrzebuję czterech robotników rolnych. Zapewniłem im warunki życia komfortowe. Pensja 650 kor. rocznie, utrzymanie, mieszkanie. Ba, jakie mieszkanie?! Cztery pokoje duże i słoneczne, stołowy, salonik, dwie sypialki, do tego woda bieżąca zimna i stale ciepła, elektryczność, gaz, łazienka, waterklozet osobny dla każdego, radio. Ogłoszenie ukazywało się w ciągu czterech miesięcy — bez skutku. Do pracy nikt się nie zgłosił.

Nie wdając się w meritum sprawy dyskutowanej w parlamencie duńskim, ośmielamy się jedynie na marginesie ze-

stawić ogłoszenie pośła Larsena z Żeromskiego „Słowem o bandosie“. Konkret i poezja. Komfort i „sławojka“. Czworaki duńskie i czworaki polskie.

Małorolny chłop w Danii ładnie mieszka, pracuje w kierunku dochodowej produkcji hodowlanej, należy z reguły do organizacyj gospodarczych, posiada wykształcenie w zakresie obowiązkowo szkoły powszechnej, niemal bez wyjątku szkoły rolniczej, bardzo często uniwersytetu ludowego.

Sto lat temu tkwił jeszcze w nędzy i ciemnocie. Naród w wiekach średnich zaborczy, siłą zbrojną szturmujący onego czasu Anglię, panujący nad całym półwyspem Skandynawskim, dziwnie w pierwszej połowie w. XIX-go upadł i zniechędźniał.

Dopiero później w ruchu chłopskim ocknął się, podźwignął i odrodził dzięki bohaterskiemu porywowi i woli swoich działaczy ludowych z pastorem Grundtvigiem i nauczycielem Koldem na czele.

Istnieje mądra zasada pedagogiczna w szkole, że nie należy dziecka formować na modłę z góry ustaloną, na wzór swojej doktryny religijnej i politycznej, czyli jakbyśmy się wyrazili wulgarnie — na jednym kopycie. Albowiem otrzymalibyśmy w rezultacie szablonowy, koszarowy typ manekina i robota. Powinno się raczej dążyć do wszechstronnego obudzenia człowieka, żeby zdolny był myśleć i działać samodzielnie. *Homo sapiens*. Żeby się stał kowalem własnego losu. *Homo faber*. Żeby osiągnął jakiś stopień uduchowienia. *Homo spiritualis*. Szkoła posługująca się metodą budzenia człowieka wychowuje nie jeden wyłączny typ, lecz wielość indywidualności, liczbę mnogą, pluralis. Nazwiemy ją zatem szkołą pluralistyczną.

Apostołami pluralizmu wychowawczego musieli być bezwątpienia i Grundtvig i Kold. Obaj marzyli o tym, by obudzić w ludzie duńskim człowieka. I żeby na obudzonym czło-

wieku wsparło się odrodzenie narodu i państwa.

Piłsudski, wielki wychowawca Polaków, uczył, że przy dowodzeniu, czy, powiedziawszy ogólniej, przewodzeniu i kierowaniu ludźmi, gdy się duszy żąda, trzeba duszę dać. A więc serdeczną krew, szczerą prawdę w słowie. Dlatego żywy osobisty kontakt nauczyciela z uczniami jest nieodzownym warunkiem skutecznego oddziaływania. To wytwarza osobliwą, niczym niezastąpioną atmosferę w duńskim uniwersytecie ludowym. A za tym przykładem starają się pójść i polskie uniwersytety wiejskie: w Szycach pod Krakowem, w Gaci pod Przeworskiem, w Tywonii, w Głuchowie Mazowieckim, na Wołyniu, w Wielkopolsce. Starają się w miarę umiejętności i sił.

CHRYSTIAN KOLD. Kilkanaście lat pracy włożył Grundtvig w ideę uniwersytetów ludowych, zanim mógł myśl swą wcielić w czyn. Pierwszy uniwersytet chłopski w Danii założony został w 1844 r. w Roding. Odtąd liczba ich rosła nieprzerwanie i dzisiaj dochodzi chyba do stu.

Najzarliwszym realizatorem idei Grundtviga był Chrystian Kold, niestrudzony pielgrzym, który pieszo przewędrował Europę, zawsze ubogi niczym mnich, aż osiadł w ojczyźnie na wyspie Fionii, w Rysling, gdzie przy pomocy Grundtviga zorganizował uniwersytet ludowy. Szkołę budzenia człowieka.

W takiej szkole obudzony chłop duński podniósł głowę, rozpostarł ramiona, ugruntował rzetelny ruch ludowy na fundamentach oświaty i postępu gospodarczego, powołał do życia organizacje o zadaniach praktycznych, politykę oparł na rzeczach konkretnych, zbogacił się, wziął na swe barki ciężar dźwigania państwa.

Prawda, w obecnej chwili kryzys daje się we znaki także chłopom duńskim. Hipoteki wiejskie są obciążone do 75%.

Rozpiętość nożyc pomiędzy spadkiem cen na płody rolne a sztywnością cen przemysłowych tnie bez miłosierdzia wytwórczość wsi. Ludność zdobywa się na akt protestu masowego i urządza demonstracyjny marsz na stolicę. 50 tysięcy chłopów staje przed pałacem królewskim i, z pominięciem rządu, wprost na ręce króla składa księgę zażaleń drobnego rolnika. Prawda, że to jeszcze nie rozstrzyga sprawy...

W każdym razie walkę prowadzi się na wysokim poziomie metod i] na dużej stopie życia wiejskiego. Po rannej kawie ze śmietanką i z cukrem... W czworaku duńskim, który łącznie mógłby ujść za dworek w Polsce...

P O L E W K A Z K R W I

Pieśni i psalmy więcej sprawiły dla reformy religijnej wśród mas niemieckich niż zasadnicze tezy. Ciekawe to spostrzeżenie uczynił Funck-Brentano w swym studium o Marcinie Lutrze, który był wybitnie zdolnym autorem pieśni i psalmów religijnych. Wspomniałem o tym, słuchając niejednokrotnie w radio przemówień Hitlera. On wie, jak należy mówić do narodu. W tym była i jest wielka siła Führera. Nie tyle treść, ile ton słowa bierze i zdobywa słuchacza.

Nie wiem, czy piwiarnia Hofbräu w Monachium zaliczona już została do monumentów historycznych godnych zwiedzania. Tutaj w każdym razie zaszedł fakt wiekopomny: w dn. 24 lutego 1920 r. przyjęto deklarację ideową Robotniczej Partii Niemieckiej, późniejszej N. S. D. A. P. (dosłownie Narodowo - Socjalistyczna Niemiecka Robotnicza Partia). Stąd ruch hitlerowski wyszedł z programem złożonym z 25 punktów i z hasłem naczelnym: siła, rasa, jedność.

Mieli wśród siebie Hitlera, ale razem było ich tak mało, że mówili: albo będzie nas 70, albo 7.000. Szczyt marzeń, na które rzeczywistość obecna w Niemczech odpowiedziała echem przeszło tysiąckrotnym.

Jakaż treść nową zapowiadał program ówczesny? „Skasowanie dochodów, o ile nie są owocem pracy osobistej i wysiłków; obalenie niewolnictwa kredytowego; konfiskata zysków wojennych; upaństwowienie wszystkich prywatnych trustów; zajęcie niezwłoczne wielkich magazynów towarowych i wydzierżawienie ich spółdzielniom; śmierć paskarzon.

i spekulantom wszelkiego rodzaju; zniesienie wielkiej własności ziemskiej“ i t. d. i t. d. Słowem, koktail ekonomiczny, socjalny i polityczny, w którym na owe czasy nikt poważnie nie gustował.

Jednym z celów ruchu faszystowskiego było obalenie równości indywidualistycznej, wywalczonej przez Wielką Rewolucję Francuską w interesie prywaty burżuazyjnej. Jednym z celów ruchu hitlerowskiego jest podważenie zasady prawa rzymskiego: wolności osobistej w granicach dobra zbiorowego. „Prawo rzymskie, które jest u podstaw organizacji materialistycznej świata, ma być, — zapowiada program hitlerowski z 1920 r. — zastąpione przez prawo niemieckie“

Prawo niemieckie wypowiedziało się zaraz w polityce zerwaniem mów lokarneńskich. Marsz wojsk niemieckich przez mosty Renu w kierunku zachodnim był złowróżbną odpowiedzią na marsz w kierunku wschodnim legii Cezara przed dwoma tysiącami lat. Prawo niemieckie przeciwko prawu rzymskiemu. Bohaterski wódz barbarzyńskich Sasów, Witikind, przeciwko Karolowi Wielkiemu, królowi Franków.

To są echa, które zbudziło objęcie zdemilitaryzowanej strefy nadreńskiej, a może imponujący wynik akcji wyborczej Zagłębia Saary... Tak czy owak ziarna tych zdarzeń zawarte już były w enuncjacji programowej z 1920 r. Nie w treści, naturalnie, lecz w tonie słów i w okolicznościach sprzyjających rozwojowi ruchu.

Trzydzieści lat minęło zanim program z 1920 r. mógł zacząć być wcielany w życie. Od momentu zredagowania go do ujęcia władzy przez Hitlera ulegał orkiestracji i zmianom tak doniosłym, że z 25 punktów pozostało niewiele więcej oprócz naczelnego hasła: siła, rasa, jedność.

Jest takie powiedzenie niemieckie, że nie podaje się zupy w temperaturze gotowania. Musi przestygnąć. Nikt nie rea-

lizuje programu w temperaturze obietnic początkowych. Lepiej, kiedy obietnice wystygną, albo zgoła ulotnią się.

Apostoł gospodarki narodowo - socjalistycznej, Feder, głosił wyzwolenie „pracy produkcyjnej i twórczej, pracy mózgu i rąk z niewoli kapitału paskarskiego“.

Hitler wołał: „Lud niemiecki nie żyje dla gospodarstwa, ani gospodarstwo nie istnieje dla kapitału, tylko kapitał służy gospodarstwu, a gospodarstwo ludowi“.

Zato dr. Schmidt, twórca ustawy z dn. 27 lutego 1934 r. o ustroju organicznym gospodarstwa niemieckiego, pisze mianowicie: „Führer opóźnia rozwiązanie problemu korporacyjnego, ponieważ konstytucja korporacyjna powinna się wyłaniać stopniowo z ewolucji faktycznej“.

Zupa stygnie... Jak dotąd, nie słyszymy nic o zajęciu i darowaniu spółdzielniom pracowniczym wielkich magazynów towarowych. Zupa stygnie...

Goebbels jest zdania, że propaganda nie musi być „ausgerechnet“ logiczna i konsekwentna, może być, jak życie samo, pełna sprzeczności i złudzeń. Rozumiemy.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że ruch hitlerowski tylko obiecywał, a niczego nie dotrzymał. Dokonano wielkich zmian, kolosalnej przebudowy. Nie w tych atoli kierunkach, które zapowiadano na wstępie.

Führer zwalczał kapitalizm międzynarodowy, anonimowy, semicki. I to zostało dotrzymane.

„Narodowy i socjalny, — pisze Hitler, — to są właściwie dwie koncepcje identyczne. Być socjalnym to znaczy budować państwo, zbiorowość narodową w taki sposób, żeby każdy pracował dla zbiorowości i żeby w rezultacie był przekonany o doskonałości swego narodu“.

„Gospodarstwo jest naszym gospodarstwem, fabryka — naszą fabryką i wszelka próba zniszczenia tego, co jest nasze, będzie bez miłosierdzia stłumiona“.

Dała temu wyraz wydana w 1934 r. teoria systemu pracy. Na tej podstawie zmontowano nowy ustrój pracy w Niemczech. Obowiązujące do tego czasu umowy zbiorowe unieważniono, jako zabytek ideologii marksowskiej, jako trwonienie sił ze szkodą dla zbiorowości. Rozbito związki zawodowe i wszystkie wcielono w „Arbeitsfront” pod komendę Führera Dra Roberta Leya. Ale jednocześnie przy każdym fabrykancie postawiono mianowanego przez rząd komisarza pracy, *powiernika*, który decyduje o kalkulacji towaru, a więc i o płacach robotniczych, w interesie dobra zbiorowego, nie zaś w interesie osobistym fabrykanta.

„Przedsiębiorca, urzędnik i robotnik, pracują razem w kierunku celów przedsiębiorstwa i dla wspólnego dobra narodu i państwa”.

Interwencjonizm państwowy w najwyższym stopniu. Karpalizacja świata pracy. A to oznacza mobilizację gospodarczą przemysłu i postawienie go na stopie niemal wojennej.

DUCH FRONTU. W swej autobiografii „Mein Kampf”. tej nowej Ewangelii Niemiec dzisiejszych, Hitler poświęca kilka stron wartościom wychowawczym wojny. „Kamardenschaft” z okopów. Przyjaźń idealna ludzi opanowanych jedną wolą, mocy i poświęcenia. Duch frontu.

Żeby w tym duchu wychować obywatela, mobilizuje się młodzież i poddaje rygorystycznemu systemowi. Każdy młody Niemiec, zanim rozpocznie studia wyższe, musi obowiązkowo przepracować 6 miesięcy w „Arbeitslager”. Kto się okaże dobrym w robocie fizycznej i spółzyciu praktycznym z kolegami, zdobywa prawo do studiów teoretycznych. Honor prawdziwy daje dopiero praca i zetknięcie się z różnymi warstwami jak w wojsku. Stąd „Volkgenossen”. Na czele młodzieży akademickiej stoi Führer Baldur von Schirach.

We wrześniu 1934 r. w Norymberdze defilowała przed Hitlerem armia młodzieży, 55 tysięcy z łopatami na ramieniu... Na czele „Arbeitsdienstu“ stoi Führer płk. Hierl.

Kult heroizmu i energii równa na duch frontu w czasach pokojowych.

Rzecz Nietzsche: „Mówią Wam: błogosławieni cisi. A ja wam powiadam: błogosławieni ci, którzy czynią wojnę, albowiem nazywać się oni będą nie dziećmi Jahwy, lecz dziećmi Odyna, który jest bogiem potężniejszym od Jahwy. Chrystus niemiecki przynosi Wam miecz, nie pokój“...

Rzecz Heinrich von Treitschke: „Wojna dla narodu jest jak kąpiel zdrowia“. Prof. Treitschke nienawidził Żydów i socjalistów, głosił misję Bożą Prus oraz zjednoczenie narodu niemieckiego przez Prusy.

Hitler wzywa naród do trzymania się razem jak kolumna w marszu.

Gen. von Metsch dumny jest z tego, że puls narodu niemieckiego bije po żołniersku.

Mobilizują wszystko i wszystkich, wychowują w duchu frontu i wreszcie pada na Niemców niby zaraza — mistyczny szal wojny. To już nie Ateny Peryklesa. To Sparta, doprowadzona pieśnią Tyrteusza do paroksyzmu narodowego, woła o *polewkę z krwi*.

HERR DOKTOR BANSE. Herr Doktor nie leczy urazu wojennego. Przeciwnie, systematyzuje go, powołuje do życia nową gałąź wiedzy — psychotechnikę wojny i wojowników. Umysły, twierdzi, powinny być tak samo uwzględnione jak koszary i arsenał.

Dwie jego książki „Wehrwissenschaft“ (Wiedza wojenna) i „Volk und Raum in Weltkrieg“ (Naród i przestrzeń w wojnie światowej) wywołały niedyskretne zainteresowanie w Anglii tak dalece, że musiano je w Niemczech dla pozoru

wziąć na indeks. Tym nie mniej Herr Doktor Banse zajmuje w dalszym ciągu katedrę wiedzy wojskowej w jednym z uniwersytetów niemieckich.

Wojna, według Bansego, jest zjawiskiem zupełnie naturalnym i nawet pożytecznym. Bronić się skutecznie znaczy atakować zawczasu. Wojna jest naturalnym odruchem narodu, który ma chyba prawo rozpostrzeć się i poprawić swoją sytuację geograficzną, jak człowiek ma prawo do oddychania świeżym powietrzem. Dlatego wojna jest zjawiskiem nie tylko naturalnym, ale koniecznym i usprawiedliwionym.

Herr Doktor Banse stawia wojnę na piedestale, czyni z niej filozofię narodu niemieckiego.

Rzeczą zaś wodzów jest misję dziejową narodu niemieckiego realizować na Renie i na Wiśle.

MISTYKA HITLERYZMU

Na obchodzie cztertnastolecia ruchu hitlerowskiego w dn. 25 lutego 1934 r. odbyło się uroczyste zaprzysiężenie tak zwanej „wierności wewnętrznej“, inaczej mówiąc — dobrowolnego posłuszeństwa. Tu już nie chodzi o wyrobienie sobie określonego światopoglądu (Weltanschauung), o stworzenie baz intelektualnych doktryny narodowo - socjalistycznej. „Chodzi, jak powiada Alfred Rosenberg, szef wychowania politycznego III-ciej Rzeszy, o odrodzenie zbiorowości“. Dlatego należy z powierzchni zejść głębiej. Umocnić postawę heroiczną człowieka. Na wierności i posłuszeństwie oprzeć montaż siły. Uskrzydlić siłę — mistyką.

Wiara z nędzą idą w parze. To nie paradoks. Naród niemiecki po klęsce wojennej musiał szukać pociechy. Niepokojem poszukiwań wyróżniała się zwłaszcza klasa średnia, w strukturze społecznej bytująca pomiędzy proletariatem, a burżuazją; klasa liczna, bo obejmująca niemal połowę ludności Niemiec; klasa żyjąca na peryferiach wielkiego przemysłu i koncernów bankowych. Myśl i życie tej klasy, to osobliwa penetracja sprzeczności, idei i upodobań spływających z góry, albo bijących z dołu.

Imperializm Hohenzollernów załamał się w 1918 r., a z nim uległa załamaniu cała dynamika zewnętrzna, napór na Zachód i Wschód, Drang nach West und Ost. Pęd wojny zahamowany nagle skręca się jak gdyby sam w sobie i przechodzi w rewolucję. W wojnę, zdawałoby się, domową, ale powiedzmy odrazu dla ścisłości — w parodię wojny domo-

wej. Socjalna demokracja niemiecka pomagała cesarstwu w wojnie do ostatka, rewolucję zaś, ten osobliwy dalszy ciąg w Niemczech wojny zewnętrznej, hamuje. Stąd parodia przewrotu, parodia Republiki, parodia konstytucji weimarskiej. Brak socjalizmowi niemieckiemu tak w demokracji, jak i w komunie, może nie teoretyków ruchu, ale wodzów, idących brutalnie do władzy przez gwałt. Jak Lenin.

Kłeska powojenna rujnuje do reszty klasę średnią. Ojciec widzi, iż syn jest bez przyszłości, córka bez posagu i bez męża. Chłop w sytuacji beznadziejnej. Młode pokolenie — pod ścianą bez wyjścia. Proletariat fabryczny to armia bezrobotnych. Budzi się nienawiść do partyj, które sprawiły tak bolesny zawód. Równocześnie dokonywa się okupacja Zagłębia Ruhry, nacisk o odszkodowania. Cios za ciosem dla ambicji narodowej. Aż wszędzie budzi się tęsknota do porządku, do odpowiednio silnych rządów, do żelaznej ręki.

NATCHNIONY PODOFICER. Duch pierwszej dziesiątki N. S. D. A. P. to duch żołnierzy niemieckich z okopów pod Verdun. Pytanie: dlaczego w swym pierwszym programie ustrojoburczym nie poszli oni na rewolucję antypaństwową, tylko na nacjonalizm? Dlaczego — nie na restytucję monarchii, tylko na *sui generis* socjalizm?

Tu przypomnijmy sobie. Należeli do klasy średniej, a więc wychowali myśl i ideę na peryferii kapitalizmu. Mieli z cywila i z wojska wdrożony szacunek dla zasług wojennych. Nie dać się zepchnąć kapitalistom z powrotem na podrzędne miejsce wysługi, — to odruch całkiem naturalny. Nie po to przecież terali się w okopach pod bezustanną grozą śmierci, ażeby teraz własnym wysiłkiem przywracać dawny ład. Z cesarzem, z byłą strukturą społeczną, ze starym systemem. Do licha z tym wszystkim. Musi być porządek na prawdę. I siła. Bo tylko to i jedynie to ma znaczenie.

Zjawia się nowy, oryginalny czynnik działania: ludzie z poświęceniem i decyzją, wychowani w stylu rozkazów żołnierskich. Mowy ich brzmią jakoś inaczej. Są natchnione i — podoficerskie. I to słuchaczy bierze.

Hitler, wielki mówca, skupia w sobie, niby seismograf, dążenia i pragnienia mas, negatywne i pozytywne. Umie utrafić. Natchniony podoficer czaruje. Tymbardziej, że doktrynę swą rozwija na bazie ideologii państwowej, wkorzonej w duszę Niemca, i jeszcze zaprawia ją wiarą mistyczną, której spragniony był Niemiec w chaosie. Historia, mówi, składa się z wypowiedzi rasowych. Dzieje, mówi, są emanacją ras. Szerzy się mistyka rasy.

A wszystkiemu był winien Francuz, hr. Artur Gobineau (1816 — 1882). Nie żył już wprawdzie, ale duch z za grobu wpływał na rzeczywistość niemiecką.

ARTUR GOBINEAU. Zdolny dyplomata, świetny pisarz, Gobineau nie cieszył się we Francji popularnością. Powiadano o nim, że wyprzedził swój czas, lecz go nie opanował. Natomiast obudził zainteresowanie nieprzeciętne w Niemczech, gdzie uzyskał zwolenników i uczniów. Pierwsze stowarzyszenie „Gobineau - Vereinigung“ powstało w 1894 r., kiedy we Francji nikomu się nie śniło nawet o tym.

Zasadniczy wykład o idei ras zawarł Gobineau w dziele p. t. „*Essai sur l'inégalité des races humaines*“ (1853 — 55). Uzupełnienie pewne dał w „*Pléiades*“.

Gobineau odróżnia trzy zdecydowane typy rasowe człowieka: czarny — emocjonalny, żółty — materialista, biały — intelekt produktywny. Różnice zatem są tak po stronie fizycznej jak i duchowej. Różnic nie wyrówna się przez krzyżowanie, nie można bowiem doskonalić typu nieograniczenie. Krzyżowanie przytem podnosi rasę niższą, obniża za to wa-

lory wyższej. W ten sposób dochodzi się do degeneracji typu przez wyczerpanie zasady etnicznej.

Tej erozji przyrodniczej typu ludzkiego, degradacji człowieka przez zanik zasady etnicznej, może się w pewnej mierze przeciwstawić zwycięsko — plejada. Powiedzielibyśmy dziś elita. Zespół, w którym mistycznie budzi się odrodzony i spotęgowany duch rasy, ściślej biorąc, duch aryjski. Bo wśród rasy białej — aryjczyk jest panem stworzenia. Ma w sobie instynkt społeczny. Tego nie mają Żydzi. Oni są antytezą aryjczyka.

Kiedy z plejady eksploduje duch rasy aryjskiej, to oznacza, że zaczynamy apelować do instynktu społecznego, tworzymy siłę, organizację, hierarchię, państwo. Poddając naród takiej dyscyplinie, oczyszczamy rasę. Aryjskość to nieśmiertelna siła wewnętrzna narodu. Wola mocy u Aryjczyków wypowiada się w formie życia zorganizowanego. W formie państwa jak u Germanów. Państwa zmontowanego jednolicie od podstaw.

Aryjskość w stanie względnie najmniej pomieszanym zachowała się u Skandynawów. Stąd rasa nordycka na piedestale. Najbliżsi niej są Germanowie, później idą Słowianie, Gallowie, Anglo - Sasi i t. d.

VACHER DE LAPOUGE. Uczniem Gobineau we Francji był wybitnie osamotniony Vacher de Lapouge, antropolog. W swojej książce „Aryjczyk i jego rola społeczna“, oraz w innych, rozwija teorie mistrza w kierunku pomiaru czaszek i wynikających z tego jakoby konkluzyj naukowych, czym się już Gobineau wcale nie zajmował.

Aryjczyk europejski, *homo europaeus*, to długogłowy blondyn (dolichocefal), w przeciwstawieniu do typu jakoby niższego, krótkogłowca (brachycefal). Postęp, zdaniem Vacher de Lapouge'a, to utopia, albowiem rasy niższe sztur-

mują ustawicznie rasę nordycką ariów, zalewają ją, degenerują. Żeby temu zalewowi przeciwdziałać, Germanowie tworzą koncepcję silnego narodu i państwa.

Niemcom poglądy te niezwykle przypadły do gustu. Książki Vacher de Lapouge'a znajdowały w Niemczech chętnych przekładców, nakładców i wiele wydań.

Ciekawe, co Vacher de Lapouge pisze o Żydach. To nie rasa zoologiczna, to rasa psychiczna. Pod presją warunków zewnętrznych, a nie pod naciskiem krwi, stworzyli jedność psychiczną, swoisty nacjonalizm.

HOUSTON STEWART CHAMBERLAIN. Pojętym uczniem Gobineau i Vacher de Lapouge'a okazał się zniemczony Anglik, Houston Stewart Chamberlain, autor książki „Die Grundlagen des XIX Jahrhunderts“, wydanej w r. 1899, a więc na progu wieku XX, kiedy wchodzimy, zdaniem Chamberlaina, w epokę wojny ras. Zwycięży rasa najmniej zdegenerowana. Dlatego ideę rasy trzeba obowiązkowo podmurować doktryną nacjonalizmu.

Nie Grecy, w oczach Chamberlaina, zasługują na uznanie, lecz Rzym. Polityka, administracja, prawo. Wszystko co formowało siłę zbiorowiska, co prowadziło do panowania nad światem.

W poglądach Chamberlaina konstatujemy organiczny spłot mistyki rasy z mistyką narodu. To też nie dziwi nas, że u kołyski ruchu hitlerowskiego stał ten ex-Anglik i, o ile dobrze wiemy, pomagał Hitlerowi w początkach jego akcji.

EUGENIKA I GENETYKA. Idea rasy nie jest w swej istocie taka zła i nie musi koniecznie prowadzić do mistycznych dywagacyj. Zwraca ona bacniejszą niż dotąd uwagę na człowieka, na problemy dziedziczności i wychowania. Dąży do wytworzenia człowieka słonecznego, pełnego radości, siły i humanitaryzmu. O ile oczywiście, idea rasy pozostaje

narzędziem wiedzy w ręku profesorów, a nie motywem agitacji na ustach najbardziej natchnionych feldwebli.

Prof. Lundborg z uniwersytetu w Upsali napisał kapitalne dzieło naukowe „Mieszanina ras w człowieku”. Stamtąd dowiadujemy się, że idea rasy traktowana jest w Europie poważnie i uczenie, że jest wydawana wspaniała „Bibliografia genetyczna”, że sławę na tym polu zdobyło już 510 autorów, że napisano na ten temat z górą 1000 dzieł.

Co my o tym wiemy w Polsce? Kto czyta u nas Osborna, Stoddarta i in.?

Niewątpliwie piękną i pożyteczną stronę doktryny naukowej, wynikającej z idei rasy, przesłania nam bliższa geograficznie mistyka hitleryzmu, pod wpływem której szkoły niemieckie otrzymują taką oto instrukcję Ministra Spraw Wewnętrznych Rzeszy, Fricka:

...„Trzeba w nauce historii wykazywać, że wszystko piękne w dziejach Europy, jest dziełem rasy nordyckiej. Historia grecka z tego punktu widzenia doprowadzi do wniosku, iż Grecy byli braćmi Germanów. Grecy nordyccy tworzyli warstwę wyższą tak, że walka klas w Grecji sprowadzała się do walki ras. To samo w Rzymie, konflikt patrycjuszów z plebeuszami. Ważność wszelkich inwazyj na tym polegała, że wprowadzały dopływ krwi nordyckiej do upadającego i rozdzieranego imperium Rzymu. Ten dopływ krwi nordyckiej wywołał rozkwit kultury średniowiecza, podczas gdy inne kraje bez dopływu tej krwi nędznie wegetowały“...

Człowiek, wychowany w takiej szkole, musi ująć żagiew nacjonalizmu i — iść „ideowo“ podpalać świat.

MIT ŻOŁNIERZA

W czasie wojny w r. 1914 puszczane były przez Niemców masowo w obieg pocztówki z rysunkiem następującym: rycerz teutoński stoi nad groteskowymi postaciami Anglika i Francuza, którzy piszą pod jego dyktando warunki pokoju. I pod tym napis: „Ich diktier“.

Hindenburg jeszcze w r. 1917 głosił zajęcie Alzacji i Lotaryngii, przymusowe wysiedlenie mieszkańców do Rzeszy i kolonizację obu tych krajów przez rdzennych Niemców. Sołdacki sposób załatwienia odwiecznego sporu pomiędzy Niemcami a Francją.

Krzyżak miał dyktować... Krzyżak miał wysiedlać i okupować po wieczne czasy... Aż tu na ten szczyt marzeń pada piorun z jasnego nieba w dn. 9 listopada 1918 r. Fatalna dla Niemców data. Zamiast glorii osiągnąć — zbrodnia i poniżenie: rewolta dezertarów, nóż wbity w plecy walczących wojsk. A za tym potoczyło się reszta niby lawina w dół: paniczny odwrót na wszystkich frontach, upokarzająca prośba o zawieszenie broni, haniebnym Traktat Wersalski, Republika socjalistyczna... I ustawiczny nacisk z zewnątrz.

Rewolucja francuska nauczyła świat, co może naród pod naciskiem z zewnątrz, jak się w nim budzi siła lwia. To samo działo się z Niemcami po zawarciu pokoju. Tylko trzeba było podsycać świadomość ucisku. Wyzwalać siłę buntu drzemiącą pod butem zwycięzców. Przyspieszać i przygotowywać planowo zerwanie pęt i zwycięstwo zwyciężonych. Zadania tego podjęło się wojsko.

Volkman w swej książce „Rewolucja niemiecka“ odsłania ciekawy objaw: przechodzenia oficerów sztabowych do cywila, ale nie w stan spoczynku, tylko w roli czynnych działaczy społecznych.

Przenikanie to odbywało się masowo, wolno więc przypuszczać, że było ono nie tyle samorzutne, ile celowe, kierowane czyjaś tajemniczą ręką. Co czekało tych oficerów w cywilu, zwłaszcza w pierwszym okresie rewolucji powojennej, kiedy triumfował duch międzynarodówki? Upokorzenie i gorzyc zawodu. Musieli być jednak ożywieni misją wewnętrzną, kiedy to potrafili znieść. Przed kimś musieli zdawać sprawę ze swoich posunięć na froncie wewnętrznym. Ratowali kraj od zagłady bolszewickiej, od rozpadnięcia się. Stawali się faktycznie apostołami jedności i potęgi Niemiec przez opanowywanie cywilnej strony życia.

Bierny opór, zorganizowany w odpowiedzi na okupację Zagłębia Ruhry, zakończył się fiaskiem. Ruina finansowa. Spadek marki. Ceny w sklepach ulegały zmianie co godzina. W Hamburgu rewolta komunistyczna. W Turynii czerwony rząd. W Saksonii — krwawa pacyfikacja. Ruch separatystyczny w Nadrenii w kierunku autonomicznej Republiki Reńskiej. Południowe Niemcy z Bawarią na czele wahają się, czy nie oderwać się od Północy i nie pójść razem z Austrią.

W tej bez wątpienia rozpaczliwej sytuacji podoficer pułku skoszarowanego w Monachium, „niejaki“ Adolf Hitler, bierze udział w wiecach, występując *jawnie w mundurze*. Musiało to się dziać nie bez wiedzy władz wojskowych, kto wie nawet, czy nie z ich polecenia, skoro fakt powtarzał się często i bez żadnych przeszkód. Kiedy rewolucja komunistyczna spartakusowców grozi Niemcom, wojsko ratuje się i prestiż państwa. Mundur Hitlera na wiecu nabiera symbolicznego znaczenia. Słowa, a specjalnie ton słów natchnione-

go podoficera, przeciwstawiają się rozprzężeniu i chaosowi. Powiało naraz innym duchem. *Mit żołnierza* ruszył w imię narodu na podbój chaosu narodowego i społecznego w państwie.

Miał prawo pisać znacznie później wódz Reichswehry, gen. von Blomberg: „Żołnierz niemiecki pozostanie zawsze wierny Führerowi Rzeszy, Adolfowi Hitlerowi, który wyrósł z szeregów armii i pozostanie zawsze żołnierzem“.

Znaczenie istotne ma tylko siła faktyczna, a nie siła manifestacyjna. Przekonał się o tym na sobie Adolf Hitler. Wejście jego do historii odbyło się w wigilię fatalnej dla Niemiec daty, w nocy z 8 na 9 listopada 1923 r. Zadebiutował jednak przegrana.

„Ich bin der Führer“, wołał na wiecach. Pozwólcie mi rządzić, a zobaczycie... Kto cierpi, przestanie cierpieć... „Jutro rano, zapewniał Hitler, albo będziemy rządem narodowym, albo umrzemy“.... Dlaczego akurat jutro, 9 listopada? Żeby rewolucją narodową odpowiedzieć na rewoltę dezertarów. Żeby zmyć hańbę fatalnego dnia.

Rzecz historyczna dzieje się znowu w piwiarni. Tym razem w Bürgerbräukeller w Monachium. Mityng nocny, przy czym obecne były władze oficjalne Bawarii niemal w komplecie: premier rządu von Kahr, dowódca dywizji gen. von Lossow, komendant policji płk. Seisser i t. d. Na środek wielkiej sali występuje Hitler, wystrzałem z rewolweru ucisza zgromadzenie i zamiast wygłaszać mowę, czyta mocnym głosem orędzie zamachowców. Obalamy rząd istniejący i ustanawiamy rząd narodowy. Dział polityki obejmuje Hitler, dowództwo wojsk gen. von Ludendorff, ministerstwo Reichswehry — gen. von Lossow (obecny na sali). Mityng został rozwiązany, ale centurie brunatnych koszul otaczają dom. Podczas gdy Hitler rusza jeszcze na miasto, aby zagrzać masy do udziału w jutrzejszej manifestacji ulicznej, Ludendorff

puszcza wolno zakładników z mitingu. O świcie alarm w policji i alarm w garnizonie. Przedsięwzięto środki zapobiegawcze w całym kraju. W Monachium ustawiono na ulicach karabiny maszynowe. Rano hitlerowcy w liczbie 3.000 z wódzami na czele maszerują na Feldherrenhall. Schupo i Reichswehra już czekają w pogotowiu z bronią u nogi. Ale zamachowcy są pewni, że nie ośmielił się paść strzał. Wtem zagrały karabiny maszynowe. Wszczął się zamęt nie do opisanego. Ludendorf cudem ocalał. Hitlera przewrócono w ścisoku. Siłą uprowadzają go wierni do auta. 16 zabitych leży na bruku. Mnóstwo rannych. Zamach stanu zamienił się w putsch.

Powtarzamy: tylko siła faktyczna ma znaczenie decydujące, a nie siła manifestacyjna. Siła faktyczna musi dojrzewać i sposobić się cierpliwie.

Tymczasem Reichswehrą dowodzi von Seeckt, autor „Myśli żołnierza“. Finanse dzierży w swym niezawodnym ręku Schacht. Polityką zagraniczną kieruje Stresemann.

Hitler idzie na 4 lata do forticy w Landesbergu. Tam pisze „Mein Kampf“.

„Profesor energii“. Tak nazwał Hitlera Kronprinz. Zaprawdę trzeba było kolosalnej energii nie tylko osobistej, ażeby móc dojść z celi fortu w Landesbergu do pałacu Reichsführera. Trzeba było cały naród ująć w „dryll“ żołnierski. Zmobilizować siły zewnętrzne i wewnętrzne. Przejść bez przesady przez szereg wcieleń i przeprowadzić przez to samo swoje otoczenie. Choćby pod grozą krwawej nocy i dnia 30 czerwca 1934 r., śmierci Röhma, Schleichera i wielu innych.

Dopiero w dziesięć lat po putschu w Monachium mógł Hitler opanować władzę w Niemczech, w ciągu tego czasu bowiem zdołał stworzyć siłę faktyczną, decydującą.

Dopiero w jedenaście lat po putschu w Monachium, na kongresie w Norymberdze w 1934 r. mógł Hitler oznajmić wszem wobec, iż dzieło rewolucji narodowej zostało zakończone, Niemcy opanowane i zjednoczone, chaos przezwyciężony, żołnierz triumfuje.

MOBILIZACJA GERMANÓW. Kongres w Norymberdze w 1934 r., trwający bez przerwy od 5 do 10 września, postawił na nogi literalnie całe miasto, liczące bezmała pół miliona mieszkańców, prócz tego zaś ściągnął z całych Niemiec 600 tysięcy uczestników. 200 tysięcy szefów politycznych partii stanęło do apelu. 150 tysięcy brunatnych i czarnych koszul (SA i SS) wzięło udział w defiladzie. Uruchomiono 200 pociągów ponad normę codzienną. Z górą pół miliona ludzi rozlokowano i wyżywiono w sposób zadowalający. W ogóle organizacja kongresu wypadła bez zarzutu. Słusznie tedy kongres ten uważać można za pierwszą próbę mobilizacji: wojska jako kadry i milicji hitlerowskiej jako rezerw. 400 tysięcy ludzi w mundurach, długich butach, z plecakami... Piechota, motocykle, łączność, służba zdrowia, lotnictwo, komunikacja... Wszystko sprawne, sztabowo przygotowane, trzymane w rękę.

Reichsführer zapowiedział mowę. Specjalnie na ten cel wzniesiono kolosalną halę z żelaza i betonu o trzech nawach i 40 kolumnach. Zmieściło się w niej 30 tysięcy ludzi. Wielkie otwory w ścianach dawały rozległy widok na błonia okoliczne, tak, żeby masy z pola mogły widzieć mowę. Głośniki roznosiły masom jego słowa. Rewolucja narodowa, mówił, opanowała państwo i dziś utożsamia się z państwem. Pamiętajcie, że gwałt niszczy, ewolucja i cierpliwość tworzą. Mamy przed sobą tysiąc lat pracy. Uformujemy młodzież i generacje przyszłe aż do końca wieków. Nie chodzi o partię, chodzi o przyszłość. Wszystkie siły narodu zjedno-

czone: wojskowe, cywilne i duchowe, boże... Tutaj orkiestra gra Wagnera, następnie tłumy śpiewają psalm Haendla. Dusze sprawne, sztabowo przygotowane, trzymane w rękę...

I zdaje się, że ziemia drży, że trawa kładzie się od entuzjazmu i oddechów. Namioty dokoła niczym drugie miasto. Las sztandarów. Sterty beczek z piwem i kiełbas. Coś jakby obóz wojenny, mobilizacja Germanów... Widowisko siły brutalnej i zarazem siły ducha.

Na ten widok można powiedzieć z Jules Romainś'em: „Nie ma odwrotu od nacjonalizmu“...

W Polsce mówi się o tym lekceważąco — „teatr“. Ale jezuici ujarzmili u nas reformację czym? Teatralnością katolicyzmu. Duch ludzi wypowiada się w obyczaju widowiskowym. Teatralność jest formą, która mobilizuje dusze. Tego nie wolno lekceważyć.

Trybun ludowy, syn oberżysty i praczki, Cola di Rienzo, zdobywa masy w Rzymie, — lecz i widowiskiem *sui generis* nie gardzi. W dn. 1 sierpnia 1347 r. bierze kąpiel w chrzcielnicy bazyliki Laterańskiej, ogłasza się rycerzem, przypasuje miecz, przypina złote ostrogi i, składając czterokrotnie pokłon w cztery strony świata, wypowiada formułę sakralną: „To jest moje“. Tłum wyje z zachwytu, ale i działa według wskazań Trybuna, gotów z nim razem umierać. Wszystko zaś potem zależy od tego, czy umiemy przekuć zachwyty w formę trwalszą, w system wychowania człowieka.

W Niemczech mamy do czynienia z teatrem, dla którego sceną jest starogermański „thing“, miejsce zbiórki wojennej.

A więc miejsce mobilizacji konkretnej całego ustroju tak, żeby państwo w rezultacie stało się obozem wojennym. A poza tym — miejsce mobilizacji wewnętrznej tak, żeby człowiek opanowany został trwale *mitem* żołnierza.

Tego nie można opisać, ani ująć w cyfry, ani zważyć. Tym nie mniej daje to niewątpliwą siłę. Zachodzi to wtenczas,

kiedy nastawiamy się w pewnym kierunku, sprężamy się, palimy się, gotowi jesteśmy na wszystko, byle tylko cel osiągnąć. To znaczy w życiu osobistym odczuć powołanie. W życiu zbiorowym uznać swą misję. „Bóg tak chce!“ wołali krzyżowcy.

Sorel nazywał ten stan duszy mitem. Dla mitu rewolucji Francuz końca XVIII wieku, nie mając portek na sobie, zdobywał Italię i rozbijał wojska regularne koalicji. Dla mitu socjalizmu tłum rzuca się z gołymi rękami na bagnety. Dla mitu Polski biegli chłopci Kościuszki z kosami na armaty. Dla mitu nowych Niemiec Reichsführer potrafił zmobilizować masy, albowiem umiał w Niemcu przeciętnym obudzić mit żołnierza.

Ściślej mówiąc: mit siły. Bo wszystko w Niemczech dzisiejszych zmierza do siły. Nawet piękny dział kultury robotniczej — spędzanie godzin po pracy — nazywa się „Kraft durch Freude“. Siła przez radość. Zawsze siła, siła, siła...

Jest to niejako żywa ilustracja do charakterystycznego wyznania Nietzschego: „Kocham pokój, ponieważ służy on do przygotowania wojny“.

IDEA KORPORACJI

Moda ma swoje fale powrotu nie tylko w dziedzinie stroju, zwłaszcza kobiecego, ale również w dziedzinie pojęć i upodobań ideowych. Dzień dzisiejszy „nowości potrząsa kwiatem“, tak nam się wydaje narazie. Jednakże powąchajcie, — coś się przypomina. Szukamy więc w historii — i znajdujemy. Tak jest. Nowość dnia dzisiejszego trąci myszką dziejów. To wszystko już kiedyś było. Tak „rzecz się ma“ z korporacją.

Najpierw źródło słowa. Pierwotnie korporacja oznaczała zgrupowanie zawodowe, które do chwili obecnej nazywamy cechem. Po łacinie „corpus“, po francusku „corps“. Francja pośredniowieczna liczyła takich zasadniczych ugrupowań zawodowych 6: „Six Corps“. W ich liczbie również handel. To była podstawa ustroju gospodarczego Francji tamtych czasów, a prawie zupełnie podobnie przedstawiał się ustrój gospodarczy Anglii i Niemiec. Korporacyjny, czyli inaczej powiedzielibyśmy — cechowy. Nazwa tymbardziej odpowiadająca faktycznemu stanowi rzeczy, że w owej epoce przemysł fabryczny jeszcze nie egzystował. Istniało tylko rękodzielnictwo.

Giuseppe Bottai, b. minister korporacji w Italii faszystowskiej, później gubernator Rzymu, zauważa, iż, owszem, moda na pewne słowa powraca. Korporacja nie jest, oczywiście, żadnym terminem nowym. Za to ziarno, ukryte w plewie tego słowa, pojęcie, — stanowi wynalazek naszych czasów. Idea korporacji, to nie idea staroświeckiego cechu. To

nowa siła, praca do przebudowy struktury społecznej, gospodarczej, politycznej. To rewolucja ustrojowa. Korporacja, państwo korporacyjne, korporacjonizm... Oto spiritus movens tego, co się dzieje w Sowietach Stalina, w Italii Mussoliniego, w Niemczech Hitlera, w Portugalii Salazara, w Ameryce Roosevelta... Różne korporacjonizmy.

Spodziewaliśmy się ujrzyć chorągiew bractwa cechowego, a tu otwierają się perspektywy przemian ustrojowych w państwach. Skrzynka Pandory i z tej skrzynki wyskakuje choroba świata. Idea nowoczesnej Wieży Babel.

Wyszła książka po francusku „Mistyka korporacjonizmu“ („La Mystique du corporatisme“, Librairie Hachette, Paris, 1935). Autor Pierre Jolly, należy do speców ekonomicznych, ale nie teoretyków, o czym świadczą poprzednio wydane jego prace: „Podręcznik wychowania szefa przedsiębiorstwa“ i „Traktat o clearingach handlowych, czyli operacjach kompensacyjnych“. Tego rodzaju ekonomista praktyczny poddaje generalnej analizie ideę korporacji i w wyniku tej analizy jest pełen sceptycyzmu nie co do skuteczności tych lub owych prób korporacyjnych, lecz co do tego, czy w ogóle — one „mają miejsce“, czy odbywają się, czy nie są „bluffem“, albo w najlepszym razie złudzeniem... Francuz wątpi. Wagę zaś wątpliwości podnosi szereg dowodów z przeszłości i teraźniejszości.

Rozważmy je i my, poczym — sami zwątpimy, albo też zacierpniemy odnowa entuzjazmu. Co kto woli.

Ustrój cechowy, a więc staroświecko - korporacyjny został skasowany we Francji z inicjatywy ministra Turgota za panowania Ludwika XVI-go. Dokładnie w lutym 1776 roku. Niejako w przeddzień Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Motywem generalnym edyktu królewskiego było stwierdzenie, że „cechy mają na względzie swoje interesy grupowe ze szkodą dla społeczności“. Ofiarą egoizmu cechowego padał

przede wszystkim spożywca. Cechy, inaczej korporacje, wznagały drożyznę, miały zapędy monopolistyczne, powodowały skostnienie i przerosty gospodarcze, prowadzące do śmieszności i szkód. W obawie np. przed konkurencją, korporacja piekarzy nie pozwalała wypiekać pieczywa w domach prywatnych. Wędliniarzowi nie wolno było kupować żywca, tylko musiał zaopatrywać się w surowe mięso wieprzowe u rzeźnika. Guziki, nie obciążone materiałem, były konfiskowane po kramach i sklepach, tego bowiem wymagali kupcy bławatni. Restaurator ma prawo zarznąć kurę, ostatecznie jagnię, będzie natomiast ukarany za zarżnięcie barana, ponieważ stanowi to wykroczenie przeciw prawu korporacyjnemu. Prawo to ze ścisłością drobiazgową rozgraniczało funkcje poszczególnych rzemiosł i biada temu, kto ośmieliłby się przesunąć o włos ustalone ramki. W r. 1737 Rada Królewska feruje iście salomonowy wyrok co do wachlarza: na wyrób piórek przyznano wyłączność jednemu cechowi, innemu — montaż całości, a jeszcze innemu sprzedaż. Rada Królewska, zajmująca się aż wachlarzem... Nie śmiejmy się, gdyż takie same śmieszności niesie w swoim zakresie i doba obecna.

W idealnym ujęciu z XIII w. (Etienne Boileau „Livre des Metiers“) korporacja była organizacją zawodową o pięknych celach: organizacja pracy na zasadach hierarchii, wysokogatunkowość wytwarzanego produktu, wykształcenie zawodowe, opieka nad producentem, organizacja zbytu i obrotu towarowego. Trzystopniowa specjalizacja fachowa — terminator, czeladnik, majster — dająca pierwotnie równość w punkcie wyjścia i dojścia, wytwarzała żywy ruch i postęp gospodarczy, jedynie możliwe w owej epoce. W obliczu feudalizmu korporacjonizm tamtoczesny reprezentował właściwie całość życia gospodarczego, jego inicjatywę i aktywność, jego bogactwo.

Naturalnie z biegiem lat musiał ulec zwyrodnieniu. Duch rodzinny dawnej korporacji skwaśniał się i rozpadł. Zaczęły się strajki, zwane wówczas rewoltami czeladników. Solidaryzm wywietrzył. W bólu i męce rodziły się nowe formy produkcji: fabryki. Powstawał nowy typ producenta: proletariusz, walczący o prawo bytu ludzkiego. Teraz to, co było, już nie jest i w swej pierwotnej formie, odpowiadającej feodalizmowi epoki, nie powróci.

Z POCHODNIĄ POD SZUBIENICĄ... Miasto Lyon, nie po raz pierwszy i nie ostatni zresztą, stało się w r. 1744 widownią tragicznych zająć. Wybuchł zatarg pomiędzy majstrami kupcami, a majstrami rzemieślnikami. Interwencja władz poszła po linii kupiectwa. Odpowiedzią na to był „strajk“ tygodniowy, który objął bardzo liczne korporacje. Ostatecznie „strajk“ stłumiono siłą, buntowników złamano wyrokami śmierci i galerami. Jeden ze zbuntowanych rzemieślników korporacyjnych, jedwabnik, Etienne Marichauder, skazany na śmierć przez powieszenie, wyprowadzony został w dn. 30 marca 1745 r. na plac publiczny miasta w koszuli, boso, z pochodnią w ręku i na oczach tłumu musiał wyrzec się błędów i nieprawości, poczym dopiero zawisł na szubienicy.

Co nam mówi ten obraz rzeczywistości XVIII-go wieku? Że już wtedy system korporacyjny nie ochronił społeczeństwa przed proletaryzacją, nie zatamował naporu nowych form gospodarczych i wywoływanych tym naporem konfliktów społecznych. Nie zabezpieczył nas przed walką świata pracy z kapitałem.

Rychło miał stanąć proletariusz znowu pod szubienicą, boso, z pochodnią płonąca w ręku, nie w pokorze jednak, lecz w buncie. Żeby szubienicę proletariatu podpalić.

To nie znaczy wcale, że wyzwolony człowiek Rewolucji

Francuskiej pospieszył wrócić na łono systemu korporacyjnego. Nic z tego. W marcu 1791 r. rewolucyjne Zgromadzenie Narodowe w Paryżu uchwala ustawę Le Chapelier'a o ponownym i bezapelacyjnym skasowaniu korporacji. W imię wolności indywidualnej w handlu i rzemiośle. W obronie dobra powszechnego, a przeciw egoizmowi grup i zawodów. Te same motywy, które przytaczał edykt królewski z 1776 r.

Co więcej, w imię wolności pracy rewolucja kasowała związki zawodowe tak właścicieli fabryk, zakładów i przedsiębiorstw, jak i pracowników. Wolna podaż i wolny popyt na rynku. Ręce do pracy uznane zostały za towar swobodnego obiegu, nie podlegający reglamentacji.

WALKA KLAS O UTOPIĘ. Starzy Rzymianie uczyli, że ustawa, prawo musi wyrastać z faktów życia. Zmiany ustaw, mówimy, rzecz prosta o zmianach sensownych, wynikają ze zmian faktów życiowych.

Tak się stało we Francji. W 1884 r. Izba Deputowanych III-ej Republiki przyjęła ustawę o związkach zawodowych, z jednej strony robotników, z drugiej przedsiębiorców, bądź też trzeciego typu — mieszanych.

Idea korporacji szuka wyjścia na drodze ruchu zawodowego.

Od pierwszej połowy XIX w. budzi się ruch socjalistyczny. W kolebce swej jest naiwnie utopijny, anarchistycznie rewolucyjny. Stopniowo wszakże, zwłaszcza od chwili ustawowego usankcjonowania związków zawodowych (syndykalizmu), staje się także umiarkowanym, ewolucyjnym, reformistycznym. Rewolucyjny ruch zawodowy wytwarza swoją mistykę: walka klas. O co? O zasadniczą przebudowę społeczną świata w skali międzynarodowej. „Wyzwolenie pracy, uspołecznienie własności, skasowanie płac“ — oto program najskrajniejszy. Ale i programy bardziej umiarkowane

przewidywały walkę, walkę i walkę proletariatu z kapitałem. Słowem, wojna bez pardonu, bez wytchnienia, aż do realizacji utopii.

W tych warunkach stałej wojny, ani społeczeństwo, ani państwo, ani świat nie może patrzeć w przyszłość inaczej, jak tylko z najwyższą obawą. Albowiem wszystko stale drży i chwieje się. Nie wiemy ani dnia, ani godziny.

Idea korporacyjna szuka pomimo wszystko stabilizacji i pewności. Nie schodzi z drogi przemian społecznych, pragnie tylko, by wykuwanie nowych form życia społecznego, gospodarczego i politycznego odbywało się bez trzęsienia ziemi i bez przelewania bratniej krwi.

Czy możliwe jest do zrealizowania założenie teoretyczne, że robotnik z przedsiębiorcą podadzą sobie rękę na stałe i na zawsze? Pogodzą się na tyle, żeby móc polubownie załatwić każdy spór o własną skórę? Stworzą sielankę wilka z owcą? Słowem, powołają do życia związek zawodowy mieszany (syndicat mixte).

Entuzjastycznym zwolennikiem koncepcji związków zawodowych mieszanych był we Francji hr. Albert de Mun. On to przed uchwaleniem w r. 1884 ustawy o związkach zawodowych gorąco tej koncepcji bronił, starając się zjednać dla swej myśli Izbę Deputowanych nie argumentami idealizmu społecznego, lecz względami na realne dobro powszechne. A więc przekonywał, że organizowanie się oddzielne robotników i przedsiębiorców w odrębne związki zawodowe prowadzi nieuchronnie do potęgowania walki klas, do zaostrzenia antagonizmów, do coraz głębszego rozdarcia produkcji na dwa niszczące się nawzajem obozy. Ponad wszelką wątpliwość musi na tym ucierpieć wytwórczość krajowa. Żadna ustawa, mająca dobro kraju na względzie, nie powinna złego stanu rzeczy sankcjonować, lub, co gorsza, pomagać jego rozwojowi.

Życie samo, — wołał Albert de Mun, domaga się ujęcia całej produkcji w karby trzech zasad uzgodnionych: interes przedsiębiorcy, obrona robotnika, dobro powszechne. Rolę tę spełnić mogą jedynie związki zawodowe mieszane, w nich bowiem: a) *robotnik* znajdzie ubezpieczenie od choroby, starości, wypadku i bezrobocia, a także rozjemstwo i umowę co do płac; b) *przedsiębiorca* — rozsądne ograniczenie nadmiernego zysku; c) *naród* — gwarancję spokoju i pewność wzrastającej zamożności. Żeby zaś związkom mieszanym dać przewagę nad innymi i niejako zmusić zainteresowanych do należenia raczej tutaj, — wnioskodawca proponował nadanie związkom zawodowym przywileju uprawnień specjalnych, powiedzielibyśmy dziś — prawa użyteczności publicznej.

Jak wiemy, francuska Izba Deputowanych na mocy ustawy z dn. 21 marca 1884 r. dopuściła związki zawodowe mieszane do równych praw z innymi, stanowczo jednak odrzuciła propozycję przywileju. Inaczej mówiąc, odrzuciła ideę korporacji zawodowej na rzecz podziału każdego z zawodów na przeciwstawne grupy: pracy i kapitału.

DOKTRYNA KATOLICKA. Ideę nowoczesnego korporacjonizmu podejmuje doktryna katolicka. Encykliki papieskie i przez nie zapłodnione studia. Szerzy się ruch tak zw. społeczno - chrześcijański we Francji, w Austrii i w Niemczech. Wobec tego, że związki zawodowe mieszane nie wytrzymują próby życia, rodzi się nowy pomysł: z istniejących odrębnych związków zawodowych z jednej strony pracy, z drugiej — kapitału, powoływać Komisje Mieszane przedsiębiorców i robotników dla utrzymywania rzeczowego kontaktu. Rzecznikiem takiego ujęcia sprawy był mądry kardynał Gasparri. Atoli okazało się, że i ten pomysł nie bardzo się udaje w życiu praktycznym. Tym nie mniej

staje się on podstawą do przeprowadzenia w r. 1908 we Francji ustawy o Radach Pracy, natchnionych przynajmniej w założeniu duchem kontaktu i uzgodnienia sprzeczności. W interesie produkcji, grup zawodowych oraz w interesie dobra powszechnego.

Tak idea korporacji nowoczesnej nurtem podziemnym toruje sobie drogę poprzez XIX wiek do naszej powojennej epoki.

Korporacjonizm nowoczesny ustala się jako teoria trzystopniowego ustroju społecznego: *rodzina indywidualna*, jako podstawowa komórka życia zbiorowego; *rodzina zawodowa*, czyli fach zorganizowany w korporacji; *rodzina terytorialna*, — czyli naród, żyjący w granicach własnego państwa. Ważne przeto jest nie tylko to, gdzie zamieszkujemy i co posiadamy, ale także i to, co wytwarzamy, jakie obroty robi nasze kółeczko w rodzinie zawodowej. W takiej strukturze życia zbiorowego wszyscy i wszystko podlega powiązaniu w jedną całość przy zachowaniu dostatecznie obszernych ram swobody indywidualnej, grupowej i regionalnej. Jednocześnie zaś w takiej strukturze życia zbiorowego z prostej jak gdyby konsekwencji układu powstaje regulator gospodarczy dla całego kraju.

Zaczyna się od *korporacji początkowej*, która grupuje ludzi danego przedsiębiorstwa: właściciela, dyrektorów, inżynierów, majstrów, urzędników i robotników. To nie znaczy jeszcze, że związki zawodowe mają być całkiem odrzucone. To znaczy owszem, że właściwe związki zawodowe mogą dalej bronić swoich ludzi przed krzywdą, lecz na tym koniec. Prawa, obowiązki i warunki pracy zawodowej — ten dział należy do korporacji, a nie do związku zawodowego.

Dalej korporacja początkowa łączy się na swoim terenie w *korporacje lokalne* (terenowe), te znów w *regionalne*

i wreszcie stopień najwyższy — *korporacje krajowe* (narodowe w sensie terytorialnym).

Oczywiście, muszą być również przewidziane instytucje międzykorporacyjne, np. wiążące rolnictwo z przemysłem, producenta z konsumentem i t. p. Taka np. metalurgia nie może traktować z zagranicą żadnych swoich spraw dopóty, dopóki nie porozumie się z korporacjami pokrewnymi, a więc z zainteresowanymi wewnątrz własnego państwa, jako to: z handlem, transportem, bankowością.

Gdyby idea korporacjonizmu tak pojętego mogła być zastosowana w pełni, musiałaby wywołać przebudowę gospodarczą, społeczną i polityczną narodu. W to wierzył nawet świątobliwy kardynał Mercier z Mâlines w Belgii, neotomista, cudo patriotyzmu i humanitarności.

PRZECIWKO DEMOKRACJI PARLAMENTARNEJ. Głośna była niedawno we Francji koncepcja René Domange'a — reformy państwa. Właściwie — przeprowadzona logicznie idea korporacji.

Korporacja jako kompletne ugrupowanie zawodowe, jednoczące pracę z kapitałem, jest organizacją przymusową. Korporacyjne rady regionalne powoływane są z wyborów powszechnych. Obok tych rad istnieją nadal instytucje samorządu gospodarczego, zwane Izbami (przemysłowe, handlowe, rolnicze, pracy, wolnych zawodów), z tym wszakże, iż zarządy Izb należą z reguły do korporacyjnych rad regionalnych. Izby wybierają Narodową Radę Korporacyjną, która zastąpi dotychczasową Izbę Deputowanych. Ze swej strony znowu korporacyjne Rady Regionalne wybierają Senat.

Tak oto idea korporacji godzi w dotychczasową formę parlamentu. Zdaniem korporacjonistów, demokracja par-

lamentarna potęguje i roznamiętnia sprzeczności społeczne. Albowiem na nich żeruje politycznie.

W ujęciu René Dommange'a, a za nim wielu innych, korporacjonizm nowoczesny z inspiracji katolickiej, uzupełniany i reformowany bez przerwy przez najrozmaitsze stronnictwa polityczne prawicy i lewicy, staje się ideą twórczą, ma swoją legendę i mistykę, budzi już wiarę i gotów się stać mitem porywającym masy do gruntownej przebudowy życia zbiorowego. Jakieś panaceum na wszystkie dolegliwości epoki. Jakiś powód do rewolucji.

Dla socjalistów — idea korporacji to etap przejściowy od rozwydrzonej egoistycznie gospodarki liberalnej do socjalizmu, czyli położenie ręki na własność prywatną.

Dla katolików — to wcielenie w życie zasad społecznych, głoszonych *urbi et orbi* przez encykliki papieskie.

Dla posiadaczy i kapitalistów — to odłożenie jeszcze do „jutra“ katastrofy, to wykręcenie się tanim kosztem od klęski.

Dla społeczników wogóle — to życie gospodarcze, społeczne i polityczne nie tyle planowe, czy zorganizowane na sposób koszarowy, ile zdyscyplinowane pod hasłem: prawem naczelnym dobro narodu i państwa; to przebudowa struktury nie według chimery, mrzonek i utopij, lecz pozytywistycznie; to opanowanie egoistycznego liberalizmu i triumf człowieka społecznego. Owca rozprawi się definitywnie i zwycięsko z wilkiem.

MARSZAŁEK W OCZACH ZACHODU

Drzewa kwitną zupełnie tak samo jak wtenczas, gdy On umierał. Powraca i zakwita nanowo życie, tajemnicza esencja drzew, kwiatów, ludzi i działania. Szukamy w tym przemijaniu czegoś, co byłoby mocniejsze niż śmierć, co dałoby — pomimo wszystko — poczucie trwania. Szukamy niestrudzenia w Nim czegoś, co byłoby trwalsze nad byt: tchnienie wiekuistości, Jego myśl...

„...Ten dyktator, jeżeli już się ma go tak nazwać, był dyktatorem po starorzymsku, a nie po dzisiejszemu; rząd własny ustanowił na miejsce reżymu, którego ustalone instytucje podstawowe uszanował; rządził, ale wcale nie był despota“.

Te słowa kładzie Edward Krakowski niemal na wstępie swego krótkiego, lecz świetnego i ważkiego studium o myśli twórczej wodza, Józefa Piłsudskiego („La pensée créatrice d'un Chef, Joseph Piłsudski“, odbitka z „La Revue d'Histoire diplomatique“, październik — grudzień 1935 r., Paris).

Kim jest Edward Krakowski? Polak z pochodzenia i ciągle jeszcze z obywatelstwa, choć zamieszkuje we Francji od wielu lat. Z wykształcenia i z formacji duchowej — raczej Francuz. Stąd pewność, że kiedy patrzy nawet na nas, swych rodaków, to już oczami Zachodu. A że jest autorem cennych dzieł francuskich z dzisiejszej filozofii i historii,

przeto tymbardziej szuka tchnienia wiekuistości w przemianowaniu. W takim dziejowym zjawisku jak Wódz, szuka Jego myśli. Skąd ona rośnie, z czym mogła być spokrewniona, którędy i jak znajdowała dla siebie wyraz w faktach rzeczywistości? Usiłuje dotrzeć do podstawy duchowej, do baz intelektualnych myślenia i działania. To znaczy do tego, co chętnie nazwalibyśmy ideologią.

Kto wie, czy ideologia ta nie zawiera się w tym Jego powiedzeniu:

„Moc bez sprawiedliwości i swobody jest przemocą i barbarzyństwem; sprawiedliwość i swoboda bez mocy jest pustym frazesem i dziecinnadą“.

Myśl, tłukąca się niby orzeł w klatce o pręty najtragiczniejszych zagadnień filozofii społecznej: mocy i sprawiedliwości. Czyn, szukający drogi pośrodku... W Polsce współczesnej to zakrawa poprostu na utopię.

W książce swej o „Dyktatorach“ Jacques Bainville wylicza wszystkie dyktatury Europy i Ameryki, tylko o rządach Piłsudskiego w Polsce nie mówi nic. Krakowski tłumaczy to tym, że wszystkie inne dyktatury łamały wprawdzie stary porządek rzeczy, jednakże leżały niejako w charakterze danego narodu, stanowiły dalszy ciąg jakichś jego tradycji. Tymczasem dyktatura Piłsudskiego jest zdarzeniem zgoła bez tradycji i wzoru. Eksplozja sumienia państwowego, którego w Polsce nigdy nie było za wiele.

Faszyzm włoski to postać dyktatury nawskroś współczesnej. Oczywiście, widać cień Cezara w odwoływaniu się do woli ludu, w proklamowaniu wodza przez zbiorowisko. Zachowane pozory władzy króla, za to reszta do gruntu przebudowana. Z całego gmachu nienaruszalnym pozostał tylko dach. W ustroju korporacyjnym, który obowiązuje, sprawy gospodarcze znajdują się w ręku zainteresowanych, to prawda, ale władza w państwie należy do jednego

człowieka i jego przyjaciół. Cóż kiedy w tych warunkach obywatel nie wyżywa się do dna w akcji gospodarczej. Musi być ścieranie się poglądów i doktryn, walka idei. A tego właśnie nie wolno. W konsekwencji nie uznaje się swobody myśli. Myśl wodza narzuca się narodowi. Myśl wodza zawsze decyduje.

Faszyzm włoski narodził się za zezwoleniem mas. W tym jego siła, lecz i jego słabość. Albowiem o to zezwolenie mas musi ustawicznie zabiegać, musi urabiać bez przerwy i wytchnienia opinię. Skazany jest jak gdyby na codzienny plebiscyt i dlatego chylił się ku demagogii.

Cień Cezara wywołuje fatalistyczny cień sztyletu Brutusa...

Hitler to już bez żadnej przesady produkt mas. Mussolini przynajmniej narzucił narodowi swoją koncepcję indywidualną ustroju. Hitler to ustokrotniona, potężna, cudownie elokwentna wypowiedź Niemców. Interpretator namiętności narodowej. Głośnik postawiony w obliczu Europy, wbrew i naprzekór Europie. Oryginalność jego polega nie tyle na tworzeniu całości, ile na zestawieniu części w jakąś taką całość. Części zostały wypożyczone u prawicy i u lewicy, u sąsiadów lub w przeszłości.

Pomimo swej nienawiści do marksizmu i sowietów, hitleryzm uważa, że jednostka ma jedynie i wyłącznie służyć zbiorowisku i państwu. We Francji teoretycy stronnictw autorytatywnych, zwłaszcza Charles Maurras, wykazują, że nie należy tych dwu pojęć mieszać, że można jednocześnie ograniczyć etatyzm a wzmocnić władzę w państwie. Hitleryzm tego rozróżnienia nie uznaje. Zbiorowisko i społeczeństwo sprowadza się do jedynej i wyłącznej formy — życia państwowego. Hypertrofia państwowości. Państwo kładzie rękę na sumieniu, religii i moralności obywatela. Marzy się hitlerowcom czysta i całkowita doktryna

niemiecka, nowa jakaś ewangelia, nowa religia. Hitler idzie znacznie dalej niż umiarkowany despotyzm Mussoliniego, bo od doktryny do fanatyzmu. Podobnie przedstawia się związek z opinią mas. Jeszcze więcej demagogii, jeszcze więcej schlebiana narodowym instynktom.

W metodzie działania faszyzmów uderza nas niezwykle podobieństwo do dyktatury Stalina w Sowietach. Ta sama brutalność w narzucaniu koncepcji z góry, to samo „robienie“ opinii na dole. Z tą jedną jedyną różnicą, że dyktatura sowiecka reprezentuje interes jednej klasy społecznej, czy raczej społeczeństwa bezklasowego, zaś dyktatury faszystowskie reprezentują interes narodu złożonego z różnych klas produkcji — przymusowo, administracyjnie pogodzonych i zsolidaryzowanych.

Władza w teorii — kolektywna, w rzeczywistości jest tak samo jednostkowa w Rosji sowieckiej w osobie Stalina, jak w faszystowskiej Italii w osobie Mussoliniego i w hitlerowskich Niemczech w rękach Hitlera.

A poza tym to, co robi Hitler, czy daleko odbiega od tradycji pruskiej XVIII-go w.? A Republika Sowietów, czy to nie dalszy ciąg bizantynizmu carskiego w stosunku np. do chłopów?... Niewątpliwie coś nowego tkwi w tych systemach, a zarazem dalszy ciąg czegoś, co także było w czasach i porządkach starych...

Inaczej Mustafa Kemal... Dyktatura Mustafy Kemala różni się od faszystowskich i komunistycznej chociażby tym, że nie ma odwoływania się do mas. Wódz zwycięski przetwarza naród, rąbie brutalnie niby siekierą, bo tak chce. Jego wola się święci. Jego autorytet osobisty ponad wszystkim. Jego myśl: europeizacja prawa i obyczaju.

Zdawałoby się, że ta dyktatura nie ma naprawdę nic wspólnego z faszyzmem i komunizmem. A jednak ma. Formuje państwo jako swoje własne imperium, z demagogią

czy bez demagogii, ale w każdym razie bez szczerego, z rozsądkiem i zastanowieniem dobrowolnego zgłoszenia obywatela. To znaczy bez tego, co stanowiło dotąd bazę filozoficzną dotychczasowych ustrojów państwowych.

Pojęcie władzy autorytatywnej przypomina nam nie tylko czasy zamierchłe absolutyzmu, ale również pewną, zupełnie nowoczesną koncepcję ruchów społecznych. Mistrz Georges Sorel. On wszystkiemu winien. Z niego bowiem rodzi się i faszyzm, i komunizm, i dyktatury dzisiejsze, i prąd w kierunku władzy autorytatywnej, i Mussolini, i Hitler, i Lenin, i Mustafa Kemal, i — Piłsudski.

WSZĘDZIE JERZY SOREL. Oryginalność jego idei na tym polega, że zbiegły się w tej jednej głowie w sposób przedziwnie szarmonizowany trzy koncepcje: Marxa, Proudhona i Bergsona. Z Proudhona zapożyczył Sorel dynamizm wartości duchowych. Z Bergsona — wskazania co do intuicji filozoficznej. Z Marxa — zbawienie świata przez syndykalizm robotniczy. I z tego powstała sławna teoria mitów.

Utopia jest powiązaniem koncepcyj. Mit jest właściwie intuicyjnym wyczuciem sprawy, gwiazdą, która prowadzi.

Utopia powołuje do życia programy. Mit mobilizuje wolę czynu. Mit nie musi się wcale spełniać. Wystarczy, jeśli zapala do działania. Mit to ogień i siła. W walce o życie zwycięża siła. Stąd za pośrednim wpływem intuicjonizmu Bergsona Sorel głosi kult gwałtu. A więc i buntu, i rezurekcji...

Tego rodzaju idee rozeszły się daleko poza socjalizmem. Zapłodniły monarchistów francuskich, faszystów włoskich, komunistów rosyjskich. W ideach tych leży źródło wszelkich dyktatur.

Nie ma potrzeby dociekać, czy Piłsudski zaczerpnął swoją ideę czynu z idei Sorela wprost. Zbyt często zdarzają się w hi-

storii myśli powinowactwa i spotkania nieprzewidziane. Ten sam prąd ideowy przepływa naraz przez wiele głów.

Otóż zdarzyło się, że w tym czasie przed wojną, kiedy Piłsudski w Paryżu dał się poznać jako rzecznik czynu i organizator nowego powstania polskiego, Sorel w obecności liczniejszego niż zwykle audytorium wykładał rolę mitu w ogóle. Zachwycający zbieg okoliczności! Nie wpływ wzajemny, lecz spotkanie — mitów.

Hitler narzucił się narodowi mową. Piłsudski milczeniem. Mit wywoływał w myśli wodza decyzję przemyślaną i czyn. Faszyzm, hitleryzm, komunizm wychodziły z pewnych założeń utopijnych doktryny. Piłsudskiego natomiast pożerała płomienna żądza wolności i zjednoczenia ojczyzny. To był Jego mit. Nie idea i nie program, tylko właśnie mit w sensie sorelowskim. Marzenie przeistaczające się w działanie. Socjalizm w patriotyzm. Bez mitu wszystko to nie byłoby możliwe.

Heroldem idei sorelowskiej w Polsce był Stanisław Brzozowski, uczeń Jamesa i Bergsona. W „Legendzie młodej Polski“ oraz w „Ideach“ Brzozowski komentuje obszernie i niezwykle oryginalnie doktrynę Sorela. Przyszły wódz mógł na tej drodze pośrednio, czy bezpośrednio, zetknąć się z teorią mitu. Tymbardziej, że sam szedł w tym kierunku kolejną swego życia.

Prymat działania, namiętna teoria czynu. Wódz poddający się takiej dyscyplinie, niezbyt chętnie skłaniał ucho w stronę podszeptów tłumu. Nie uznawał flirtu w tym względzie. Gardził tego rodzaju kokieterią. I w tym różnił się diametralnie i od faszystów i od komunistów. Nosił się z wizją autorytetu działającego odgórnie, nie zaś oddolnie. Nie z woli wyższej i nie z pomazania, lecz z szacunku do samego siebie i do człowieka. Dlatego nie oszczędzał ludzi, ani nie starał się być przyjemnym dla nikogo. Takim był w

służbie wojskowej. Takim też w swej zdumiewającej karierze męża stanu. Uosobienie heroizmu i ryzyka.

W oczach zachodu Piłsudski ma swe miejsce nie między Mussolinim i Hitlerem, lecz między dwoma innego typu wodzami: Cincinnatus i Epaminondas.

OTO JEST PRAWO ITALII...

Mówimy à propos podbicia Abisynii. Nie prawo w znaczeniu ustawy, ale prawo do czegoś. Do rozpostarcia rąk, do panowania. Jak Nietzsche mówił o wolności: nie wolny od czegoś, ale wolny ku czemuś, żeby to a to zrobić. Działanie i pęd. Prawo, które wyrasta z poczucia siły i ambicji... Tej samej, co w Piłsudskim od najwcześniejszych lat formowała — mit niepodległości, Sorelowi zaś kazała nauczać, że ewangelia jest słowem dla dziadów i tchórzów...

Byli Włosi, są Italowie. Tak ktoś kiedyś sformułował swój sąd o tej gruntownej przemianie, jaką przeszedł w ostatnich latach półwysep Apeniński. Co to przemiana? Przeistoczenie! Lazzarone neapolitański buduje szosy betonowe. Lekceważony „makaroniarz“ staje się najlepszym pilotem bojowym w eskadrze „straceńców“. Z gromady żebraków, pasocytnujących na ruinach starożytnej cywilizacji, powstał naród. Z ledwie zjednoczonego królestwa — cesarstwo rzymskie. I jeżeli nawet odrzucimy wszelkie formy zewnętrzne, to pozostanie zawsze coś, co imponuje: siła i porządek.

A wszystko to zrobił podobno On — Mussolini. Proklamując imperium faszystowskie, powiedział: „Jest zwyczajem Rzymu, że po zwycięstwie sprzega ludy zwyciężone ze swoimi losami. Oto jest prawo Italii, które zamyka jeden okres naszych dziejów i otwiera okres nowy“. Tak już nie hasłem i słowem, lecz faktem i czynem została nawiązana łączność Italii faszystowskiej za starożytną Romą. 2.500 lat tradycji. To obowiązuje.

Słowo „fasci“ (czytaj „faszi“) na oznaczenie ruchu politycznego nie jest wynalazkiem doby ostatniej. Używane ono było w latach dziewięćdziesiątych XIX-go wieku na Sycylii przez organizację chłopską o wyraźnym obliczu socjalistycznym. Rej tam wodził wówczas poseł De Felice. Nazwa odżyła na krótko przed wojną w tym odłamie partii socjalistycznej, któremu przewodzili dwaj młodzi agitatorzy: Filippo Corridoni i Benito Mussolini, obaj zdecydowani przeciwnicy „trójprzymierza“ przedwojennego (Niemcy, Austria i Włochy), wrogowie polityki neutralnej Giolittiego, zwolennicy udziału Włoch w wojnie po stronie „entente’y“. Powołali oni do życia związek faszystów dla celów interwencji („fasci italiani per l'intervento“).

Filippo Corridoni zginął na wojnie. Benito Mussolini wrócił ciężko ranny. Po zawarciu pokoju zaczęła się jak gdyby druga faza akcji. Chodziło o obronę owoców zwycięstwa, o opanowanie wewnętrznego chaosu i rozprzężenia, o ratunek ojczyzny przed bolszewizacją podstaw społecznych. Byłych interwencjonistów Mussolini dostosowuje do nowych wymagań, przekształcając związek na kombatancki („fasci italiani di combattimento“).

Właściwa Partia Faszystowska urodziła się w dniu 23 marca 1919 r. w Mediolanie na nielicznym zgromadzeniu złożonym wszystkiego z 70 osób — pod przewodnictwem Mussoliniego. Jakże daleko jednak było owym pierwocinom ruchu do jakiegokolwiek ustalonej doktryny, a choćby do jednolitego powiązania logicznie programu politycznego i społecznego, oraz do planu działania na daleką metę.

Z czasem, i to prędko, nastąpiło połączenie faszystów z nacjonalistami Corradiniego, pod hasłem odrodzenia narodo-
wego, w sensie odzyskania potęgi. Ale to wciąż jeszcze ogólniki. Pompatyczny debiut siły, która szuka dopiero swego wyrazu i swoich dróg działania.

Jedni nienawidzili ich, drudzy uwielbiali. Jedni utrzymywali, że faszyzm to reakcja i że faszyci to płatne żołdaki, sługusy burżuazji, fabrykantów i obszarników. Drudzy wierzyli, że ustroj demokratyczny we Włoszech kończy się i że faszyzm stanowi syntezę najgłębszych aspiracji narodowych, usiłowanie wydobycia mocy, tak koniecznej państwu do „wygrania zwycięstwa“. Jesteśmy, jak powiadali faszyci, buntem kraju rzeczywistego przeciwko krajowi legalnemu. Insurekcją rzeczywistości wewnętrznej przeciwko zewnętrznej formie. Odwetem sił istotnych ojczyzny. Odruchem zdrowia.

W tych warunkach walka niezwłoczna, którą wypowiedzieli bez pardonu komunizmowi, to było preludium do celów dalszych i górniejszych: zwycięstwo ostateczne narodu nad samym sobą. Rzekłoby się, trawestując słowa Mochnackiego: uznanie się narodu w mocy dostatecznej do odegrania roli światowej.

Ale to znowu zbyt ogólnikowe. W szczegółach bowiem pełno było sprzeczności najdalej idących. Uderzała zwłaszcza przewaga negacji nad stroną pozytywną. Do r. 1922 a nawet później, wołało się ciągle — precz z tym, precz z owym. Lecz co na to miejsce? Nie chcecie socjalistów u steru państwa, nie uznajecie ustroju liberalno - demokratycznego, więc do czego wreszcie zmierzacie? Może sami nie wiecie...

Rzeczywiście pierwotne zamierzenia faszystowskie były w niektórych punktach radykalne, w innych reakcyjne. Żądali np. zniesienia Senatu, nawoływali chłopów do brania w posiadanie obszarów nieuprawnych, gloryfikowali zajęcie przez Gabriela d'Annunzio Rjeki-Fiume. Równocześnie zwalczali ostro związki zawodowe urzędników państwowych oraz prawo do strajku pracowników użyteczności publicznej; domagali się reorganizacji armii; energicznej polityki za-

granicznej; poszanowania prawa własności; szli z przemysłowcami przeciw robotniczemu organizacjom czerwonym, z obszarnikami przeciw chłopstwu... Praktycznie biorąc, nie mieli jednego teoretycznego programu, ustalali działanie od wypadku do wypadku. W myśl zapewne wygodnej zasady: sprzymierzamy się z każdym, byle tylko wygrać... Aż do r. 1921, do przemówienia Mussoliniego w Udine, nie wiadomo było nawet, czy faszyci są zwolennikami republiki, czy monarchii. Uważali, może i słusznie, że te czy inne programy i poglądy są drobnostką wobec olbrzymiego celu: siły narodu i państwa. Wszystkie drogi do tego jedyne go celu wiodące musiały być dobre.

JAK TRZEBA ROZUMIEĆ FASZYZM. W swoim czasie mały Piemont stał się ośrodkiem irredenty, tym kryształkiem, dokoła którego skryształizowała się idea zjednoczenia Włoch. Hasło wojny z Austrią było hasłem rewolucji europejskiej. „Śmierć tyranom!“ to był krzyk naszych powstańców i rewolucjonistów świata. Mazzini działał w porozumieniu z organizacją rewolucyjną „Młodej Europy“. Akcja Garibaldiego dyskontowała sympatię ludów. Cavour z tych imponderabiliów wykuwał włoską rację stanu. Od całej niepozornej rzeczywistości Włoch nowoczesnych, od podziału, rozdarcia wewnętrznego, wojen bratobójczych, tyranii, okupacji obcej — trzeba było dojść do spełnionego snu bohaterów, do wielkości, ekspansji i odrodzenia. Trzeba było społeczeństwo postawić, jakby określił nasz stary Witkiewicz, na przelęczy, gdzie pomiędzy rzeczywistością a marzeniem decydował się los narodu i państwa.

Na jakiej drodze, według jakiej metody szukali wyjścia bohaterowie przeszłości? Na drodze rewolucji, według metody socjalistycznej, liberalnej i demokratycznej. Albowiem to była jedyna broń do walki z zaborcą austriackim. Wol-

ność człowieka miała dla Italii znaczenie niepodległościowe, ponieważ wyzwalała Włocha spod jarzma austriackiego. Demokracja miała znaczenie hasła rewolucyjnego, ponieważ gwarantowała rządy ludowi włoskiemu, czyli też odzyskanie niepodległości. Socjalizm miał sens patriotyczny, ponieważ przeciwstawiał dobrowolne związki zawodowe robotników włoskich obcemu państwu, czyli również walczył z najeźdźcą. Kolorem czerwonym zaiste karmiona była idea ojczyzny. Pod czerwonym sztandarem rodziła się wolność i niepodległość Italii.

Tak trzeba rozumieć socjalizm, liberalizm i demokratyzm Włoch. Takie są tych poglądów tradycje i blaski w Italii. Podczas gdy Francja, Niemcy i Austria przeszły już dawno okres zjednoczenia i stabilizacji, obywatel zdążył już do państwa przywyknąć i usiłował nawet wyzwolić się w pewnej mierze z przesadnych przymusów i pęt, to Włosi dopiero wstępowali w pierwszą fazę zjednoczonego i niepodległego bytu państwowego. To też kiedy socjalizm i demokratyzm obróciły się przeciwko własnemu państwu włoskiemu, musiał obudzić się masowy odruch ludzi wychowanych na idei Garibaldi, Mazzini i Cavoura. Wyrazem tego odruchu stał się faszyzm z Mussolinim na czele. Dalszy ciąg niepodległościowo - unifikacyjnej akcji bohaterów przeszłości. Tylko trzeba już było zmienić drogę i metody, gdyż stara droga i stare metody z epoki walk o niepodległość nie odpowiadały potrzebom nowej zwycięskiej Italii. Tak trzeba rozumieć faszyzm Mussoliniego. Starzy socjaliści tworzyli wielkość i siłę Italii, młodzi zaś podkopywali ją i osłabiali. Klęska pod Caporetto była w gruncie rzeczy rezultatem wewnętrznej kampanii defetystycznej, z którą rząd nie mógł sobie dać rady. Ale dał sobie radę później faszyzm Mussoliniego.

MARSZ NA RZYM. Czas od 1919 do 1922 r. to szereg objawów tej samej rozkładowej choroby. W polityce zewnętrznej Włosi prawie się nie liczą. Wewnątrz kraju — chaos. 14 miliardów deficytu w budżecie. Walki na ulicach pomiędzy bojówkami partyjnymi. Okupacja fabryk po 45 dni. W jednym tylko 1922 r. 575 wielkich strajków i przeszło 500 tys. strajkujących. Kompletnie rozbitcie życia gospodarczego. Życie państwowe zależne od fluktów politycznych tak dalece, że np. w 1920 r. strajk robotników portowych uniemożliwia przewiezienie wojsk do Albanii dla stłumienia powstania.

W tej sytuacji nadzieje zdrowej części społeczeństwa, aspiracje narodowe i państwowe musiały stanąć przy wodzu nowego ruchu. Rozwój wypadków zależał bodaj nie tyle od przygotowań i planu, ile od siły owej nadziei i owych aspiracji. Mussolini znalazł na gruncie parlamentu dostateczną liczbę zwolenników, by móc uformować nowy rząd, rząd nowego ładu, rząd w ogóle porządku. Nie chciał jednak tego uczynić. Wolał wziąć władzę siłą, chociaż oddawała mu się w ręce dobrowolnie. Zarządził marsz na Rzym w październiku 1922 r.

Chodziło snąć o symbol rewolucji. O zerwanie ze starą teraźniejszością. O zamach w formie. Wszystko bowiem odbyło się bez przelania jednej kropli krwi.

Poczym przez następne 3 lata faszyzm ciągle jeszcze jest kompromisowy, szuka porozumienia politycznego z przeciwnikami, stara się grać równowagą. Stopniowo wszakże dochodzi do wniosku, że to nie prowadzi do niczego, prócz jątrzeń, tarć i walk. W r. 1925 przechodzi w system monopartyjny, staje się faszyzmem integralnym, podejmuje się przebudowy ustroju. Tworzy nowe prawo w nawiązaniu do 2500 lat tradycji. Przystępuje do olbrzymiego zadania: przeistoczenia człowieka i narodu.

FORUM MUSSOLINIEGO

Ludzie, którzy znali dobrze Italię przedfaszystowską, nie mogą teraz wyjść z podziwu na widok zmian na lepsze. Takie jest zdanie nawet zasadniczych i nieprzejednanych przeciwników faszyzmu. Można by na ten temat zaprezentować kalejdoskop obrazków, wziętych z życia potocznego, ale chyba najwymowniejszym i najbardziej przekonującym dowodem nowego systemu życia włoskiego posłuży zwycięstwo nad Abisynią. Właściwie mówiąc: nad Anglią, Abisynia bowiem była jednym z folwarków kolonialnych Wielkiej Brytanii, ta zaś w rozgrywce z Mussolinim o swój wpływ i swoje władanie nie tylko zaopatrywała swój folwark abisyński w broń i wszelkie inne pomoce materialne, lecz potrafiła jeszcze przez swe agencje prasowe pokierować opinią świata. Kto był przeciw imperializmowi włoskiemu, a za Abisynią, ten nie wiedząc o tym, służył imperializmowi Anglii. Trzecie wyjście nie istniało de facto, conajwyżej stanowiło iluzję człowieka poczciwego oraz interes polityki angielskiej.

W r. 1896 wielka klęska Włochów pod Aduą. W r. 1936 cała Abisynia leży u stóp Rzymu, pokonana nie samą techniką broni. Pokonana przede wszystkim organizacją i techniką życia. Szosą i motorem, systemem i duchem. Szosa i motor są jednakże rezultatem systemu i ducha. I oto tajemnica nowej Italii: system faszystowski i rzymski duch. Tajemnica skoku z nicości w wielkość.

*

*

*

Mussolini rozumiał Italię tak, jak nikt przed tym. Grał Włochami takimi, jakimi są, ich wadami i zaletami. Włosi to muzycy i śpiewacy, aktorzy. Ale zarazem Włoch to najlepszy robotnik budowlany. O tym wiedzą doskonale w krajach, do których Włoch emigruje. Mussolini zdawał sobie sprawę, że Włoch to człowiek teatru, a jednocześnie zdolny do budowy w sensie praktycznym i szerokim. To też jedno i drugie umiał ożywić i spotęgować. Dał ludności parady, ceremonie, pochody, widowiska, słowem stworzył teatr w życiowym tego słowa znaczeniu, zadość uczynił włoskiemu instynktowi teatralności. Poza tym jednak ze zdolnych robotników budowlanych zrobił budowniczych państwa. Tych budowniczych zapłodnił ideą przebudowy świata na nowych zasadach. I tak zapoczątkował nową erę Italii pod znakiem budowniczego z gitarą. Trafił w sedno aspiracji narodowych. Wypowiedział się jako aktor i wódz.

*

*

*

Podesta małej wioski, niby nasz wójt, pokazuje turyście z dumą okolicę i mówi: „Wczoraj jeszcze mieliśmy tu bagna, dzisiaj zbieramy plony. Dam panu garść tych kłosów. Niech pan je weźmie na pamiątkę. To są pierwsze kłosy, jakie wyrosły na tej ziemi od czasu potopu. Mamy już teraz swój własny chleb.. Już nie będziemy w tym roku sprowadzali chleba z zagranicy“...

Rozmowa tego rodzaju to nie szczegół pojedynczy. To rzecz charakterystyczna dla wszystkich terenów dzikich, które wola rządu podniosła do poziomu użyteczności, dzięki na wielką skalę przedsięwziętym robotom publicznym pod osobistym protektoratem wodza. O tym wie i o tym mówi każdy Włoch. W tym leży duży walor moralny i patriotyczny robót publicznych. Tak ujęte, są one nie tylko dziełem po-

żytecznym, ale równocześnie służą do egzaltowania dumy narodowej. Są zatem wszechstronnie wykorzystane i wygrane.

*

*

*

Znowu rozmowa charakterystyczna z portierem w hotelu. Skarży się na zastój. Od pewnego czasu goście amerykańscy i angielscy nie przyjeżdżają. Właściciele, powiada, nie chcieli w tym sezonie otwierać zakładu, bo się nie opłaci. Ale — i tu się twarz portiera rozjaśnia — rząd zmusił ich do tego. Macie, powiada rząd, siedem innych hoteli gdzieś indziej, one idą, zarabialiście dużo w latach poprzednich, nie macie prawa wyrzucać pracowników na bruk. Pracujemy więc na zmianę po trzy dni w tygodniu, zarabiamy bardzo mało, ale jakoś możemy żyć. Rząd o nas myśli...

*

*

*

„Idźcie w lud“, woła Mussolini do podwładnych. Kontakt czynników wyższych z dołem jest nakazem. Codziennie, a właściwie, co wieczór nieomal, odbywają się zgromadzenia publiczne. Wszędzie trybuny, sztandary, lampiony, fanfary, iluminacja, niekiedy fontanny świetlne i fajerwerki. Teatr na placu pod gołym niebem, teatr monumentalny. Nie obywa się, rzecz prosta, bez nadużycia słowa i gestu. Przesada aktorska i teatralna. Oczywiście. Nie zapominajmy jednak o tym, że ta forma zaimprovizowanych teatrów monumentalnych wywiera wpływ na masy. Podnosi na duchu. Mobilizuje moralnie do zadań nakreślonych w planie państwowym.

Mobilizacja moralna Italii odbywała się na długo przed mobilizacją faktyczną do rozgrywki o kolonie w Afryce. Mo-

bilizacja moralna jest najlepszym przygotowaniem udałej mobilizacji wojennej.

*

*

*

Na sali małego miasteczka — zgromadzenie ludowe. Przeważają robotnicy i rzemieślnicy, jest również trochę chłopów. Przemawia młody faszysta, sekretarz miejscowego oddziału partii. Przemawia z przekonaniem, fanatycznie.

„Nie jesteśmy inteligentami. Nie jesteśmy profesorami. Wszyscyśmy z ludu. Faszyzm to lud. Czasy są ciężkie, tak. W zimie odczuwaliśmy dotkliwie niedostatek i bezrobocie. A czy myślicie, że Mussolini nie zna tego, że kiedyś nie przechodził tego sam. Wytrzymajmy. Bądźmy godni Wodza, bądźmy godni ojczyzny“.

Słucha tych słów lud włoski, ów budowniczy świata z gitarą. Skłonny, jak każdy inny lud, do solidarności w wysiłku. Gotów do ofiary, byle tylko miał dobre słowo.

*

*

*

Taki obrazek z Wenecji. Chłopiec w łachmanach prosi przechodzącego turystę o jałmużnę. Mający na wszystko oko milicjant faszystowski chwyta małego żebraka za kark i udziela mu na poczekaniu publicznie takiej nauki moralnej: „Włoch nie prosi cudzoziemca o pieniądze, pamiętaj“.

Południowe Włochy z Neapolem otrzymują najwięcej takiej nauki moralnej. Z dodatkiem solidnej pomocy finansowej na roboty publiczne, na przebudowę starych dzielnic, na usunięcie brudów oraz siedliska chorób fizycznych i moralnych.

Akcja ta wpływa dodatnio na stronę zewnętrzną i wewnętrzną. To znaczy — na wygląd osiedla i na zmianę charakteru człowieka. Znowu przez egzaltowanie dumy narodo-

wej, przez potęgowanie wiary we własne siły.

Włoch przestał prosić. Pragnie wszystko zawdzięczać sobie sam. Prawdziwie wyzwolin doczekał się dnia, bo własną mocą wyzwolony...

*

*

*

Opinia ekonomisty o Italii. Obieg pieniężny, naturalnie w warunkach normalnych przed wojną abisyńską, wynosił 15 miliardów lirów, podczas gdy we Francji cztery razy więcej. Natomiast budżet Italii wynosił 20 miliardów, podczas gdy we Francji był tylko dwa razy większy. Żeby nadażyć w obiegu, włoskie bilety państwowe musiały co roku, a niektóre nawet dwa razy w roku przechodzić przez kasy państwowe, podczas gdy we Francji bez szkody dla życia gospodarczego mogły być użyte swobodnie inaczej. Działo się tak dlatego, że Italia, nie mająca ani w części takiej podstawy złotej dla waluty jak Francja, praktykowała deflację. A praktyka deflacyjna wymaga karności i konsekwencji, najbardziej zaś wymaga odwagi politycznej. Na to nie może sobie pozwolić byle kto.

Nie mamy pieniędzy, za to mamy pracę. Tak mówią z dumą faszyci. Bo istotnie, pomimo braku pieniędzy i przy praktykowaniu deflacji pozwalają sobie na kolosalne roboty publiczne. Drogi, mosty, tunele, stadiony, przebudowa miast, osuszanie bagien itd. itd. Wszystko to kosztem tak niskim, że, jak określają Francuzi, jedne wybory we Francji, zwłaszcza te w 1936 r., kosztują drożej, niż budownictwo całej Italii faszystowskiej.

*

*

*

— Ile pan ma lat? — pytają jednego z ministrów włoskich. — 37, ale Balbo jeszcze młodszy ode mnie. Widząc zdziwienie na twarzy rozmówcy, młody minister uśmiecha się. Faszyzm, powiada, to marsz młodych. Przed faszyzmem wszystko było stare. Nie przesadzam wcale. Spójrz pan na pomniki nasze na placach i ulicach naszych miast. Postacie w tunikach, poważne, z brodami, stare. My tymczasem mamy całą przyszłość przed sobą. Z nami młodzi idą. Symbolem naszych czasów jest na stadionie posąg nagiego atlety... Nadzieja i przyszłość ojczyzny.

*

*

*

Obok budownictwa nowej Italii odbywa się kosztem niezwykłych wysiłków nauki i skarbu odkopywanie starego Rzymu z czasów jego chwały i panowania nad światem. Jak gdyby dla nawiązania kontaktu pomiędzy faszyzmem, a starożytną potęgą. Dla uskrzydlenia nowych ludzi i nowych czasów odwieczną misją Romy.

Ten odkopywany stary Rzym wyrasta w ramach Rzymu faszystowskiego. Nowy plan bierze rozpęd i polot z odkopywanych linii potęgi starej. Zaczyna mieć te same ambicje. Na miarę świata.

Na skale Tarpejskiej odkopanego starego Rzymu wykuty został następujący napis: „Prace wykonano za króla Wiktora Emmanuela III i za Mussoliniego“. I do nazwiska wodza przydano „moderator reipublicae“. Po polsku powiedzielibyśmy: regulator sprawy publicznej. To jest ten, co właściwie kieruje i rządzi ojczyzną.

*

*

*

U bram Rzymu — Farnesine, Instytut Wychowania Fizycznego, odpowiednik naszego CIWF pod Warszawą. Tutaj

młodzież faszystowska kształci swoich instruktorów. Tutaj powietrze, światło, sztuka na usługach wychowania. Sztuka skromna, lecz piękna w proporcji. Stadion na 20 tys. widzów, wgłębiony, jakby wykuty w skałach. Stopnie wykładane marmurem. Szatnie, łoża atletów, wspaniałe poczekalnie, monumentalne schody. Ostatni wyraz techniki. Szosa jak w bajce dla automobilistów. Dokoła stadionu na stopniu najwyższym 60 posągów atletów, wielkości nadnaturalnej jak „Dawid” Michała Anioła. Białe posągi na tle nieba modrego i zieleni drzew prezentują się niby wiekuisty teatr cudem jakimś zachowany w stanie skamieniałym. Teatr bogów starej Romy. Twórca tego stadionu, architekt Enrico del Debbini. Opodal drugi, równie wspaniały stadion na 100 tys. widzów.

Stadion Enrico del Debbini nosi nazwę „Forum Mussoliniego”. Forum, to plac publiczny w starej Romy, położony między Kapitołem a Palatynem. Na forum gromadził się naród w celu omawiania spraw publicznych. Forum w starej Romy nie był stadionem. Ta jest przeto różnica pomiędzy nową, a starą Italią. Forum dyskusji publicznej stało się stadionem wychowującym naród w karbach karności. Naród młodych atletów.

Oto tajemnica nowej Italii, sekret przeistoczenia człowieka i przebudowy społecznej.

EFEMERYDY FASZYZMU

Łatwo jest powiedzieć: przebudujemy społeczeństwo, wychowamy i przeistoczymy człowieka, ale jak to zrobić? Trzeba długich lat nacisku konsekwentnego z jedną myślą przewodnią, trzeba twardej ręki oraz straszliwej i upartej siły oddziaływania. Żelazo i dynamit, żeby bić i rozsadzać starą szkołę zastarzałych instynktów narodu. Warunki te, żelazne i dynamitowe, musiały być stworzone przez faszyzm, o ile miał on dojść do celu ustalonego przez siebie w punkcie wyjścia: organizacja narodu w kierunku mocy państwa.

Marsz na Rzym odbył się bez rozlewu krwi. To prawda. Poprzedzony był jednak paroletnią krwawą kąpielą namiętnej i bratobójczej wojny domowej. W wojnie tej ruch faszystowski zdobył formę żołnierską, skrzepił ducha, utrwalił kombatywność, nauczył obywatela — chwała Bogu! — użycia siły, brutalności i gwałtu w obronie imponderabiliów dobra powszechnego. W tym tkwił początek wychowania i przebudowy od wewnątrz.

Gdyby dzieje czterech lat Italii od zawieszenia broni w dn. 4 listopada 1918 r. do faszystowskiego marszu na Rzym w dn. 28 października 1922 r. ułożyć w tablicę faktów niemal codziennych, czyli jak to się astronomicznie nazywa w odniesieniu do planet i gwiazd, w *efemerydy*, to mielibyśmy unaocznione stopnie, po których szedł naród włoski ku przemianom i odrodzeniu, ku temu, co jedni z uznaniem, drudzy zaś z odrazą, zowią ustrojem faszystowskim. Efemerydy

faszyzmu to początek nowej szkoły i nowego systemu wychowania i przebudowy.

Zawieszenie broni na froncie włosko - austriackim nastąpiło 4 listopada 1918 r. w Villa Giusti zaraz po zwycięskiej batalii Vittorio Veneto. Sprawdziło się atoli to, co zdawałoby się zrozumie prosty chłopski rozum, że wygrać wojnę to nie dosyć, trzeba dalej wygrać zwycięstwo. A do tego musi się jeszcze bardziej niż w działaniu wojennym wzmocnić siłę państwa i wolę kierującą. Nie wolno siły rozproszyć, ani woli osłabić. Włosi o tych prostych rzeczach zapomnieli. Podnieśli krzyk za natychmiastową demobilizacją. Spotęgowali agitację socjalistyczną w wojsku. Ruszyli w masy z hasłem „fabryki dla robotników, ziemia dla chłopów“. Rozpoczęli bolszewizację ideową społeczeństwa.

Delegacja włoska na konferencji pokojowej w Wersalu traciła grunt pod nogami. Dywersja lewicowa wewnątrz kraju nabierała rozpędu. Podkopywała i rozsadzała wszystkie podstawy jedności i mocy zbiorowej. Odbierała wagę wszelkim argumentom i elementom rzeczowym gry dyplomatycznej. Prowadziła do kompletnego przegrania wygranej.

Cały prawie rok 1919 upływa pod znakiem hańby i poniżenia. Wprawdzie na łamach „Popolo d'Italia“ rozległ się już w tym roku głos Mussoliniego, a w marcu tegoż roku założony został w Mediolanie przy osobistym udziale i pod przewodnictwem Mussoliniego pierwszy związek faszystowski kombatantów, lecz doprawdy niewiele to znaczy i niewiele może wobec czerwonego teroru, który zalewa Włochy. W Mediolanie i w innych miastach fabrycznych masowe manifestacje socjalistów. Tłum bezkarnie znieważa sztandary wojskowe, pluje na mundury oficerów. Rozruchy i strajk za strajkiem. Starcia z policją i z wojskiem. Rozbijanie sklepów i magazynów. Trupy i ranni. Rewolucyjny taniec mętów uli-

cznych. Proklamowanie lokalnych republik socjalistycznych, jak np. w dolinie Bisenzio i in. Rozwija się propaganda anarchistów, którzy rzucają bomby do teatrów w trakcie przedstawienia. Rząd parlamentarny nie może sobie dać rady z falą konfliktów społecznych. Trudności piętrzą się i krwawią coraz bardziej. Władza w przerażeniu idzie na ustępstwa, wszczyna flirt z organizującym się niezadowolonym mas, kokietuje zarządzeniami i posunięciami demagogicznymi.

W takiej oto atmosferze rozprężenia i demoralizacji przeprowadza się demobilizację armii. Niepoczytalny i nieodpowiedzialny motłoch ryczy o amnestię dla dezterterów. I — co najgorsza — rząd ulega. Tchórz i uciekinier z pola walki uzyskuje nie tylko darowanie winy, ale te same prawa co najbardziej zasłużony żołnierz. W tym jest znak czasu, znak zdziczenia. Zrównanie przestępcy z bohaterem. Cześć dla dezterterów. Prościej i pewniej byłoby ogłosić odrazu bezsens śmierci żołnierskiej, przekląć zmarłych, zaorać ich groby, przekreślić i utopić w niepamięci niepodległość i zjednoczenie.

12-go września 1919 r. Gabriel d'Annunzio, generał i pisarz, z garstką szaleńców okupuje Fiume. Ma rząd przeciwko sobie. Premier Nitti, późniejsza Egeria politycznej emigracji włoskiej, potępia czyn d'Annunzia. Socjaliści oklaskują wystąpienie premiera. Faszyci — wystąpienie d'Annunzia. Różnica poglądów doprowadza do walki na pięści, noże i rewolwery. Pierwsza krew faszystowska barwi bruk, staje się sztandarową niejako czerwienią występującego w bój nacjonalizmu. Gwałt już się gwałtem odciska. Czerwień rzuca się na czerwień. Radykalizm na radykalizm. Naród na międzynarodówkę.

Cóż kiedy ta przeciwwaga jeszcze jest zbyt słaba, jeszcze się nie zwinęła w pięść dostatecznie mocną. Idea socjalistyczna przenika na wieś, gdzie organizuje chłopów w formy

ruchu ludowego (popolari) chrześcijańskiej demokracji, co jednak w ówczesnej Italii miało podkład zdecydowanie socjalistyczny. Dwie demagogie nie występują przeciw sobie, ale sprzymierzają się i podają sobie rękę. Demagogia czerwona socjalistów i demagogia biała ludowców. Idea rządu robotniczo - chłopskiego. Front ludowy. W wyborach do parlamentu w listopadzie 1919 r. obie te demagogie odnoszą walne zwycięstwo. Mussolini zdobywa zaledwie parę tysięcy głosów i do parlamentu nie przechodzi.

W dniu otwarcia nowego parlamentu socjaliści manifestują przeciwko mowie tronowej króla i demonstracyjnie z krzykiem „niech żyje socjalizm!“ opuszczają Izbę.

Rok 1920 zaczyna się od strajków politycznych w dziedzinie użyteczności publicznej. Koleje, poczta, telegraf, elektrownie, gazownie, wodociągi... Formalny bunt w Spezii i w Ankonie. Strajki rolne ciągną się aż do żniw i grożą ogłodzeniem kraju. Na ulice miast człowiek dobrze ubrany boi się wyjść, w biały bowiem dzień dokonywane są napady rabunkowe. Rząd wycofuje wojsko z Albanii, przyczym robotnicy rozkręcają szyny i uniemożliwiają jakikolwiek dopływ posiłków wojskowych w stronę zagrożonych granic. Czerwona milicja socjalistyczna oraz biała milicja ludowa zbroją się. Czerwoni okupują fabryki w Lombardii, Piemoncie, Ligurii, Neapolu i t. d. Rząd ustępuje w dalszym ciągu i wydaje ustawę o ustanowieniu kontroli robotniczej nad zakładami przemysłowymi. Rząd nie posiada siły dostatecznej, aby powstrzymać samosady partyjne. W Turynie czerwony trybunał sędzi i skazuje na śmierć dwóch faszystów. Wyrok w tej chwili został wykonany rękami i bronią robotników.

Wtedy faszyci wychodzą na ulicę. W Ferrarze i w Bolonii wydają bitwę czerwonym. Krew leje się obficie, padają ranni i zabici. Wściekłość obu stron walczących rośnie. Tylko że faszyci w 1920 r. to już siła. Mają placówki po wszystkich

miastach. Młodzież uniwersytecka oraz narodowo myśląca młodzież robotnicza stanowi jądro ruchu, dokoła którego skupia się energia pozytywna ojczyzny.

W r. 1921 czarne koszule posiadają wybitną przewagę nad czerwonymi i białymi. To też rozwija się ofenzywa czarnych. Zawzięty bój toczył się zwłaszcza na ulicach Florencji, gdzie ostatecznie barykady czerwone zdobyli * czarni, okupiwszy swe zwycięstwo ofiarą 16 zabitych i 200 przeszło rannych. W teatrze „Diana“ znajduje śmierć 20, mniej lub więcej poważne rany 50. W ciągu pierwszego półrocza kroniki notują 652 zbrojne starcia faszystów z socjalistami i ludowcami. Wszędzie już front ludowy trafia na opór ze strony czarnych koszul, znajduje tamę i sprzeciw, nie może bezkarnie hulać. Faszyci coraz skuteczniej pacyfikują kraj. Narażają się, giną, robią jednak swoje. Przywracają porządek. Zaprowadzają ład. W obliczu bezsilności i bezradności oficjalnych czynników bezpieczeństwa.

W maju 1921 r. ponowne wybory. Faszyci wprowadzają do parlamentu 34 swoich posłów. W tej liczbie już jest i Mussolini. Pierwszy krok faszystów w parlamencie: wyrzucają z sali obrad posła Misiano, komunistę i dezertera z wojny. Fakt ten uważać należy za faktyczną i symboliczną rehabilitację honoru w narodzie.

Daleką i ciężką mieli jeszcze drogę przed sobą. Ale szli do zwycięstwa, nie ustając w walce, nie cofając się przed nikim. W sile 6.000 czarnych koszul zajmują Rawennę. W marszu na Sarzanę we wrześniu walczą z policją, która ogniem karabinów maszynowych odrzuca ich w dzielnicę uzbrojonej milicji czerwonej, ta zaś dorzyna rozbitków. Padło wówczas po stronie faszystów 18 zabitych.

Ale to nic. Zdecydowani byli na śmierć, więc szli i zwyciężali. Z wodzem na czele. W imię raz nareszcie ładu i porządku. W imię siły państwa. Pod znakiem liktora starożytnej

Romy. Liktorzy poprzedzali zawsze dyktatora, czyli uosobioną wolę narodu. A przed liktorem niesiono pęk różg związanych z toporem. Symbol dyscypliny dla dobra powszechnego.

W r. 1922 faszyzm reprezentuje taką siłę zorganizowaną i równocześnie taką dyscyplinę wewnętrzną, że władze odwołują się doń o pomoc, ilekroć chodzi o opanowanie zamętu. Z chwilą wybuchu strajku powszechnego faszyci zastępują obsługę wszystkich instytucji użyteczności publicznej. Rozbijają i likwidują wszelkie próby strajków. Władza widzi w nich jedyny w kraju czynnik oparcia i bezpieczeństwa. Mussoliniemu ofiarują tekę ministra w rządzie Fauty. Mussolini zaszczytną propozycję uchyla.

Dn. 28 października po mobilizacji generalnej czarne koszule trzema kolumnami z trzech różnych stron maszerują koncentrycznie na Rzym. Na całym półwyspie obsadzają dworce i gmachy publiczne. Rząd ogłasza stan oblężenia, król jednak dekretu tego podpisać nie chce. 30 października Mussolini w mundurze faszystowskim staje przed królem i oświadcza: „W. K. Mość, melduję się z Italią z Vittorio Veneto“. Co miało znaczyć: zgłaszam Italię naprawdę zwycięską; słabość opanowana; montujemy siłę.

Tegoż dnia Mussolini jako premier sformował nowy rząd.

Kiedy Mussolini w nowym charakterze szefa rządu stanął przed parlamentem, wypowiedział płomienną mowę, z której wyjmujemy taki oto znamienity passus: „Mógłbym tę salę głuchą i szarą zamienić na biwak żołnierski...“ Mieć nie połów tylko, lecz żołnierzy zarazem; mieć nie forum bezowocnej dyskusji politycznej, lecz stadion zdyscyplinowanej myśli państwowej, — takie były założenia pierwotne faszyzmu, takie musiały być intencje wodza, kiedy ujmował ster władzy. Dla zrealizowania jednak swej myśli, czymże dysponował? Miękkim ciastem ustroju politycznego, którego decyzja była dotąd wypadkową gry sił parlamentarnych, czyli gry pro-

gramów, gry słów, gry wiatru... Cały rok 1923 i r. 1924 upływają na poszukiwaniu i ustalaniu jakiegoś punktu oparcia. Społecznie punktem oparcia stają się związki kombatanckie uznane oficjalnie za instytucję służby publicznej. Administracyjnie punktem oparcia staje się ochotnicza milicja bezpieczeństwa, dobrana z pośród czarnych koszul.

Rząd Mussoliniego w odniesieniu do odcinka pracy stawia na związki zawodowe o charakterze narodowym przeciw związkom czerwonym i białym. W odniesieniu do życia politycznego zwalcza masonerię. Innymi słowy w przebudowie społeczeństwa i państwa decyduje się na linię narodową oraz na dalszy ciąg walki z międzynarodówką. Reforma ordynacji wyborczej tak jest pomyślana, żeby tym właśnie narodowym czynnikom zapewnić zwycięstwo i przewagę w nowym parlamencie.

W maju 1924 r. wybory. Triumf faszystów. Mniejszość opozycyjna kwestionuje uczciwość aktu wyborczego i wypowiada walkę rządowi Mussoliniego. Dzień 10 czerwca przynosi punkt kulminacyjny: zamordowanie posła Matteottiego, należącego do opozycji. Smutne to zdarzenie daje sygnał rozpętania gwałtownej akcji antyfaszystowskiej w kraju i zagranicą. Opinię całego świata umiano zmobilizować przeciwko Mussolinemu i zapoczątkowanej przez niego przebudowie Italii. Socjaliści i popolari grają na fali ludzkiego oburzenia. W hałasie spowodowanym śmiercią posła z opozycji, Matteottiego, mija bez echa śmierć posła faszystowskiego, Casalini, zamordowanego dnia 12 września przez zamachowców opozycyjnych. Ferment sięga tak głęboko, że faszystowskie dotąd związki kombatanatów rozbijają się i w dniu 4 listopada 1924 r. w Mediolanie zostaje powołana do życia z pośród b. wojskowych „Italia Libera” o nastawieniu antyfaszystowskim.

Humanitarni włoscy i zagraniczni, którym widma po-

mordowanych w walce bratobójczej robotników, chłopów i studentów nie spędzały jakoś snu z powiek, nagle po śmierci Matteottiego zatrzęśli się z oburzenia i jęli głosić międzynarodową krucjatę świata przeciw temu, co się dzieje w Italii. Akurat odkąd zaczął się tam dźiać porządek i spokój...

Na mobilizację międzynarodówki Mussolini odpowiedział moralną mobilizacją Italii. Rozumiał, że z opozycją nie dojdzie do porozumienia, straci natomiast zbyt dużo czasu i energii na tarcia oraz na to, co uważane jest za normalną polityczną grę. Należało wyskoczyć z „normalizacji“ i odtąd liczyć jedynie na siebie i swoich.

W styczniu 1925 r. ustala zasadniczy punkt oparcia nowego reżymu: zmianę ustroju. „Naród włoski, brzmi odnośna uchwała, nie posiada ani surowców, ani kapitałów, posiada za to bogactwo ludzkie, które winno być zorganizowane na zasadach dyscypliny syndykalistyczno - faszystowskiej. Z tego należy rozwinąć plan przebudowy gospodarczej i politycznej“...

W r. 1925 Mussolini zaczyna rządzić naprawdę po dyktatorsku. Po sparaliżowaniu zamachu stanu z Zambonim i gen. Capello na czele, którzy planowali zamordowanie Mussoliniego, opozycję skazano na wygnanie. Kierownictwo związków kombatanckich powierzono komisarzowi rządowemu. Ośrodkiem decyzji, punktem centralnym wszystkiego w państwie jest Wódz.

I TERAZ DOPIERO... W 1926 r. utworzone zostało Ministerstwo Korporacji, jako wyraz planowej przebudowy gospodarczej.

Wszystkie resorty i dziedziny życia w państwie obejmują faszyci. Partia zdobywa charakter „totalny“ i staje się jedyną legalną w państwie (mono - partia). To wcale nie znaczy, że partia ma utożsamiać się z państwem i pokrywać

z administracją. Administracja rządzi i kieruje, obejmuje państwo. Partia wychowuje obywatela i obejmuje naród. Do urzędników należy władza publiczna. Do organizacji faszystowskiej formowanie myśli politycznej mas, wychowanie młodzieży i dorosłych, wpływ na opinię, budzenie świadomości publicznej.

Na miejsce dawnej gry sił zwalczających się i sprzecznych przychodzi nowa koncepcja podziału funkcyj, najbardziej dla narodu i państwa żywotnych. Podział pomiędzy akcją społeczną a funkcjonowanie władzy.

I teraz dopiero z tego podziału wyrosła organizacja państwa faszystowskiego jako tworzenie formy życia zbiorowego. A dalej — nowa struktura społeczno - gospodarcza oraz nowa doktryna wychowawcza jako tworzenie treści w ramach państwa.

KONSTYTUCJA PRACY

Przyzwyczajiliśmy się uważać „kartę wolności“ za jedynie możliwy „papierek“, regulujący stosunek człowieka do zbiorowiska oraz vice versa. Rodzaj umowy w guście Żan Żaka Russa. „Papierek“, pod tytułem Magna Charta, niesiony na falach rewolucji, imponował jeszcze ludziom XVIII-go i XIX-go wieku. Nam już nie. Inaczej bowiem układa się sytuacja i koniunktura świata, czego innego szuka człowiek, inną ogląda rzeczywistość, innym też strzela w niebo aktem wiary czy doktryny. Przede wszystkim zaś modli się o siłę, wiedząc, że nic nie pomoże papier bez siły rzeczywistej. Doktryna więc musi wyrastać z rzeczywistości i musi prowadzić do siły realnej. Taką jest zasada przyrodzona życia. Resztę oddajmy literaturze i lekkomyślności. Monarchia francuska żyła w ciągu 800 lat bez konstytucji pisanej, kiedy zaś ją napisała — umarła. Przyczyna prosta: prawo papierowe nie zastąpi równowagi straconej. Z tego przede wszystkim musiał zdawać sobie sprawę twórca i wódz faszyzmu.

Nie ma doktryny faszystowskiej w sensie doktryny *a priori*. Doktrynerzy apriorystyczni pokpiwali sobie z tego, co się robiło w Italii, ponieważ było w tym tyle sprzeczności co w życiu. Np. teoretycznie faszyzm przeciwstawiał się stanowczo jakimukolwiek wtrącaniu się państwa w życie gospodarcze. Praktycznie musiał niejednokrotnie stosować chwyt interwencyjne. Teoretycznie apoteozował rzymskie prawo własności, używania i nadużywania tego co się posiada. Praktycznie musiał nierzadko wywłaszczać posiadaczy z powodu ich złej,

nieprodukcyjnej gospodarki. Patrząc na to, doktrynerzy pokpiwali na osobności, a tymczasem dzięki właśnie niedoktrynerskiemu faszyzmowi państwo zdobywało coraz bardziej siłę, władzę i głęboką treść moralną, ideę. W oczach, w przeciągu już nie lat, lecz miesięcy, dojrzewała nowa doktryna państwa faszystowskiego. Przez taki, a nie inny układ życia. Przez podciągnięcie obywatela do dyscypliny.

Jak wzmocnić państwo? Jak powiązać społeczeństwo z państwem, aby aparat nie stracił kontaktu z wiecznie zmiennym życiem narodu, aby nie oderwał się od swej podstawy, od ziemi? Oto dwa zadania, które stoją przed każdym rządem każdego kraju, a więc i przed faszystowskim. Każdy rząd musi te dwa zadania rozstrzygnąć po swojemu. Faszystowski zrobił to w trzech etapach.

Najpierw, jak u nas Piłsudski po maju 1926 r., szukał współpracy z opozycją. Potym ciężar władzy przełożył na ramiona jednego człowieka — dyktatora. Wreszcie przystąpił do montowania nowego ustroju, jako tej maszyny, która miała ruszyć w przyszłość. Ten trzeci etap datuje się od r. 1927, kiedy to, dokładnie w dniu 21 kwietnia, na Wielkiej Radzie Faszystowskiej uchwalona została *Konstytucja Pracy*. „Papierek“ wyniesiony na falach politycznego przewrotu, ale równocześnie poparty siłą realną, triumfującą przemocą „czarnych koszul“. Magna Charta nowej Italii.

Na Konstytucji Pracy z 1927 r. opiera się właściwie cały zrąb państwa włoskiego ery faszystowskiej. Z tego skromnego dokumentu wyrasta wielki aparat ustrojowy władz, plan nowej struktury gospodarczej, idea wychowania obywatelskiego.. Słowem wszystko: książka i karabin.

Zaraz w artykule pierwszym Konstytucji Pracy mocną odprawę dostały wszelkie międzynarodówki, punkt zaś narodowy zawieszono niby sztandar — na najwyższym maszcie nawy państwowej.

„Naród włoski jest organizmem, którego cele, życie i środki działania są nadrzędne w odniesieniu do składających go jednostek i grup“.

Artykuł drugi brzmi: „Praca pod wszelką postacią: umysłowa, techniczna, czy fizyczna jest obowiązkiem społecznym“. „Kompleks wytwórczości stanowi jednolitą całość z punktu widzenia życia narodowego“. Cele tego kompleksu sprowadzają się z jednej strony do dobrobytu każdego producenta, z drugiej zaś do rozwoju mocy narodowej.

Jesteśmy zatem pomiędzy dwoma biegunami: dobro poszczególne, a dobro powszechne. Przyczym nie wolno nam tutaj biernie stać. Każdy musi się obracać jak pracowite kółko w maszynie życia zbiorowego, pojedynczy producent w całokształcie produkcji kraju.

Artykuł trzeci: „Organizacja życia zawodowego i związkowego jest wolna“. Jednakowoż przedstawicielstwo świata pracy dopuszczalne jest „tylko i wyłącznie przez związki legalnie ukonstytuowane, zatwierdzone i kontrolowane przez państwo“. Tylko i wyłącznie takie związki zawodowe mają prawo bronić interesów pracowniczych tak w stosunku do państwa jak i do osób trzecich; walczyć o umowy zbiorowe, pobierać przymusowe składki i wpisowe.

Artykuł czwarty: Umowy zbiorowe winny być tak układane, żeby dawały wyraz „solidarności wszystkich czynników produkcji przez godzenie interesów sprzecznych najemców i najemników, przez podporządkowanie się interesowi naczelnemu produkcji“. W razie zatargów kwestia sporna przechodzi do korporacji, poczym następną instancją będzie Trybunał Pracy. Za pośrednictwem tego Trybunału państwo reguluje wszystkie zatargi świata pracy.

Dalej związki zawodowe „pilnują równości prawnej pomiędzy pracownikiem a pracodawcą, podtrzymują dyscyplinę pracy oraz przyczyniają się do postępu w danym zawo-

dzie“. Jaką drogą mianowicie? Drogą korporacji, które są organizacją jednolitą sił wytwórczych kraju i przy tym reprezentują niepodzielność interesów zawodowych.

A więc o ile wolne związki zawodowe są uznane przez państwo, o tyle korporacje są właściwie organem państwa.

Państwo nie chce tamować inicjatywy prywatnej w dziedzinie życia gospodarczego, ale uważa za swój obowiązek wkraczać z inicjatywą etatystyczną wówczas, gdy się inicjatywa prywatna nie ujawnia należycie na jakimś odcinku, albo gdy chodzi o wyraźny interes polityczny państwa.

Kwestia płac staje się najczęściej źródłem zatargów w świecie pracowniczym. Konstytucja Pracy precyzuje zatem w dalszym ciągu zadania związków zawodowych, powierzając im rzecz bodaj najważniejszą: kalkulację płac. Muszą tu być uwzględnione trzy elementy składowe; 1. godziwe wymagania życiowe pracownika; 2. stan opłacalności danej gałęzi produkcji; 3. wydajność pracy. Elementy te nie mogą sobie przeszkadzać, ani wykluczać się nawzajem. Przeciwnie: winny się uzupełniać. W tym względzie miarodajnym precedensem jest orzeczenie Trybunału Pracy w sprawie pewnego zatargu pomiędzy robotnikami rolnymi a obszarnikami. Najemca, opiewa wyrok Trybunału, nie ma prawa tłumaczyć się, że gospodarka jego daje deficyt i z tego tytułu nie stać go na takie płace, które zapewniłyby pracownikowi minimum egzystencji ludzkiej; najemca obowiązany jest tak kierować przedsiębiorstwem, żeby ono było opłacalne, a już w żadnym razie nie wolno mu zmniejszać deficytowości kosztem pracownika.

Faszystowska konstytucja pracy wnosi zasadniczo nową koncepcję życia zbiorowego. W zbiorowisku nie ma miejsca dla obywatela abstrakcyjnego. Władza zna, szanuje, ceni, uwzględnia i popiera tylko i wyłącznie obywatela wytwórcę, wnoszącego kwantum swojej pracy w całość wytwórczości

ogólnej. Praca wiąże człowieka ze społeczeństwem, narodem i państwem. To też wytwórca nie może być przeciw państwu, ani nie może żądać, by państwo służyło jego osobistym celom. Według tej koncepcji życia zbiorowego rola państwa nie zatrzymuje się na pełnieniu obowiązków stróża nocnego, administratora dóbr, policjanta lub żołnierza swoich podatników. Państwo zdobywa osobowość prawną i fizyczną, staje się formą wiekuiętego życia narodu, zrasta się z duszą człowieka jako jego mit.

„Wszystko jest w państwie, nic nie ma poza państwem, nic nie ma przeciw państwu“. Tak powiedział Mussolini. W powiedzeniu tym nie zaskrzypi nudny i suchy etatyzm, ani nie odezwie się tyrania dawnych władców absolutnych wieku obskurantyzmu i oświecenia, jeżeli uwzględnimy fakt nad faktami, że u podstaw państwa faszystowskiego poczęła się Konstytucja Pracy. Obywatel przestał być komórką widzimię i anarchii, nie wolno mu działać jak sam chce. Obywatel musi być wytwórcą wprzęgnięty w obowiązek społeczny, narodowy i państwowy. Anarchia i widzimię obywatelskie ograniczone zostały dyscypliną dobra powszechnego.

Stąd przyszło wzmocnienie państwa i władzy w państwie. Tędy, przez odpowiednio skonstruowane i uzależnione związki i korporacje, nawiązał się kontakt aparatu państwowego z rzeczywistym życiem społecznym. I w tych ramach człowiek odnalazł swój głębszy sens i treść ideową.

CZŁOWIEK WSPANIAŁY

Skraina lewica nie może darować Mussoliniemu, że zagarnął władzę jakoś inaczej, nie typowym zamachem stanu przy pomocy wojskowych. Nie może darować, że szukał i że znalazł oparcie dla faszyzmu na szerokiej bazie mas ludowych, że dotarł do serc ludzkich, że potrafił dla siebie zmobilizować sentyment i entuzjizm. Nie może darować, że w orbitę swych wpływów wciągnął związki zawodowe, które dotąd były domeną i ostoją ruchów lewicowych i rewolucyjnych przeciw państwu. Nie może darować zwłaszcza tego, że przyszedł, wziął władzę i że trzyma ją nadal — i to z powodzeniem. Właśnie sukcesy Italii faszystowskiej w akcji, na zewnątrz i na wewnątrz, nie dają przeciwnikowi spać.

W rozmowie z pisarzem niemieckim Ludwigiem, powiedział kiedyś Mussolini: „Wyszedłem z ludu, oto co mi dało w życiu największe atuty“.

Znacznie wcześniej, bo w roku 1917 na zgromadzeniach publicznych wołał, oraz na łamach pism pisał: „Italii trzeba człowieka, który zna masy ludowe, który je kocha i który nimi pokieruje, gnąc w razie potrzeby siłą...”

A już jako wódz i dyktator Italii, jako ten *jej* człowiek, tak przemawiał do delegatów robotniczych: „Nie jesteście biedni, nie powinniście być pokorni, nie możecie uważać się za wyrzutków świata, jak tego uczy was retoryka starego socjalizmu; albowiem jesteście producentami i w tym charakterze domagacie się prawa traktowania z przemysłowcami, jak równi z równymi“...

W powyższych enuncjacjach jest niejako cały program społeczny faszyzmu od punktu wyjścia aż do przebudowy struktury życia zbiorowego.

Mussolini był niegdyś robotnikiem i socjalistą. Może więc z tego powodu, a może i stąd, że w gospodarce włoskiej odcinek przemysłowy i odcinek finansowy były i są stanowczo bardziej włoskie niż w Polsce polskie, faszyzm zaczął przebudowę ustroju od uporządkowania świata pracy i od organizowania mas ludowych. Związki zawodowe i korporacje uznane zostały za podstawę państwa. Polityka podporządkowała ekonomię.

Siłą i propagandą faszystów opanowali czerwone związki zawodowe II-ej i III-ciej Międzynarodówki. Uczynili z nich ogniska propaństwowe. Nie po to przecież państwo legalizuje swobodę odrębnego zrzeszania się najemców i najemników, żeby potęgować konflikty społeczne, sobie życie utrudniać i szkodzić produkcji. Wprost przeciwnie. Dlatego władze kierownicze związków zawodowych, aczkolwiek powoływane z wyboru, muszą obowiązkowo uzyskiwać zatwierdzenie właściwych czynników urzędowych. Urzędnikom państwowym nie wolno należeć do żadnych związków zawodowych, ponieważ najemcą ich jest samo państwo. Związki zawodowe istnieją na podstawie dobrowolnego członkostwa, reprezentują jednak nie tylko wpisanych, lecz wszystkich pracowników danej branży. W tym ukrywa się zręczny chwyt. Jeśli bowiem związek ma prawo występować w imieniu wszystkich, to w interesie wszystkich jest nałożenie do odpowiedzialności związku zawodowego.

Nie wolno atoli łudzić się, że w ten sposób unarodowione związki zawodowe i tak gruntownie opanowane przez władze, dają absolutną gwarancję zerwania z brutalnymi formami walki klas i że zawsze z góry zapobiegają wszelkim konfliktom pracy. Ludzie są ludźmi. Zawziętość w zatargach po-

zostaje. To też w tym względzie rolę klapy bezpieczeństwa odgrywa omawiany już na tym miejscu Trybunał Pracy. Jako czynnik trzeci naprawdę bezstronny. Jako głos państwa, stojącego nadrzędnie, ponad interesem klasowym. Jako arbiter, który zasługuje na zaufanie i który nie zawiedzie.

W kwietniu 1931 r. wybuchł ostry zatarg na tle ekonomicznym pomiędzy plantatorami, a robotnikami plantacji ryżowych. Zasięg zatargu był olbrzymi, bo obejmował 130.000 robotników, z górą 1.000 właścicieli plantacji ryżowych, ewentualny zaś strajk groził zmarnowaniem plonów i, co za tym idzie, kolosalnymi stratami pieniężnymi oraz perturbacjami na rynku spożycia. Różnica płac pomiędzy żadaną przez robotników, a ofiarowaną przez pracodawców, była tak duża, że związki zawodowe nie mogły doprowadzić obu stron do ugody. Sprawa oparła się o Trybunał Pracy w Turynie. Ale tymczasem co zrobić, zanim formalnemu biegowi rzeczy stanie się zadość? Tutaj kierownictwo związków zawodowych zdało egzamin celująco. Równocześnie karność mas pracujących poddana została ciężkiej próbie i wyszła z próby zwycięsko. Przekonano mianowicie robotników, że robotę należy kontynuować na warunkach dotychczasowych i że należy mieć zaufanie do władz, które na siebie wzięły ciężar walki o sprawiedliwość. Wyrok Trybunału Pracy całkowicie potwierdził opinię związków zawodowych i nie zawiódł zaufania mas pracujących. Wprawdzie nie wytargowano płac w wysokości żądanej, ale w każdym razie ustalono je na poziomie znacznie wyższym, niż ofiarowywali plantatorzy, przyczem, co najważniejsza, Trybunał Pracy orzeczeniem swym zmusił ich do zapłacenia różnicy za cały czas wstecz od początku zatargu.

Rząd w oczach robotników dowiódł swej rzetelnej bezstronności, swego stanowiska ponadklasowego i że sprawiedli-

wość społeczna nie jest jeno czczym hasłem systemu. Lud pracujący do takiego rządu może mieć zaufanie.

Stosunku tego nie da się, oczywiście, ani zważyć, ani zmierzyć, stanowi on jednak cement każdego ustroju państwowego. Spaja na mur. Daje siłę. Działa dalej twórczo, od wewnątrz na człowieka: wychowuje. Obywatel rozumie, że nie wolno mu wymierzać sobie samemu sprawiedliwości, zresztą nie ma wcale potrzeby tak czynić, gdyż czuwa nad nim prawo jego państwa. Ono hamuje robotnika. Ono zmusza również właścicieli i przedsiębiorców do podporządkowania się obowiązkom społecznym i państwowym. Najemców pozbawia suwerenności i karci.

KORPORACJONIZM. Związki zawodowe to organizacje idące niejako po linii pionowej. Korporacje natomiast układają się poziomo, grupując wszystko i wszystkich w danej branży. Istniało najpierw sześć wielkich korporacji, powieździelibyśmy zasadniczych, jako to: przemysł, rolnictwo, handel, banki, transport lądowy i rzeczny, transport morski i powietrzny. Z czasem dodano: turystykę, teatr, wolne zawody razem ze sztuką, oraz szereg korporacji specjalnych W dn. 10 listopada 1934 r. odbyło się pierwsze zgromadzenie walne 22 korporacji, już funkcjonujących. Dalsze są w stadium rozwoju, a i te, co są, podlegają w strukturze swej, w działalności i w wytycznych programowych ustawicznym ulepszeniom i zmianom. Jest to niekończący się jeszcze eksperyment gospodarczy, zakrojony na wielką miarę i ożywiony szlachetną ambicją przebudowy społeczeństwa od podstaw.

Korporacjonizm włoski nie jest celem sam w sobie, lecz środkiem wiodącym do realizacji głoszonej na wstępie sprawiedliwości społecznej. Żeby dążyć do wyrównania dołów ze szczytami. Żeby był nie dobrobyt garstki uprzywilejowanych, lecz dostatek ogółu, a przede wszystkim mas pracują-

cych. Św. Augustyn mawiał: „Kochaj Boga i rób co chcesz“. W myśl podobnej maksymy, Wódz, kochający naród, siłą nawet ma prawo giąć go i organizować dla jego dobra.

Nonsensem jest, by ludzie cierpieli głód w w. XX, zmaszynizowanej i zwielokrotnionej produkcji, że zaś tak jest, to jedynie na skutek automatyzmu liberalnego w gospodarce narodowej, na skutek braku zaradności i dyscypliny. Aparat gospodarczy musi zatem funkcjonować zgoła inaczej, niż dotychczas: pod znakiem zaradności i dyscypliny. Przykładem reformy w tym kierunku niech posłuży korporacja zbożowa. Należą do niej wszyscy zainteresowani w produkcji i spożyciu zboża, a więc: rolnicy, młynarze, piekarze, cukiernicy, kupcy i t. d., wszyscy w układzie trzystopniowym: właściciel, technik, robotnik. Korporacja ustala obowiązujący kontrakt sprzedaży mąki, porządkuje rynek zbożowy, magazynuje rezerwy, typuje warunki przemiału i t. d. We wszystkich związanych z tym działem i wynikających z niego kwestiach decyduje fachowiec, ekspert, spec. Nie tłum z wyborcą, tylko interes czysto gospodarczy, czyli inaczej, interes ludzki. To pozwala biednym żyć tak, by ich nie zadusili silni i bogaci. Zresztą organizacja korporacyjna wyklucza wielkich kapitanów przemysłu, uniemożliwia bowiem monopolizowanie zysków produkcji w ręku jednego człowieka lub paru osób. System to, jak widzimy, najbardziej ludowy.

Za najciekawszy organ reżymu faszystowskiego uchodzi Państwowa Rada Korporacyjna, powołana do życia na mocy dekretu - ustawy z dn. 20 marca 1930 r. Biorą w niej udział obok innych przedstawicieli wytwórczości krajowej także robotnicy. I oto po raz pierwszy na świecie robotnicy powoływani są nie tylko do omawiania kwestii płac czy godzin pracy, ale do konkretnego kierowania gospodarką narodu i państwa. Rada Korporacyjna wypowiada się w sprawach polityki celnej, traktatów handlowych, zarządzeń kredyto-

wych i t. p. Uchwały Rady Korporacyjnej przekazywane są parlamentowi dla wypracowania ustaw i rządowi w celu wydania dekretów. Tak wydobyta ze społeczeństwa myśl i dyscyplinę gospodarczą przekuwa się bardzo prosto w obowiązujące prawo. Znowu objaw systemu, który jaknajskrupulatniej zapewnia ludowi głos rzeczowy i decydujący.

Korporacjonizm w takim zastosowaniu urasta do znaczenia nowej doktryny ustrojowej, zmierzającej wyraźnie i zdecydowanie ku przebudowie struktury społecznej i ku zmianie metod pracy politycznej. Dzięki temu polotowi nowatorstwa korporacyjnego faszyzm stał się towarem na eksport, zapłodnił hitleryzm, dał impuls ruchowi społeczno - katolickiemu w Austrii, wpłynął nawet na neosocjalistów we Francji. Ujawnił zdolności do niezwykle ciekawego podejścia społecznego, rewolucyjnego w zasadzie. Stał się ruchem poważnym, z którym się musi dzisiaj liczyć świat.

Słusznie tedy powiada Mussolini sam o sobie: „Ja jestem wodzem, który wyprzedza, a nie, który idzie za kimś!“...

Faszyzm wyłonił się, jak pisaliśmy, z krwawej kapieli, którą można było uważać za rewolucję chaotyczną. Doszedł rychło po wielu próbach i przemyśleniach do podważenia starych zasad ustrojowych społeczeństwa i państwa, do tworzenia nowych form, do szukania nowej treści. Przystąpił do rewolucji planowej. I wykonał ją. Z rezultatem na zewnątrz i na wewnątrz takim, że — chapeaux bas!

Kolosalną rozpędową siłą faszyzmu jest to, że będąc u władzy zdołał utrzymać ducha rewolucyjnego w masach, nastrój pogotowia i kombatywności. To, co Hitler określa jako duch frontu. Jeśli czynić coś, to z entuzjazmem, fanatycznie. Osiąga się ten nastrój dzięki umiejętnie prowadzonej propagandzie. Faszysta, choćby był skromnym cywilem, musi się uważać za żołnierza, na froncie, albowiem wódz raz po raz wskazuje mu cel, o który trzeba walczyć, który należy wy-

grać jak bitwę. Jest wojna o kolonię, ale i wojna o własny chleb, wojna o elektryfikację kraju, wojna o drogi i t. d. i t. d. Wciąż wojna o coś. Cel za celem do zdobycia wysiłkiem rąk, myśli i chęci. To powoduje takie natężenie pracy, intelektu i woli, że obywatel nowej Italii na każde pole działalności wybiega niby do startu i robi rekordy. Tak potęguje się i uskrzydla wszechstronnie siła ludzka. A w zbiorowisku rośnie to już do rozmiarów jakiejś cudownej przemiany wewnętrznej i zewnętrznej i daje wyraz swej mocy kierowanej jedną wolą wodza.

Od piątego roku życia aż do śmierci Włoch pozostaje w organizacji: czy to w partii, czy w związkach, czy w korporacji. Wszędzie poddają jego patriotyzm temperaturze kipiącego entuzjazmu. Najbardziej chyba w organizacjach działają i młodzieży, które są w istocie świetne i jednolicie prowadzonym W. F. i P. W. Gdyby nawet tak się zdarzyło, że jakimś wypadkiem obywatel przeżyje swój czas poza organizacją, to ścigać go będzie na każdym kroku prywatnie doktryna i płomień faszyzmu. Ze sztuki w teatrze, z ekranu w kinie, z kart książki, ze szpalt gazet, z afisza na ulicy, ze spotkanych manifestacyj, pochodów i „adunat”. Wszystko na każdym kroku uczy go, przekonywa, nastraja i wiąże z systemem. Bez przesady, żaden Włoch zamieszkały w granicach Italii nie może żyć poza faszyzmem. I nie może nie być faszystą.

Po wojnach „Risorgimento”, wkrótce po zjednoczeniu Italii pod berłem Domu Sabaudzkiego, pisał Massino d'Azeglio: „Italia jest zrobiona, teraz trzeba zrobić Włochów”. To znaczy — zrobić z nich ludzi swojej ojczyzny, twórczych i promieniujących.

W sensie najwspanialszym przetwarza Włochów na nową

wielką miarę Italii — Wódz. Ten sam, który wołał, że trzeba człowieka... Człowieka wspaniałego... Takim on jest. Takich szuka i takich tworzy.

STAJEMY PRZED siedzibą Musoliniego „Villa Torlonia“ w Rzymie. Co parę metrów w długim szeregu czuwa na warcie zbrojna milicja faszystowska. Późna noc, cicho, z daleka słycać auto. Orowadzający nas Włoch mówi ściszo-
nym do szeptu głosem: „Jakie to wzruszające, — prawda? — pomyśleć, że On tam śpi“..

C H R I S T U S — R E X

Dnia 2-go listopada 1935 r. odbywał się w Courtrai w Belgii zjazd towarzystw i kół katolickich. Na zjeździe tym zaszedł incydent, o którym wkrótce mówić zaczął cały kraj i skąd echo poszło w świat. Wtargnął mianowicie na salę obrad nieproszony Leon Degrelle z grupą młodzieży katolickiej, jał wymownie domagać się głosu i, głos otrzymawszy, wypalił skandaliczną mowę. Żądał ni mniej ni więcej, tylko by ustąpił przewodniczący zjazdu, czcigodny p. Segers, senator Antwerpii, by zrzekł się mandatu prezesa organizacji, w dalszym zaś ciągu w sposób wybitnie demagogiczny piętnował machlojki finansowe polityków w ogóle. Kim był ten młody, bo zaledwie 30 lat liczący trybun, mało kto wówczas wiedział. Tymczasem ten mało komu znany człowiek po upływie 6 miesięcy w głosowaniu do parlamentu dn. 24 maja 1936 r. otrzymuje na swoją listę poselską 300 tysięcy głosów i grupa jego tak zwanych „rexistów“ zdobywa w Izbie 22 miejsca na ogólną liczbę 202.

Początki istotnie były bardzo skromne. Jakiś niepozorny tygodniczek, coś pośredniego pomiędzy biuletynem parafialnym a bezpretensjonalnym przeglądem literackim pod tytułem „Christus-Rex“ (Chrystus-Król). Redaguje go Leon Degrelle, Wallon z pochodzenia. Redaguje zresztą dość naiwnie. Stara się oderwać parafian od materializmu, usiłuje obudzić tęsknotę do wielkiego ideału i do cnót. Przyrównuje Chrystusa na Golgocie do konającego w okopach żołnierza. Woła, że są dzieci głodne na ulicy, a więc kto ma chleb, mu-

si im go dać. Ktoby nie dał, byłby zaiste potworem. Powtarza aż do znudzenia, że solidarność i sprawiedliwość nie mogą pozostawać górnolotnymi hasłami. Muszą zejść na ziemię i muszą się stawać ciałem. Masy idą za tymi, którzy niosą jakiś błysk nadziei. Idą więc za Leninem, za Hitlerem, za Mussolinim. Człowiek godzi się skwapliwie na eksperymenty najbardziej szalone, tak okropnie jest spragniony szczęścia. Tylko, że niestety eksperyment katolicki nie został dotychczas wypróbowany, a przecież eksperyment w tym duchu powinien się przede wszystkim udać. Katolicyzm czynny i skory do realizowania się mógłby niewątpliwie skupić pod swym sztandarem ludzkość. Pod warunkiem, że przedtem obudzimy własne sumienie. Że oczyścimy najpierw szeregi katolickie. Że uświęcimy siebie samych.

Warunki te głoszone, niby z kazalnicy, z łamów tygodnika „Rex“, poparte nadto żywą robotą organizacyjną w terenie, wywołały rumor, porwały młodzież i zapoczątkowały ruch, który szerzył się gwałtownie niczym pożar serc i dusz. Leon Degrelle okazał się rewelacyjnym mówcą i jednocześnie świetnym organizatorem. Olbrzymie wiece jego gromadziły do 10 tysięcy słuchaczy. Zapał rósł, przechodząc granice wszelkich przewidywań. Degrelle stawał się bożyszcem młodzieży katolickiej. Mówiono o nim, że wydziela jakiś fluid tajemniczy i tym pociąga masy. Żartowano, że ma osobliwy sex-appeal, który ochrzczono „Rex-appeal’em“.

A to był poprostu fanatyzm służenia sprawie. Mocna wola oddziaływania. Ogień wiary, który zwykle ma tę właściwość, że udziela się i zapala. Sprawę ułatwiało przy tym posługiwanie się elementarnymi zasadami, trafiającymi do każdej mądrej czy prostaczek głowy. A zwłaszcza to, co mówił w oczy katolickiej partii: „Zanim podejmiecie się reformy państwa, zreformujcie własną partię“. Rzecz prosta i jasna. Zazwyczaj jednak rzeczy proste i jasne, zbyt uparcie głoszone, bu-

dzą niepokój. Tymbardziej gdy są zabarwione znaczną dozą krytycyzmu. Bo wtedy drażnią.

Tak Degrelle ze swoją grupą „rexistów“ zaczął niepokoić i drażnić ustaloną opinię belgijską.

Krach socjalistycznego „Banku Pracy“ i w tym czasie skandal finansowy w katolickim „Boerenbond“ walnie dopomogły Degrelle'owi w jego akcji propagandowej. Załammywał się oto świeatek podejrzanym kombinacyjek i siucht. Zwyczajny obywatel nie potrzebował widoczniejszych dowodów, jak jest lekceważony i okradany przez swych prowodyrów partyjnych. Należało raz nareszcie skończyć z tą stęchłą, stojącą polityczną wodą. Oskarżamy, wołali rexiści. Niech co złe w gruzy się rozleci. Nawet wypada się przyłożyć do tego, byle prędzej to rozlatywanie poszło. Nasz Mickiewicz tak samo dzieło burzenia uważał za święte i przyrównywał do dzieła tworzenia. W tym też sensie „rexiści“ mogli być dumni z miana „burzycieli“. Byli bowiem rewolucjonistami katolickimi, walczącymi o nowy ład, o czysty i surowy obyczaj życia politycznego. Twierdzili, że za bliskie sąsiedztwo polityki z finansami nie wychodzi polityce na zdrowie. A już łączenie polityki z finansami, nazwijmy rzecz bez ogródek, cuchnie ordynarnym świństwem. Bez względu na subtelność zachowanych pozorów.

W listopadzie 1935 r. ruch rexistowski w Belgii zdobywa popularność, przekracza ramy jednego stronnictwa politycznego, z którego wyrósł, mobilizuje młodzież, osiąga poważną siłę uderzeniową jako *partia przeciwpartyjna*. Wcale nie nonsens, jakby się na pozór zdawało.

Co do wieku „Rex“ właściwie jest w pieluszkach, nie wiemy, co z tego dojrzeje ostatecznie, lecz już to, co widać, zapowiada przemiany daleko idące. Przede wszystkim osobliwy klimat ruchu robi swoje. Nie faszystowski i nie hitle-

rowski. Nie naśladownictwo ślepe doktryny i formy obcej. Określilibyśmy to raczej jako *klimat młodzieżowy*. Rexizm to wybitnie ruch młodych. Z właściwą młodości dziecinadą pewnych postulatów, ale zarazem z impetem iście rekordowym, musującym. Do licha ze skostniałymi tradycjami! Od rzucić je od siebie jako tradycje grupowo-odrębnych szkół. Dokonać natomiast zjednoczenia na gruncie narodowym, czyli *stworzyć jedną partię — naród*. Ergo: radykalizm bardziej niż socjalistyczny, nacjonalizm suwerenny, autorytet władzy, czyli wola kierująca na podobieństwo dowództwa. Oto podstawowe zasady ruchu rexistowskiego.

Takie zasady musiały być uznane przez dotychczasowe partie polityczne za zgoła niebezpieczne dla ustalonego w Belgii porządku. W wyniku czego nastąpiło porozumienie odporne trzech: katolików, liberałów i socjalistów, przeciw jednemu: rexistom. Konfuzja jak na Belgię niebywała. Pakt sprzeczności z lęku przed spodziewanym, nadciągającym niebezpieczeństwem. Kompromitujący kompromis.

ODEBRANA MISTYKA ANTYKAPITALISTYCZNA.

Socjalistyczna Partia Robotnicza Belgii, ongi brylant uczciwości, dzisiaj... Van Cauwelaert, wybrany ponownie na posła z Antwercpii, Anseele junior z Gandawy, również wybrany ponownie na posła, to dzisiaj hańba stronnictwa. Przykład dorobkiewiczostwa bez skrupułów. Karierowiczostwa i zburzenia socjalizmu. Gnیلny proces korupcyjny sięgnął tak głęboko i ujawnił się tak powszechnie, że pomimo zdobycia w parlamencie przeważającej większości partia socjalistyczna nie miała odwagi moralnej ująć steru rządu w swoje ręce.

Degrelle i tę sytuację potrafił wygrać dla swego ruchu: odebrał socjalistom monopol na mistykę antykapitalistyczną. Lud widzi, że nie tylko socjaliści są radykalni. Ze nacjonalizm pod względem reformy społecznej i gospodarczej w ni-

czym nie ustępuje międzynarodówce. Że i on może zorganizować niezadowolonych i wydziedziczonych.

Tak skończył się system tróipartyjny w Belgii. I zanosi się na monopartię młodych. Na rząd pod znakiem „Christus-Rex“. Sub hoc signo vinces...

PROGRAM POLITYCZNY. Rex w pieluszkach zaczyna mieć swoich teoretyków ruchu. Młodzi oni są i mało znani, szukają jednak baz intelektualnych, dopracowują się doktryny, programu i planu.

Sympatyzująca z rexistami „Nation Belge“ ogłasza wywiad z Degrellem. Uważają nas, powiada twórca ruchu, za faszystów. Czyste kpiny! Nie weźmiemy władzy dopóty, dopóki sam lud nam jej nie da ogromną większością. A zapowiadam, że to nastąpi szybko. Nie słuchajcie bajek, które opowiadają o naszych zamiarach dyktatorskich. Nie trzeba naszych zamiarów, bo dyktatura panuje już teraz: dyktatura kapitału. My rexiści właśnie taką dyktaturę zwalczamy.

Ta sama „Nation Belge“ podaje program polityczny „Rex'u“ ujęty w punkty następujące:

1. Podniesienie gospodarcze kraju przez: opiekę nad rodziną i ogniskiem domowym, budowę tanich mieszkań, minimalne, lecz zapewnione zarobki, wydanie konstytucyjnej karty pracy, pomoc dla drobnego warsztatu rolnego, drobnego kupca, przemysłowca i rzemieślnika, kontrolowanie kredytu i systemu bankowego, surowe karanie nadużyć.

2. Uznanie trzech kultur i trzech języków za równouprawnione w Belgii: Flamandów, Wallonów i Niemców. Uznanie swobody wewnętrznej samorządu regionalnego 8 prowincyj.

3. W polityce zagranicznej: suwerenność Belgii z koloniami, reorganizacja należyta eksportu.

4. Władza wykonawcza: rządzi dyrektoriat speców pod

kierunkiem dobrego polityka. Kontakt z masami ludowymi jako obowiązek bezwarunkowy.

5. Parlament: Izba Deputowanych sprowadzona do funkcji minimalnych, dwa miesiące pracy w roku, uchwalanie budżetu, poboru i ustaw o charakterze specjalnym. Jako druga Izba — Rada Korporacyjna o podłożu gospodarczym.

Suche wyliczenie punktów programu nie oddaje, rzecz prosta, tego, co uważać by należało za najistotniejsze w ruchu rexistowskim, a mianowicie: wiara w człowieka, poszanowanie godności ludzkiej, wycucie swej misji jako osobliwego znaku łaski, wreszcie katolickość wojująca o uzgodnienie sumienia chrześcijańskiego z uczynkami. Zaprawdę objawia się tu w człowieku — Christus-Rex.

A PROPOS CHESTERTON...

Znalazłem kiedyś taką myśl: coś dziwnego sukces książki francuskiej, gdy wiadomo, że pod nią leżą wypchane złotem piwnice Banku Francji; coś dziwnego powodzenie myśli angielskiej, gdy za nią płynie potęga floty. W rzeczywistości duch rasy toruje sobie drogę przez świat siłą fizyczną, czyli złotem i żelazem. Zdolność bez siły nie ma znaczenia: walor nie waloryzuje się, geniusz przechodzi w urojenie. Podobno nawet boski Dante sławę swą zawdzięcza temu jedynie, że żył w epoce, kiedy szlaki polityki europejskiej plątały się i krzyżowały w Italii. One to wyniosły jego pieśń wysoko ponad pola poboju i konfliktów, ponad wieki.

Jeżeli nawet tak jest, to znowu z innej strony, jakim cudem siła fizyczna, czyli złoto i żelazo, idzie w parze z poetą, ergo z książką i z myślą? Czemu dwunożny nie brnie w grubym materializmie, tylko wciąż usiłuje się podźwignąć z ziemi we krwi do lotu wzwyż?...

A bo w człowieku doczesnym odzywa się człowiek wiekui-
sty. Przykładem tego odzywiania się jest postać, życie i dzieło zmarłego niedawno pisarza angielskiego nazwiskiem Gilbert Keith Chesterton (1874 — 1936). Nie obchodzi nas w tej chwili strona literacka zjawiska, tylko jakby powiedział Walter Pater, „duchowa forma“ tego, co wyobrażamy sobie jako Anglika, a przezeń i Anglię.

COMMONE SENSE. Brzuchaty tułów atlety japońskiego i wprost do tułowia, jakby bez pośrednictwa szyi, przytwierdzona wielka głowa. Ciężka strona fizyczna. Ale grzywa

lwia włosów nad czołem, ale oczy, ale coś... Dusza. Widać ją było nawet w jego uśmiechu, tej ostatniej ucieczce kądźdego Anglika. Caritas w humorze. Nie złość i nie nienawiść, tylko właśnie typowy dla Anglii dobroduszny i ze łąż żart z tygodnika „Punch“. O ileż jednak głębiej i filozoficznie ujęty, gdy chodzi o literaturę. I praktyczniej.

Dialog z „Powrotu don Kichota“ Chestertona:

— „Czyż nie widzisz, że życie współczesne jest zbyt skomplikowane, by je zwalczać w sposób tak uproszczony“...

— „Widzę, że życie współczesne jest zbyt skomplikowane, by je zwalczać można inną niż ta uproszczona metoda“...

Myśl trąci paradoksem, dyktuje ją jednak zdrowy sens. Commone sense. Tym góruje Anglik nad Polakiem i Anglia nad Polską. Obfitością zdrowego sensu. Powiedzielibyśmy po naszemu: chłopskiego rozumu.

Albo to naprzykład:

...,rozpoczął się nowy rozdział historii. Dotąd godziliśmy zawsze przeciwników, pomniki Pitta i Focha*) stoją obok siebie. Wy atoli zaczynacie dwie oddzielne historie, zwycięzców i zwyciężonych. Wy stwarzacie coś zgoła nowego, miecz który tnie przez pół, dwudzielną tarczę. Wy nie stwarzacie Anglii...“ (Powrót don Kichota“).

Znowu zdrowy sens, który życiowo potrafi wiązać sprzeczności. Po angielsku.

Wszechstronność jego zainteresowań była wyrazem żywości i czujności intelektu. Dziennikarz, poeta, humorysta, krytyk, malarz, dramaturg, podróżnik, biograf, filozof — czym on wkońcu nie był. Brak mu było tylko szlif generalskich, a byłby w Polsce Wieniawą. Ilustrował sam niektóre swoje książki, prozę jego przyrównywano do żywego srebra, wiersze do iskiei i w tym pośpiechu inteligencji tkwiło niebez-

*) Pitt i Fox, konserwatysta i liberał, dwaj zwalczający się mężowie stanu końca XVIII i początku XIX w.

pieczeństwo obniżenia tematów, a przecież zajął poważne miejsce w piśmiennictwie. Mawiano o nim, że posiada cztery dzioby, bo jednym nie zdążyłby tyle nadziobać. Samo wyliczenie jego prac daje niejaki o tym pojęcie. Zyciorysy Dickensa, Roberta Browninga, Chaucera, Stevensona, św. Franciszka z Assyżu, św. Tomasza z Akwinu i t. d. Powieści i opowiadania: Człowiek który był czwartkiem, Powrót don Kichota, Napoleon z Notting Hill, Latająca oberża, Historie detektywa Browna i t. d., i t. d.

Prace te również świadczą o związku z życiem. Z wielorakością jego zmian i objawów. Z falą zewnętrzną, detektywistyczną, i z nurtem utajonym, franciszkańskim i tomistycznym. Miłość życia wszecz i wgląd. Pęd do sportu i do nauki. Po angielsku.

Jednocześnie ze śmiercią autora ukazała się we Francji w przekładzie jedna z ciekawszych jego książek p. t. „Mannualive“ (w tłumaczeniu na francuski „Supervivant“). Żywotny do przesady. Szalony życiem. Upajający się nim w znaczeniu najlepszym. W przeciwstawieniu do Celine'a i jego rozpaczliwej „Podróży do kresu nocy“, możnaby określić dzieło Chestertona jako „Podróż do kresu dnia“. Wiek XX, wiek samobójstw i zniechęcenia, widzi w nim rebelianta pogody i smaku życia. Filozofa i Don Kichota zarazem. No bo dlaczego ma iść rewolucja zawsze z dołu, jako protest nędzy, kiedy może i powinna być rewolucja taką, jak ją robili polscy romantycy. Duch wieczny rewolucjonista... Pod tym względem książka Chestertona jest wiekiście młoda: w imię smaku i pogody życia żąda pacyfikacji, przewietrzenia, swobody, przestrzeni. To stanowi bowiem o wartości życia. Po angielsku. To ukochawszy, trzeba buntować się i walczyć. Temu systemowi życia i tej mentalności obywatela, zawdzięcza Anglia swoją siłą fizyczną i duchową. Odpowiednikiem Indii jest Kipling. Odpowiednikiem radykalnych przemian

w ramach stałości jest Chesterton, który szerzył idee demokratyczne w formie arystokratycznej. Paradoksalne uosobienie tematu: od gry w krikietu do świętego Franciszka.

Wyznawca kościoła anglikańskiego zaraz po wojnie wrócił się na katolicyzm. Nic nowego w dziejach tej duszy. Oddawna głosił, że człowiek potrzebuje najbardziej wiary i uczucia. Innymi słowy, że musi być przepasany sznurem św. Franciszka. Wyobraźmy sobie: figura atlety japońskiego zabierającego się do dziu-dzitsu z życiem i na potężnym brzuchu biały sznur wyrzeczenia. Nic śmiesznego w dziejach tego człowieka. Dawał świadectwo prawdzie przez całe życie, o to walczył, tego nauczał. Nazywano go „dystrybutystą“, ponieważ założył ligę zwolenników rozdrabniania wielkiej własności i rozdawania jej ubogim. Liga dystrybutystów, dystrybucyzm w Anglii, która scala u siebie tyle bogactw świata... A jednak...

Kiedy czytamy Chestertona lub Dickensa, to jakbyśmy patrzyli na biedne serce ludzkie osaczone przez świat zewnętrzny jakże potężny i niewspółmiernie z sercem wielki. I już wydaje nam się, że wszystko przepadło, że człowiek nie da rady. A jednak ocalał, przebił się, wyszedł, opanował. Jak to jest z małym Dawidem Copperfield, bohaterem Dickensa. Anglia przez swych Dickensów i Chestertonów wierzy w człowieka.

REWOLUCJA ROOSEVELTA

Pierwszy raz wybierano Roosevelta pod znakiem: albo prezydent Roosevelt — albo ruina Ameryki. Tą ruiną miał być multimilioner Hoover. Sprzykrzyły się już ludziom jego obietnki, że kryzys skończy się za chwilę, podczas gdy wszystkim z każdą chwilą powodziło się gorzej. Obywatel nie mógł mieć zaufania do systemu dotychczasowego, który nie wytrzymał próby życia trudnego. Obywatel zapragnął czegoś nowego. Bodaj eksperymentu. Roosevelt wniósł eksperyment. Zaprojektował nowy system „New Deal“, program zorganizowanej kontroli państwa nad życiem przemysłowym i handlowym. Wskazał niejako drogę wyjścia z dżungli indywidualizmów gospodarczych, z niemiłosiernej, bo wolnej gry sił. I tym zdobył popularność w masach wyborców.

Przez czas swych rządów prezydenckich musiał niejednego rozczarować i niejednemu sprawić zawód. A jednak pomimo to i do drugich wyborów stanął w barwach mocno jeszcze pociągających. Jego system zadominował nad wszystkimi innymi zagadnieniami. Jego popularność przytłoczyła poprostu kontrkandydatów.

Na czymże więc polega ten system rooseveltowski czyli rooseveltyzm?

Trzeba znać Amerykę Północną i jej klimat duchowy. Niezależność myśli, śmiałość poczynąń, młodość górna, wysoki dom, co to wysoki? — najwyższy, aż do chmur. Ryzyko i optymizm. Brak miary i pęd do rekordu. Amerykanin lu-

buje się we wrażeniach mocnych, w kontrastach. Prezydent Roosevelt powiedział przy jakiejś okazji, że ratuje Amerykanina od śmieszności poczucie humoru. I ma rację. Poeta angielski Coleridge pisał, że obywatel Stanów Zjednoczonych wymawiając swoje nazwisko uchyla kapelusza. Tak dalece wierzy w siebie. I też ma rację. Temperament i charakter człowieka odpowiadają temperaturze i klimatowi kraju. Tak bardzo człowiek jest owocem ziemi. Słowa typowo amerykańskie: „boom“ i „krach“, dwie antytezy, lot i upadek, charakteryzują dostatecznie Amerykanina oraz jego fatalistą linię życia. Przy tym „looking forward“, cobyśmy przetłumaczyli w formie imperatywu wewnętrznego: patrz ciągle naprzód! Idź! Do eksperymentu. Choćby nawet w objęcia rewolucji. Bardzo specjalnej zresztą i dolarowej. W walce o byt.

W OKRESIE „PROSPERITY“ na skutek masowej produkcji koszty jej spadły, ale spożywca płacił wciąż ceny bardzo mało obniżone. Zyski przemysłowców były kolosalne. Zapomniano tylko zupełnie o spożywcach.

Nie zniżając dostatecznie cen, nie podwyższono prawie wcale zarobków. Zapomniano zupełnie o robotniku.

— „Rola rządu — oświadczył Roosevelt, — polega na „przypomnieniu“, iż jest spożywca i robotnik. Uwzględniając ich, musimy wypracować nowy system gospodarczy, któryby obowiązywał w tym kraju wszystkich. I to nie jest bynajmniej kwestia takiej czy innej polityki, to jest jedyny ratunek naszej struktury ekonomicznej“. A więc nie na tyle reformator społeczny, ażeby obalać strukturę... Strukturę tę ramowo zachować, lecz w ramach jej stworzyć nowy ład, nowy porządek rzeczy. Interes zbiorowy całości postawić ponad prywatą i interesem grup. Jak? Przez podniesienie możliwości kupna.

Cóż może być prostszego? Jakko Kolumba, a jednocześnie w tej prostocie — prawdziwa rewolucja, odwrócenie dotychczasowych punktów ciężkości.

Zając się bardziej spożywcą niż producentem, ponieważ znaleźliśmy się w osobiwej fazie cyklu ekonomicznego, kiedy produkcja znacznie przewyższa spożycie.

— „Dla właściciela przedsiębiorstwa, twierdził Roosevelt, lepiej opłaca się zatrzymać więcej ludzi niż mniej, bo to zwiększa spożycie. Oto myśl prosta i jasna. Oto zdrowy sens. W nim dźwignia odrodzenia gospodarczego Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej“.

Na pytanie więc, co to jest rooseveltyzm, można odpowiedzieć, że to bunt przeciw katastrofie. Amerykanin odpowiedziałby, że to akcja, działanie przeciw zastoju i marazmowi, marsz naprzód w niepewne. Wielka przygoda, godna do prawdy młodości i odwagi. Jest niewątpliwie w tym eksperymentem coś ze sportu, ryzyka i awanturnictwa. Ale gdyby się nawet nie udało, to dla takiej przygody warto żyć... Ujęcie iście amerykańskie. Reklamiarstwo zdolne zagrzać masy do marszu w tym kierunku. O ile eksperyment włoski lub niemiecki to raczej mobilizacja wojskowa, wzmaganie potencjału bojowego w narodzie, o tyle eksperyment Roosevelta może być porównany do „Karawany na Zachód“, na Far-West.

Przymus gdzieindziej zastąpiono tutaj zorganizowaną opinią i zorganizowanym entuzjazmem. Niechby nawet neowowymi reklamami na Broadwayu i 7-Avenue. Co to komu szkodzi. Jeśli zorganizowany „owczy pęd“ niezbędny jest do lansowania pożyczek, do robienia popytu na tego, czy innego rodzaju akcje przedsiębiorstw, to dlaczego zastosowanie rewolucji gospodarczej nie może skorzystać z podobnych chwytów demokratycznej dyktatury. Oto termin właściwszy. Tylko ta demokratyczna dyktatura gospodarcza

Roosevelta zadała tradycyjnym swobodom amerykańskim ciosy dotkliwsze, niż czysta polityka w Italii i w Niemczech.

NIRA. Takim skrótem ochrzczono nową konstytucję gospodarczą prezydenta Roosevelta (National Industrial Recovery Act) — ustawa o państwowym odrodzeniu przemysłowym z dn. 1 czerwca 1933 r. Pracobiorcy nazwali ją z przekąsem ustawodawstwem wyjątkowym, stanem wojennym, stanem obłężenia. Za jej charakter interwencjonistyczny. Za próbę wprowadzenia dyscypliny w dżunglę prywaty.

Stanąwszy z projektem NIRY przed Kongresem, Roosevelt bronił jej w te mniej więcej słowa: To jest tylko plan współdziałania solidarnego różnych grup i interesów; chodzi o zwiększenie zatrudnienia, o skrócenia dnia pracy, o podwyżkę płac za krótszy tydzień roboty; chcemy położyć kres konkurencji niełojalnej; nie może mieć miejsca bezsensowna nadprodukcja i t. d.

Ogrom zadań wymagał odpowiednio wielkiej maszyny wykonawczej. Ochrzczono ją znowu skrótem: NRA (National Recovery Administration). W oczach świata oraz w opinii amerykańskiej NRA to wcielenie idei Roosevelta, którą jest współdziałanie aparatu państwowego z życiem gospodarczym kraju. Podstawą tego współdziałania ma być „Kodeks lojalnej konkurencji“, elaborat prawny, powstały przy współudziale pracowników i pracobiorców jako speców i znawców rzeczy. Można by ten kodeks uważać za embrion systemu korporacyjnego o zdecydowanym nastawieniu etatystycznym. Embrion dlatego, ponieważ Stany Zjednoczone nie posiadają takich organizacyj zawodowych jak Europa. W takim stopniu przynajmniej. Opatrzony podpisem Prezydenta, kodeks obowiązuje jako ustawa. Kto się uchyla od jej wykonania, będzie ukarany. Przedsiębiorstwo nie stosujące się do przepisów kodeksu, to zn. utrzymujące nadal np. niskie

płace robotnicze, może mieć bezapelacyjnie cofniętą licencję. Broń, jak widzimy, groźna w ręku Roosevelta. Podporządkowanie dotychczasowej suwerenności prywatnej — państwu. Ono bowiem broni spożywcy, robotnika i w ogóle „małego” człowieka.

W tym celu powołuje się do życia Komitety Doradcze złożone wyłącznie ze spoźywców. Co ciekawsze zaś projektuje się utworzenie nieistniejącego jeszcze dotąd nigdzie na świecie Ministerstwa Spożycia, które byłoby uzupełnieniem koniecznym istniejących Ministerstw Przemysłu, Handlu i Pracy.

Nie do nas należy przepowiadać, czy się ostoi ten, jak na amerykańskie stosunki, rewolucyjny plan przebudowy ustroju gospodarczego Ameryki. I czy się uda. Bo jeżeli nawet nie, to w każdym razie rooseveltyzm jako koncepcja zdążył już wywrzeć dostateczny i realny wpływ na życie. I ślady pozostawi. W reglamentacji produkcji, w interwencjonizmie państwowym, w obszernym programie ubezpieczeń społecznych, które w Stanach Zjednoczonych są czymś niebywałym (Rada Ubezpieczeń Społecznych powołana na mocy ustawy z dn. 14 sierpnia 1935 r.). Poza tym w próbie przedstawienia moralności z kierunku zysku na walor społeczny.

Albowiem tym głębsze są korzenie ruchu, im bardziej wrosną w duszę człowieka.

F R O N T L U D O W Y

Najgorsze jest to, że się zgadzacie za byle co pracować. Robotnik rolny we Francji żąda minimum zapłaty 400 fr (około 100 zł.) miesięcznie i za mniej nie pójdzie...

— Mój Boże, a jabym przyjął z pocałowaniem ręki każdą robotę za złotówkę dziennie...

Rozmowa jest autentyczna i, jak to się mówi, „miała miejsce“ na zgromadzeniu ludowym w gminie wiejskiej. Rozmowa charakterystyczna, bo maluje dosadnie różnice nie pojęć, lecz warunków, w których człowiek żyje. Nie może ani tak samo, ani o to samo walczyć robotnik w Polsce, co robotnik we Francji, gdyż dzieli i różni jednego od drugiego cały świat odmiennych elementów egzystencji zbiorowej. Przede wszystkim zaś kultura materialna i bogactwo kraju.

Dlatego określenie czy hasło „frontu ludowego“ musi mieć wszędzie inną treść. W Polsce to próba zamachu politycznego przez zorganizowanie niezadowolonych. W Hiszpanii to rebelia mas. We Francji to wzmożenie, urealnienie i uaktywnienie syndykalizmu.

NARÓD CIUŁACZY. Pamiętam świetną karykaturę Forain'a. Dwóch łazików francuskich, odpowiednio obdartych, układa się do noclegu pod mostem i tak mówią do siebie: „My jesteśmy tak bogaci...“ To karykatura, a pomimo to nie przesada.

Francuzi oszczędzają od 1000 lat. Ani wojny wewnętrzne, ani wielka rewolucja nie ograbiły obywatela bez reszty.

Zawsze coś tam pozostawało w półczosze wełnianej, która uchodzi za przysłowiową skarbonkę na czarną godzinę. Wiek 19-sty z właściwym mu rozwojem przemysłu i handlu spotęgował jeszcze i pomnożył bogactwo Francji. Wiek XX Francuzi rozpoczęli z opinią najzamożniejszego narodu rentierów, to znaczy ludzi żyjących z procentów od kapitału odłożonego. Naród ciułaczy. Naród skromnych milionerów. Zamożność bowiem Francuza zaczyna się dopiero od pięciu milionów gotówki. Nie wypada zaliczać się do burżuazji wcześniej, niż na stopniu tego kwantum. Zresztą stać na to nawet bardzo przeciętnego kupca i rzemieślnika. Mydlarza i filistra, jak się z pogardą mawiało u nas w epoce „Młodej Polski“, peleryn męskich i snów o szpadzie...

Ale pardon. Bogactwo nie spadło na Francję w postaci manny z nieba. Kraj nie posiada żadnych mineralnych złóż o specjalnej wartości, ani też w ilości imponującej. Nafty wcale. Złota i platyny też nie. Węgla sporo, za mało jednak dla konsumpcji wewnętrznej. Znacznie więcej soli potasowych. Dostyc żelaza. Rolnictwo nie dysponuje naturalnymi warunkami rozwoju, przeciwnie, wymaga mozołu i ofiary. Oliwa i wino — oto dwa tytuły do urody życia. Taką samą jednak glebę podoliwną i podwinną mają również inne kraje, czemu tedy nie osiągnęły podobnie doskonałych rezultatów? Tajemnica powodzenia Francji, magia jej bogactw zawarta jest w dziejach winiarza, niby w symbolu. Nie żeby wino tylko i jedynie... Lecz że twórca wina musiał wykazać się cierpliwością, pracą, zręcznością i kulturą. Szampańczyk, Bordosczyk czy Burgundczyk znają się lepiej i lepiej umieją zrobić. Mają podniebienie. Nikt im w smaku nie dorówna i dlatego ich wino jest najlepsze, bezkonkurencyjne. Próżno usiłowałibyśmy je podrobić. Najpierw trzeba byłoby chyba przerobić — człowieka.

Jedwabnictwo także nie znajduje najlepszych podstaw we

Francji. Morwa prędzej dojrzewa i pełniej kwitnie w Syrii, a pomimo to właśnie francuski Lyon robi się w jedwabiu stolicą świata. Znowu dlatego, że człowiek ten, a nie inny odgrywa rolę, staje się czynnikiem twórczym, wysuwa się na pierwszy plan w produkcji całym swoim walorem.

Dalej w perfumach i w sztuce, we wszystkim, co stanowi zbytek, luksus, a co jest przecież jaknajbardziej dziełem człowieka, jego wartości i smaku, w tym Francja przoduje. Człowiek, kultura i geniusz są autorami bogactw Francji. Zamożność francuska nie wyrasta z ziemi bezpośrednio, nie idzie sama do rąk. Wymaga twardej pracy i wysokogatunkowej marki gustu.

Taki towar to jakość. Nie ilość, tylko właśnie jakość. To jest zasada życiowa Francji. Obecnie zasada ta ulega zalewowi barbarzyństwa ekonomicznego, innego poprostu systemu, niezgodnego z duchem narodu. Liczba przeciwstawia się umiejętności. Na tle zaś głębokiego antagonizmu pomiędzy jakością, a ilością rodzi się wstrząs społeczny. Baz ideologicznych i wyjściowych „Frontu Ludowego“ we Francji szukać należy u źródeł tego wstrząsu, który zapowiada przemiany daleko idące.

ZWIĄZKI ZAWODOWE. Proces w tym kierunku rozpoczął się faktycznie oddawna, wzmógł się jednak na sile — tak, aż przeważał. Najpierw po wojnie w przemyśle powojennym. Wielkie fabryki potrzebowały robotników i dobrze płać, po co więc miał człowiek ciężko i za byle co, dla jakiejś zacofanej tradycji i satysfakcji pracować u siebie na prowincji, kiedy mógł udać się do miasta. Prowincja wyludniła się na rzecz ośrodków przemysłowych. Ilość czarnoroboczych rosła. Lepsze warunki bytu premjowały niewykwalifikowanych. Malą za to ilość wyspecjalizowanych. W okre-

sie kryzysu i bezrobocia to był kij w rękę, który uderzył drugim końcem — robotnika w głowę.

Człowiek uderzony szuka ratunku w — nadziei. Wzmaga się popyt na teorie i doktryny. Francuz nie miał z tego powodu kłopotu. Posiadał pod ręką syndykalizm od form utopijnych aż do planowych organizacyj zawodowych, od idei rewolucyjnej, wybuchowej, jak dynamit, aż do reformizmu. Myśl francuska jest pod tym względem płodna i bogata.

Najliczniejsze związki zawodowe we Francji, o zabarwieniu mianowicie socjalistycznym, rozbiły się kilkanaście lat temu z powodu różnic politycznych, istniejących pomiędzy II a III Międzynarodówką. Odpowiednikiem III-ej moskiewskiej była Konfederacja Zjednoczona, C.G.T.U. (Confederation Generale du Travail Unitaire). Odpowiednikiem II-ej amsterdamskiej była C. G. T. (Confederation Generale du Travail) z sekretarzem generalnym Leonem Jouhaux na czele. Na froncie wewnętrznym C. G. T. U. stanowiła bramę wypadową na teren robotniczy dla komuny, a C. G. T. dla socjalistów (S. F. I. O. — Socialiste français international ouvrier). W roku 1936 obie centrale związków połączyły się z powrotem. W imię jedności proletariatu francuskiego. Do walki z faszyzmem. Tak się przynajmniej krzyczy. Idea połączenia związków w przekładzie na politykę dała „Front Ludowy“. I wygrała wybory.

Konfederacja Generalna Pracy, czyli po francusku C. G. T., posiada strukturę trzystopniową. Najpierw na samym dole, na ziemi, związek zawodowy pracowników (syndykat). Wyżej na pierwszym piętrze po jednej stronie organizacja regionalna: związek związków zawodowych każdego powiatu (departamentu). Po drugiej stronie organizacje branżowe: federacje krajowe danego zawodu z całej Francji. Jeszcze wyżej na drugim piętrze — komitet krajowy konfederacyjny, złożony z sekretarzy związków regionalnych i związków bran-

zowych. Komitet Konfederacyjny wyłania Wydział Wykonawczy. Na czele wydziału stoi sekretarz generalny (w tej chwili towarzysz Leon Jouhaux), który ma do pomocy czterech sekretarzy (w tej chwili towarzysze Belin, Bothereau, Frachon i Racamond), dwóch z byłej C. G. T. i dwóch z C. G. T. U.

Pobieranie składek odbywa się autonomicznie w każdym syndykacie wzamian za wydawane legitymacje związkowe. Pewien procent ze składek syndykaty przelewają do komórek wyższych pierwszego piętra, związków powiatowych i branżowych, te zaś ze swej strony część funduszków przekazują centrali.

Podział pierwszego piętra na część regionalną i branżową dubluje reprezentację interesów związkowych, a jednocześnie umożliwia czuwanie nad całością zawodu.

Co dwa lata odbywają się kongresy ogólnokrajowe w celu ustalenia linii postępowania w obliczu najważniejszych zagadnień i zadań świata pracy. Podstawą kongresu są syndykaty, one bowiem proporcjonalnie do ilości członków delegują przedstawicieli na zjazd. W ten sposób zagwarantowana jest ludowość i demokratyczność organizacji oraz jej linii działania.

Stan liczebny Generalnej Konfederacji Pracy skoczył gwałtownie w ciągu pierwszych miesięcy rządów „Frontu Ludowego“ z 1 miliona na 3.600.000. Dzisiaj jest to już potężna zorganizowana armia. W niej znajduje oparcie rząd. Dla niej domaga się praw socjalnych. Z nią i dla niej działa.

RADYKALIZM SPOŁECZNY NACJONALISTÓW

W Belgii ruch rexistowski odbiera socjalistom monopol na obronę robotnika. W Italii uczynił to znacznie wcześniej faszyzm, który wyrósł z ludowego podłoża świata pracy. We Francji ciągle jeszcze sztandar radykalizmu społecznego

dzierżą socjaliści. I w tym ich siła atrakcyjna dla mas. Stąd ich wpływ przemożny na związki zawodowe.

Kto jednak z niesocjalistów ośmieliłby się powiedzieć, że robotnik nie ma prawa do 15 dni urlopu w roku, aby odechnąć świeżym powietrzem i zaczerpnąć sił?... Kto z niesocjalistów zaprzeczy, że 40 godzinny tydzień pracy to dosyć wyczerpujące dla człowieka?... Każdy uczciwy to powie. Każdy z poczuciem sprawiedliwości. I z tego bynajmniej nie wynika, że uczciwy i sprawiedliwy powinien być obowiązkowo socjalistą. Rozsądek zmusza nas w tej dobie do radykalnych zmian struktury socjalnej, ale to nie znaczy, że musimy być marksistami. Albowiem poza radykalizmem jest *mare politicarum*. Po nim kto chce żegluję do narodu, albo w kierunku przeciwnym, ku utopii ludzkości bezklasowej. I tu, na tym morzu polityki, czai się niebezpieczeństwo „Frontu Ludowego“, zwłaszcza jego paranteli z komuną.

Uczniowie Maurrasa, a ostatnio i zwolennicy Doriota, renegata komunizmu, formują radykalizm społeczny o charakterze nacjonalistycznym. Młody ten ruch krzepnie coraz bardziej na siłach. Już porywa się do walki z międzynarodówką. Już posiada program i organizacje. Niebawem więc będzie mógł zmierzyć się z „Frontem Ludowym“ w jego obecnej kosmopolitycznej postaci. „Front Narodowy“ przeciwko międzynarodówce „Frontu Ludowego“.

Nowe wojny nie będą tylko wojnami o granice. Chodzić będzie o podstawy myślenia, o najistotniejszą treść oraz o formę narodową kultury człowieka.

Ś M I E R Ć B U R Ż U A Z J I

Było proste i zrozumiałe: warstwa rządząca degenerowała się, wiotczała fizycznie, gniła moralnie, intelektualnie subtelniała i też miękła. Ster rządów wypadał ze słabych rąk. Odbywało się najście barbarzyńców, wybuchała siła z dołu, praca brutalnie, bez skrupułów, bez wahania, bez pięknoduchostwa. Razowy chleb zwyciężał ciastko. Wejście barbarzyńców z wewnątrz kraju na szczyt wiązało się z mniej lub więcej gwałtowną zmianą systemu rządzenia. Najście barbarzyńców z zewnątrz — było najazdem i w rezultacie zaborem. Tak skończyły się Republiki Greckie. Podobnie zginął Rzym.

Zjawisko to, proste i zrozumiałe, powoduje w dziejach nieprzerwany ferment i ustawiczną zmianę miejsc warstw społecznych. Ono to stało się dla wybitnego profesora i socjologa szwajcarskiego Vilfreda Pareto podstawą jego teorii elit. Elita powstaje wszędzie samorzutnie, formuje się samoczynnie, krzepnie w walce. Mocniejsza zwycięża słabszą, ażeby z kolei, w swoim czasie ulec fali następnej. I tak *da capo al fine*. Faluje morze rodzaju ludzkiego...

W potężnym dramacie Zygmunta Krasińskiego „Nieboska Komedia“ wódz ludu Pankracy jest, zewnętrznie biorąc, uosobieniem siły brutalnej. Tak sobie potocznie i naiwnie wyobrażamy Lenina. Niektórzy, — nawet cokolwiek ordynarnie, po chamsku. Za to hr. Henryk to intelekt i dystynkcja. Pańskość osamotniona, której przeciwstawia się chamstwo mas, rewolucji i ludowładztwa.

I to się nazywa walką o Okopy św. Trójcy.

Rzeczywistość dzisiejsza jak gdyby przeczy takim uproszczeniom i gmatwa procesy uznane za zrozumiałe. Siła brutalna jest i tu i tam, po obu stronach barykady. Intelpekt i dystynkcja też. Okazuje się, że nie tylko Pankracy, ale i nr. Henryk to tęgi bokser i atleta. Chce i potrafi bić ordynarnie w pysk. Zaś gminowładztwo (Demokracja), zarówno jak i arystowładztwo (Arystokracja), mają zupełnie te same zalety i wady. Elita A warta elity D. Jedna drugiej nie pozwala się zepchnąć z miejsca.

Żywym tego przykładem jest Yvon Delbos, minister spraw zagranicznych Francji w rządzie Leona Bluma, jeden z czołowych ludzi Frontu Ludowego. Karierę zrobił ciekawą i godziwą. Z wykształcenia literat, z zawodu dziennikarz. W wojnie światowej wyróżnia się na froncie odwagą i aktywnością, służąc najpierw w piechocie, później w lotnictwie. Dwa razy ranny. W r. 1919 kandyduje na posła do Izby Deputowanych, lecz nie przechodzi. Dopiero w roku 1924, kiedy zwycięża kartel lewicy z Edwardem Herriot na czele. Interesują go zasadniczo dwie dziedziny: oświata oraz polityka zagraniczna. W r. 1925 obejmuje podsekretariat stanu w Ministerstwie Oświecenia Publicznego. Zaraz tegoż roku zostaje ministrem. W r. 1936 wybrany wicemarszałkiem Izby Deputowanych. W rządzie Alberta Sarraut powierzają mu tekę ministra sprawiedliwości. Tutaj, dając upust swym zainteresowaniom, reformuje więziennictwo dla nieletnich w kierunku wychowawczym i dokształcania zawodowego, następnie powołuje do życia instytucję studiów badawczych do walki prewencyjnej z kryminalistyką. Poza tym Yvon Delbos to sportowiec pierwszej klasy, świetny rugbysta, a jak wiadomo gra w rugby (piłka owalna) wymaga wyższej zaprawy sportowej biegacza i boksera.

Ale pierwszorzędnym atletom i intelektualistom w jednej osobie, typu Yvon Delbos, z Frontu Ludowego, przeciwsta-

wia Front Narodowy swoich niegorszych intelektualistów-atletów. Ducha na ducha, pięść na pięść. Rewolucja we Francji odbyłaby się oddawna, gdyby nie to, że przeciwko akcji mas „lewicowych“ gotowe są stanąć zawsze zaporą czynną i mocną tysiączne zastępy atletów „prawicowych“. Oczywiście, termin „lewicowych“ i „prawicowych“ odnosi się nie tyle do kierunków aktualnych, ile do źródeł i tradycji tych ruchów, które w istocie swej są jednakowo masowe i ludowe. I jednakowo radykalne. Różnią się tylko ideologią, podłożem moralnym, bazą myślenia, wewnętrzną treścią i postawą człowieka wobec świata. Można by rzec, używając określenia świeżo ukutego, że różnią się *psychosferą*.

EMMANUEL BERL. Od dłuższego już czasu, zanim stanął do boju „Front Ludowy“, odpowiednio przygotowywał psychosferę w narodzie francuskim tygodnik lewicowy pod nagłówkiem „Marianne“. Wielce utalentowany redaktor tygodnika, Emmanuel Berl, jest żydem z pochodzenia i wyznania. Mówimy o żydowskim pochodzeniu Emmanuela Berla nie dla taniego efektu. Raczej zwracamy uwagę na charakterystyczny fakt: jak Rosja carska posługiwała się Kozakami do wstępnych działań reakcyjnych, tak III Międzynarodówka używa Żydów do nalotu na psychosferę narodów. Doskonale przygotowują grunt, podważając zasady ustalonych treści i form życia.

Otóż przed kilku laty Emmanuel Berl wydał parotomowy, lecz niezwykle zajmujący, bo z pasją pisany pamflet na stosunki społeczne p. t. „Śmierć myśli burżuazyjnej“ *). Wszystko dzisiaj, kultura, polityka, sztuka i literatura to — zdaniem autora — właściwie łabędzi śpiew konającej burżuazji. Kończy się bowiem stary system konwencjonalnego myśle-

*) Emmanuel Berl „Mort de la pensée bourgeoise“, Paris, Grasset, 1929.

nia i działania. Idzie rewolucja. I ona zada śmierć burżuazji. Ona — to znaczy jej myśl, jej zasada ideowa.

Burżuj, to *homo* z gatunku kapitalistyczno - konserwatywnego. Myślowy zastój, aprobatą tego, co jest, *noli me tangere*, konformizm. Posiadam i nie pozwalam. A tu tymczasem ktoś błyska myślą, tworzy ideę, przekuwa ją na czyn. Woła: „zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje...”

Pierwszym zadaniem rewolucji jest fakt dokonany i opamiętanie władzy w państwie. Pod tym względem rewolucjonista Lenin o ileż przewyższa rewolucjonistę Kautsky'ego. Rewolucja, to kwestia utrzymania armii... Jakżeż tragiczna sytuacja zawodowego inteligenta pomiędzy dwiema armiami na siebie armiami... Nacjonalizm, a więc wojna zewnętrzna narodów. Komunizm, a więc wojna wewnętrzna, ogień i głód. Nadszedł kres kontemplacji i wygodnego życia. Był ongi pejzaż arkadyjski, teraz wyrosły kominy fabryk i piece hut. Zmiana ta musi wywołać zmiany dalsze i głębsze. W człowieku i w życiu. Przede wszystkim zaś musi nastąpić zerwanie z konformizmem.

Homo sapiens zaczyna się od dwóch racyj bytu. Pierwsza — myśleć. Druga — zamieniać myśl w działanie. Człowiek wieczny, czyli „klerk”, jakby powiedział Juliusz Benda, nic nie uroni ze swej wieczności, gdy zajmie się działaniem, gdy zniży się nawet, gdy zejdzie na forum polityki. Jeżeli polityka jest realizowaniem idei, to w tym sensie Sokrates był politykiem, i Platon, i Spinoza. Chodzi jedynie o to, by w działaniu nie zatracić swej myśli i idei, nie odejść od nich, nie zdradzić.

Wzorem wierności w tym względzie może służyć Charles Peguy, myśliciel, działacz, żołnierz, nacjonalista. Był katolikiem, ale nigdy i nigdzie nie zdyskontował tego w kierunku korzyści i wygody. Był antypacyfistą i za to zapłacił życiem własnym, ginąc na froncie. Wiara jego nie rodziła się ze stra-

chu metafizycznego. Nacjonalizm nie był dlań ucieczką przed socjalizmem, ani militarystyka schronem przed rewolucją. Armia nie środkiem, żeby nie myśleć, klasztor nie środkiem, żeby nie działać. Charles Peguy był rycerzem swojej idei.

Idee zdradzają wiekiistość wtedy, kiedy utrzymywane są z lenistwa, lub z obawy. Taka zdrada jest burżuizmem. Burżuj może mieć i może tworzyć idee, ale pozostawia je w strefie marzeń i pieśni. Idea zrealizowana, to wróg burżuazji. Myśl, powiada Berl, jest rewolucyjna, albo jej nie ma wcale.

Oderwać się od tego, co jest, to szukać nowej koncepcji świata. Zręcznie bardzo Emmanuel Berl odrywa myśl od konwencjonalizmu starej formy i jednocześnie zapala do działania. Ale z czym ma to być związane w całość? Gdzie znaleźć winno cel?...

Einstein uznał wszechświat za skończony i wymierny. Freud zamknął człowieka w klatce namiętności. Marx wykoncypował społeczeństwo bez ostatecznej zasady moralnej, bez finalnego celu.

Negacja życia społecznego przez uduchowienie, negacja uduchowienia przez czyn, negacja tradycji przez romantyzm, negacja romantyzmu przez realizm, negacja realizmu przez idealizm itd. itd. Negacja wszystkiego. Negacja jako metoda. Teoria gwałtownych mutacyj. Dobrze, ale co po tym?

Dajecie krytykę, podczas gdy człowiek woła o nadzieję. Robotnik nie widzi sensu swojej nędzy. Burżuj nie widzi sensu swoich bogactw. Jednostka nie wierzy w to, co się nazywa sumieniem, ani nie wierzy w swój ciąg dalszy, w nieśmiertelność. Człowiek nie ma sił na przyjęcie Boga.

To gorzej, niż śmierć burżuazji. To jest próba oderwania człowieka od jego boskiej, wiekiistej zasady.

POZDROWIENIE PIĘŚCIĄ

Idea chrześcijańska Ś-go Pawła polegała nie na samych wzniosłościach i nie na oderwaniu człowieka od ziemi. Przeciwnie: zbliżała Królestwo Boże realnie, propagując wśród niewolników i panów Romy równość ludzi. Że człowiekiem pierwotnej gminy Kościoła katolickiego mógł być i wolny i niewolny, to było największą rewolucją na ów czas. W rewolucyjności tej tkwiła siła propagandowa nowej religii. Jej bojowość i ludowość obliczona na masy. Jej prawdziwa katolickość w znaczeniu powszechności.

Podobnie każdy ruch społeczno - polityczny dawnych i obecnych czasów, o ile zamierzony jest na masy, musi nieść na falach swej propagandy zapowiedź czegoś rewolucyjnego. I to obowiązkowo nie z tamtego, lecz z tego świata. Zmianę zasadniczą. Przebudowę realną.

„Front Ludowy“ we Francji wniósł fermenty rewolucyjne na obu drogach swej akcji. Na drodze syndykalizmu, że tylko i jedynie zorganizowany świat pracy przebuduje odpowiednio życie gospodarcze w myśl sprawiedliwości społecznej. Na drodze filozoficznej, w psychosferze, że myśl człowieka winna oderwać się od tradycyjnych swych związków ideowych z całością, a szukać oparcia w samej sobie, indywidualnie. Droga pierwsza idzie przez dół socjalne. Druga —górną sferą, elitą intelektualną, snobizmem.

Przeciętny Francuz cierpi chronicznie na snobizm lewicowy, obawia się ciągle, że nie jest jeszcze dosyć czerwony. Taką już ma tradycję jakobińską z czasów Wielkiej Rewo-

lucji. Był wtedy i chce być stale obrońcą swobód republikańskich, spadkobiercą roku 1789, żołnierzem roku II-go rewolucji. I dlatego chętnie idzie pod sztandar czerwony III-ej Międzynarodówki i naiwnie zadaje się z hyclami dyktatury bolszewickiej. Stąd jednak oblicze „Frontu Ludowego“ nabiera osobliwego politycznego znaczenia. Widać reżyserię. Obie drogi działania, razem z odnośnymi mitami rewolucji, schodzą na plan drugi, do roli tła. Stają się jedynie i wyłącznie akcesoriami, najskuteczniejszymi sposobami chwytania publiczności, aby stąd powstawały ruchy masowe z zaciśniętą pięścią.

Pytanie: dla kogo? *Cui bono?* Gdzież jest ten zakonspirowany reżyser polityczny?

TAJNE FUNDUSZE. Pogardza tłumem, kto go okłamuje. Żaden system rządzenia nie okazał się bardziej mistrzowskim w okłamywaniu mas, niż sowiecki. Tę samą metodę stosuje rząd „Frontu Ludowego“ we Francji. Zapewniając o wolności przekonań, kładzie dłoń bez rękawiczki na prasie i radiu. Broniąc przed faszyzmem nienaruszalności ustroju republikańskiego, a więc trójdzielnosci władz: ustawodawczej, wykonawczej i sądowej, przygotowuje zmiany w sądownictwie po myśli rządu. Specjalnym zaś rozgłosem cieszy się zdezawuowana sprawa t. zw. tajnych funduszków.

Zdezawuował ją André Tardieu, b. premier, parokrotnie minister różnych resortów, człowiek najbardziej w te rzeczy wtajemniczony. Wykazał on czarno na białym z cyframi i datami w rękę, że z tajnych funduszków rządowych korzystali najskwapliwiej organizatorzy „Frontu Ludowego“ i że zapowiedziane teraz przez rząd Leona Bluma skasowanie tej rubryki budżetu jest zwykłym „bluffem“, obliczonym na uwiedzenie mas.

Są dwa tajne fundusze. Pierwszy w sumie 50 milionów fr.

na wywiad Sztabu Głównego armii, oraz na służbę informacyjną M. S. Zagr. Wydatkowanie jest tu ściśle administracyjnie kontrolowane. Drugi — na sumę około 30 milionów fr. do dyspozycji premiera, ministra spraw zagr., ministra spraw wewnętrznych, ministra kolonii i min. wojny. Wydatkowanie nie jest tu nigdy kontrolowane, zależy bowiem od ściśle tajnej i tylko osobistej decyzji każdego z wyżej wymienionych ministrów. Owóż ten drugi fundusz uległ obecnie zmniejszeniu o 2 miliony z czymś, a najdotkliwiej dotknięty został, bo usunięty całkowicie, w resorcie spraw wojskowych, gdzie z punktu widzenia obronności kraju był najbardziej umotywowany. W pozostałych resortach tajne fundusze zostały utrzymane do dyspozycji osobistej i przed nikim nie odpowiedzialnej ministrów „Frontu Ludowego“.

AGIT - FILMY. Kiedy chodzi o wpływ na psychosferę ludową, władze nie bawią się w ceregiele, czynią to w sposób prymitywny i nawet brutalny. Przede wszystkim za pośrednictwem filmu, który ma do dyspozycji sale projekcyjne wszędzie we Francji w najlichszym osiedlu. Poza tym organizowane może być wyświetlanie „prywatne“ dla miłośników. W latach ostatnich Francja przeżywa istny zalew agit-filmów, robionych *ad hoc*, na potrzebę chwili bieżącej. Dla smakoszów podajemy parę streszczeń.

I. Opasły fabrykant wyrzuca na bruk starego robotnika, który przepracował w zakładzie lat 25 bez przerwy. Powód błahy: ręce mu się trzęsą ze starości. Robotnik płacze i zaklina fabrykanta, błaga o litość nad rodziną, która pozostaje bez zaopatrzenia. Nic nie pomaga. Opasły fabrykant nie zna miłosierdzia. Ale starcem skrzywdzonym zaopiekowali się komuniści. Oni podburzają miasteczko. Następuje okupacja fabryki. Rada robotnicza wyrzuca właściciela i obejmuje

prowadzenie przedsiębiorstwa. Nastaje złota era. Starzec pobiera wysoką rentę do końca życia.

II. Drobnym dzierżawcą gospodarstwa rolnego zalega z tennutą. Bogata właścicielka, pani hrabina, wystawia fermę na licytację. Daremne są prośby ubogiego dzierżawcy. Hrabina również nie zna miłosierdzia. Dla kontrastu z nędzą chłopską jeździ autem, z szoferem i lokajem, nosi kosztowne futra i t. d. I tu, niby *deus ex machina*, zjawiają się komuniści. Wpływają na licytację tak, że biedny dzierżawca nabywa ziemię na własność. Nastaje złota era. Film kończy się apoteozą Republiki Radzieckiej.

III. Młody technik bezrobotny mieszka z przyjaciółką na poddaszu. Nędza i głód. Piękna dziewczyna płacze, bo młodzienczek opuszcza ją w poszukiwaniu pracy. Nazajutrz pracuje w garażu przy myciu aut. Ale opasły (koniecznie!) przedsiębiorca wyrzuca go na ulicę za źle wykonaną robotę. Młody technik blakając się, omdlewa z wycieńczenia. Przejeżdżające, zamożne auta burżujów, narodowców i, w przekładni na polskie stosunki, sanatorów, ochlapują biedaka błotem. I chociaż pada zemdlony, nikt z przejeżdżających nie schyli się doń z pomocą. Dopiero zrobią to komuniści. Oni go przyhołubią, zaprowadzą do świetlicy partyjnej, gdzie bezrobotny dostanie smaczny i obfity obiad. Odżywiony i oddechany rozgląda się po świetlicy i otoczeniu. Widzi na ścianach portrety Lenina, Stalina i Marxa, uwieńczone świeżymi różami. Młodzież wesół, dobrze odżywiona, śpiewa i tańczy. A to dlatego, tłumaczy jeden z obecnych, że należymy do partii komunistycznej. Młody technik zapisuje się do partii. Odtąd szczęście mu sprzyja. Ma robotę, ładnie mieszka i przyjaciółka, obsypywana prezentami, kocha go szczerze.

Dosyć tych trzech przykładów. Mówią one same za siebie. Produkcja tego rodzaju prymitywnych agit-filmów kosztuje

miliony. Finansuje to jawnie kapitał prywatny trzech wielkich firm filmowych. A tajnie... Nie trudno się domyślić. Reżyseria polityczna widoczna dla wszystkich.

Reżyseria polityczna „Frontu Ludowego” odbywa się według pewnych zasad, sprecyzowanych w ewangelii bolszewickiej: enuncjacjach Stalina i rezolucjach Kominternu.

„Prawdziwi komuniści nie rzucają się do ataku naoslep, ryzykując śmierć. Pamiętajcie, że nie wolno przerażać burżujów, albowiem my ich potrzebujemy do „Frontu Ludowego”, a „Front Ludowy” jest nam potrzebny po to, żeby przyspieszyć agonię burżuazji”. Tak pouczał Stalin w r. 1935.

„Tylko stosując mądrą i ostrożną taktykę Stalina, wielkiego wodza Międzynarodówki, będziemy w stanie zmieść z oblicza ziemi ustrój kapitalistyczny burżuazji”. Tak mówił Dimitrow, sekretarz generalny Kominternu na VII Kongresie Międzynarodówki moskiewskiej w Moskwie w 1935 r.

„Najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla naszej ojczyzny proletariackiej jest prawdopodobna agresja ze strony faszyzmu niemieckiego. Jeżeli nie uda nam się skierować tych sił w stronę innych krajów, to nie unikniemy niebezpieczeństwa”. Tymi słowami ostrzegał także Dimitrow VII Kongres Kominternu w Moskwie w 1935 r.

Wykonywując te „ewangeliczne” instrukcje, woła młody sekretarz Komunistycznej Partii Francuskiej, Thorez: „Trzeba wszystkimi siłami bronić Związku Radzieckiego”. Wtórzyć mu gębach III Międzynarodówki, Francuz Marty: „Naszym pierwszym obowiązkiem jest obrona terytorium Rosji Sowieckiej, ojczyzny proletariatu”...

W obliczu podobnych nastawień i tak wyreżyserowanych nastrojów strona polityczna „Frontu Ludowego” zarysowuje się zdecydowanie po moskiewsku. Moskwa w swoim politycznym interesie pozdrawia świat zwiniętą pięścią Francji.

MIEJSCEM WYPADOWYM akcji komunistycznej na Niemcy jest oddawna stolica Alzacji, odwieczne miasto Straszburg. Tutaj wyspał się główny agent bolszewicki, pseudoobywatel duński Eberlein, aresztowany przez władze francuskie parę lat temu. W 1935 r. przeniesiono na gwałt biura strasburskiej filii Kominternu do Bazylei w Szwajcarii. W roku 1936 odbyła się przeprowadzka w odwrotnym kierunku. To znaczy, że dla pozoru bezstronności utrzymana jest nadal Bazylea, punkt jednak kierowniczy umieszczono z powrotem w Straszburgu. Robota ogniskuje się przy wydawnictwie „Prometeusz” (15 rue des Franks-Bourgeois). Na czele stoi następca Eberleina, Eugeniusz Kreydt. Od maja 1936 r. od zwycięstwa Frontu Ludowego we Francji, komuniści niemieccy masowo przesiedlają się do Szwajcarii i do Alzacji. Tu formuje się „irredenta” bolszewicka na Niemcy, centr propagandy przeciwhitlerowskiej. Duszą roboty żywej, wodzem agitatorów i bojówkarzy, jest niejaki Bruno Frey, b. redaktor pisma „Gegen-Angriff”, wydany niedawno z Pragi czeskiej, po zdekonspirowaniu tajnej jego działalności przez Gestapo niemieckie. Jak dalece akcja ta zazębia się o wywiad wojskowy i ma cele wojenne na względzie, świadczy udział „wywiadowców” francuskich Nespoulos’a i Ramade’a. A wobec szpiegostwa kwestia psychosfery i problemy socjalne syndykalizmu wyglądają na kpiny wcale nie ideowe.

Od pewnego czasu maszyny drukarskie w Straszburgu i kółka całego aparatu filii Kominternu pracują w tempie przyspieszonym. Zbieg okoliczności, że dzieje się to akurat pod rządem Frontu Ludowego, gdzie Thorez odgrywa znaczną rolę oficjalną!... Przy tym rzuca się w oczy w tej robocie zaskakująca nieostrożność z premedytacją.

Bo 1-o: wydawany jest oficjalny biuletyn Kominternu dla Niemiec pod nagłówkiem: „Zeitschrift des Executiv — Komitets der Kommunistischen Internationale”. Na ostatniej

stronie tego biuletynu maleńkimi literami stoi „Printed at Bâle“. Za to na pierwszej stronie okładki jak wół czarnymi i dużymi czcionkami „Editions Promethée, 15 rue des Francs-Bourgeois, Strasbourg“.

Bo 2-o: drukuje się na bibułce komunistyczna „Die rothe Fahne“. Zaraz na pierwszej stronie wyraźna czerwona pieczęć z tekstem dosłownie: „Za 5 fr., które tutaj łaskawie wpłacisz, działacze nasi zakonspirowani w Niemczech dostaną 10 egz. pisma, za samo rozpowszechnianie którego grozi w Niemczech kara śmierci“. I znowu adres, gdzie drukowano.

Bo 3-o: wszystkie druki i przesyłki nielegalne, a jest ich moc, wysyłane do Niemiec, muszą mieć obowiązkowo wyraźnie wytłoczone miejsce „nadania“: envoyé de Strasbourg i t. d.

Dyskretniej i łatwiej byłoby zakonspirować te druki i wydawnictwa. Dyskretniej i łatwiej byłoby prowadzić całą robotę wydawniczą i organizacyjno - agitacyjną właściwie w Bazylei szwajcarskiej, a nie w Strasburgu francuskim. Ale widocznie komuś zależy, żeby było tak, a nie inaczej. Żeby w akcji pośredniczyła Francja. Żeby się z nią Francja afiszowała. Żeby nie Rosja, tylko Francja dzisiaj uchodziła za ognisko zarazy bolszewickiej. Kto zaś to ognisko zechce tłumić, żeby uderzał naprzód tam, a nie gdzieindziej.

W myśl zresztą zaleceń taktycznych Kominternu, sformułowanych słowami Dimitrowa na VII Kongresie w Moskwie w 1935 r.

„Front Ludowy“ we Francji to, politycznie biorąc, moskiewskie pozdrowienie pięścią pod adresem Hitlera.

APOSTOŁOWIE NIERZĄDU

Nasz szesnastowieczny ksiądz Stanisław Orzechowski posiadał złote pióro talentu pisarskiego, fantazję nieokiełznaną i głowę podatną na wichry i porywy swojej szlacheckiej natury. Nikt jak on nie potrafił wyczuć i wyrazić tego, co tęskni w człowieku mu współczesnym, co kipi i wre w duszach, co jest ideałem wieku. Przeczuwał nawet z góry, co ma przyjść. Potrzeba swobody indywidualnej. Żądanie złotej wolności w ustroju politycznym państwa. Anarchia negatywna, jakby określił Proudhon, nie uznająca żadnych ograniczeń, w odróżnieniu od anarchii pozytywnej, uznającej wolność człowieka w ramach zasad.

Cóż wy, pisał z pogardą Orzechowski do obywateli ruskich, jesteście jak konie, dźwigające na swym grzbiecie pana, podczas gdy my Polacy uznajemy za władcę kogo chcemy i dopóki chcemy, a więc bujamy niczym orły bez uwięzi...

Nie trudno już było od tych słów pójść dalej i głosić: „Tyłko na Rusi musi, bo w Polsce jak kto chce“... Albo: Polska nierządem stoi. Czyli brakiem jakiegokolwiek ładu ustawionego hierarchicznie. Brakiem systemu związanego w całość. Brakiem, powiedzmy otwarcie, sensu społecznego i politycznego.

Mieliśmy w ks. Orzechowskim żarliwego apostoła nierządu politycznego. Mamy takich samych apostołów dzisiaj. Ma ich również, tak podobna do nas w charakterze obywatela i w strukturze społecznej, Hiszpania, tragiczny eksperyment „Fron tu Ludowego“.

Przewrót polityczny dokonał się w Hiszpanii w r. 1931 wzorowo, bez oparów krwi, bez rzezi bratobójczej. W formie poprostu sielankowej manifestacji pięknoduchów republikańskich. Triumf intelektualistów. Zwycięstwo profesorów. Oni to bowiem urabiali mentalność górnych sfer, kształtowali psychosferę swego kraju. Nie tyle wodzowie, ile raczej — wodzireje. Przyznać jednakże trzeba, iż utalentowani i z temperamentem. Poza tym skoligaceni z masonerią.

Ktoś kiedyś pisał, że masoneria nie pasuje do rządów twardych i silnych ze względu na to, iż rząd twardy i silny nie uznaje ani dyskusji ani intrygi. Człowiek poza dyskusyjny i poza intrygancki nie da sobą manewrować od wewnątrz. Może być obalony w walce otwartej, ale nie podlega infiltracji i zatruciu moralnemu. Wódz nie może być masonem.

To też faza wstępna, przygotowująca rewolucję, nie potrzebuje wcale wodzów, tylko przede wszystkim — apostołów nierządu. Zdolnych siewców fermentu najpierw filozoficznego, poczym już kulturalnego i społecznego. Zwłaszcza z pozorami nowatorstwa. Odważnych obrońców wolności w obliczu wszelkich zasad. Gdyż wszelka zasada to jakoby nawrót do jakoby ciemnego i barbarzyńskiego średniowiecza.

Na czoło apostołów walczących z takim średniowieczem wysunęli się w Hiszpanii: znany i głośny w Polsce prof. Miguel Unamuno i nie znany i nie głośny u nas prof. José Ortega y Gasset.

W książce swej „El tema de nuestro tiempo“ (Zadanie naszego czasu) prof. José Ortega y Gasset nicuje kulturę europejską. Zaczyna od wiary w człowieka. Że błędem było mniemać, iż życie sobie zostawione skłania się do egoizmu... Nieprawda. Życie samo bez wysiłku zmierza ku altruizmowi. Zsuwa się nie do złego, lecz do dobrego. Człowiek w istocie swej człowiekowi owieczką, nie wilkiem. Znamy ten motyw skąd

inąd, z nauki Russa, i wiemy, że nauka ta przyspieszyła ferment rewolucyjny XVIII wieku.

Bo jeżeli człowiek sam w sobie piękny, to nie masz nic ponad człowieka. On i jego życie może być jedyną miarą świata. I celem. W konsekwencji zatym nonsensem byłoby wyrzekać się siebie lub życia dla jakichś pozagrobowych celów. Dawniej, uważa prof. Ortega y Gasset, żyło się dla religii, dla nauki, dla ekonomii, słowem — dla zasad, a tu okazuje się, że trzeba żyć — dla życia. Czyli inaczej — dla siebie.

Chryścianizm głosił zasadę, że najistotniejsza, wiekuista wartość życia leży właśnie poza życiem. Stąd nakaz opanowywania popędów życiowych, tłumienia niektórych objawów i odruchów żywotności. Na szczęście, twierdzi prof. Ortega y Gasset, zbawienie wieczne rozwinęło się w XVIII w. jak dym. Człowiek wyzwolił się, odzyskał wolność, swobodę życia. Nie potrzebuje poświęcać się więcej, ani służyć czemuś, by życie jego miało sens i nabrało wartości. Człowiek wyzwolony ma nawet obowiązek walczyć z tymi zakorzenionymi pojęciami. Nowożytność jest rodzajem wyprawy przeciwko chrześcijańskiej zasadzie życia.

Starożytni też spozrzegli piękno życia. Ale Grecy od piękna zewnętrznego doszli do piękna wewnętrznego. Do śmierci Sokratesa dla zasad. Do ezoterycznych obrzędów eleuzyjskich. Do tego, co tak cudnie w naszych czasach odsłonił Walter Pater w mitologii greckiej, badając kult Erosa, t. j. ducha, „duchową formę ognia i rosy“.

Mądry Anglik, Carlyle, pisał: „Bez bohaterstwa, bez wypowiedzianego albo milczącego uczucia, że życie ludzkie i dzieje ludzkie są symbolem nieskończonego, — bez tego Rzymu by nie było“.

A cóż dopiero średniowiecze, osobliwie XII, XIII i XIV wiek! Dante princeps poetów, Franciszek z Assyżu pryncyp rewolucji ascetycznej, Tomasz z Akwinu nieprześcigniony do-

tań nauczyciel ludzkości—oto kwiaty najwspanialsze w wirydarzu kultury średniowiecznej. Pod względem zaś gospodarczym nieporównanie twórcze kształtowanie się nowych form w dziedzinie inicjatywy człowieka i zbiorowiska, o czym z entuzjazmem mówi marksista belgijski prof. Henryk De Man.

Czy to ma być ciemnotą i barbarzyństwem? Nie wołamy o nawrót do starych form, ale trzeba zrozumieć, o co się toczy bój. Między zasadą jakiego porządku z jednej strony, a jakiego z przeciwnej? I jaka jest w tym rola apostołów nierządu?

Tomasz z Akwinu uczył: „Osoba oznacza to, co jest najbardziej doskonałe w naturze“. Ale człowiek musi zdobywać swoją osobowość tak, jak zdobywa wolność i płaci za to drogo. Staje się osobą w dziedzinie czynu dopiero wtedy, kiedy energia, rozum, cnota, miłość i duch Boży włożą mu w ręce jego własną duszę: *anima mea in manibus meis semper*. Duszę swoją wypowiadam zawsze w działaniu. A dalej u Tomasza z Akwinu czytamy: „Porządek jest jednością wypływającą z dobrze złożonej różności“. Prof. G. Renard z Nancy tak to wyklada: „Nie ma takiego dobra indywidualnego, któreby się nie zazębiało z dobrem ogólnym, jak również nie ma takiego dobra ogólnego, któreby się nie wznosiło hierarchicznie do najwyższego dobra wszechświata, jakim jest Bóg. Taki jest ład przyrodzony“. Człowiek wpleciony jest w ten porządek fizycznie i metafizycznie. Sam i w postaci zbiorowej jako naród. W ujęciu takim i człowiek i naród nie tracą nic ze swej ziemskości, a zarazem są czymś mistycznym. Mają cień idący w wieczność. Czy, jeśli kto woli, blask... Są powiązani pomiędzy sobą i z wiecznością obowiązkami i zasadami. Podporządkowani pewnym rygorom i przymusom. Stanowią swego rodzaju zdyscyplinowaną armię.

Przypominamy sobie jednak, iż już ktoś jedność moralną tej armii usiłował rozbić. Tym rozbijaczem był twórca Reformacji, zbuntowany mnich, Marcin Luter. Namiętny apostoł

wolności człowieka. Wróg zasad i przymusów. Inicjator wyprawy przeciw średniowieczu. Marcin przeciw Tomaszowi. On wyzwolił człowieka z mistycznego kręgu, z metafizycznych powiązań... Wyrwał jak gdyby z szeregów jednego wojska po to, ażeby — wcielić w szeregi drugiego i tam podobnie podporządkować rygorom i przymusom, wynikającym jednak z innej zasady, nie duchowej lecz świeckiej, ze sformułowanego znacznie później materialistycznego pojmowania dziejów.

Marcin Luter to wzór apostołów nierządu. Prototyp. Z niego brali przykład inni, będący drożdżami wszystkich fermentów świata. Uwalniali człowieka z ustalonego jarzma, poczym kto inny, w imię swojej zasady, kładł nowe jarzmo na niedawno wyzwolone karki. Na miejsce starej metafizyki przychodziła nowa, zamiast boskiego porządku Łomazsa, ludzkość Augusta Comte'a. Ale osoba, ale człowiek tak samo *musiał* jak zawsze. O wolności zaś, wszędzie indziej poza Polską, mógł tylko śnić i śpiewać. Złotym piórem i wielkim talentem Orzechowskich w Polsce, Lutrow w krajach germańskich, Ortega y Gassetów w Hiszpanii.

Oto rola tych apostołów. Uprawić teren, wyprostować ścieżki dla nowej organizacji przymusu, wywołać nierząd, aby ktoś inny powołał i sprawował rząd. Ktoś, kto w nich pośrednio tchnął misję działania.

„Rewolucja bolszewicka 1917 r. nauczyła nas konieczności stosowania metod twardego przymusu, bez jakiego dyktatura proletariatu jest nie do pomyślenia“. Tak pisze Lew Trocki w swojej „Prawdzie o Rosji Sowieckiej“. I dalej: „Metody terrorystyczne stosowane w pewnych warunkach historycznych przez bolszewików przeciwko burżuazji, mieśszewikom i socjal - rewolucjonistom dały świetne rezultaty“.

Zestawmy bezceremonialne wyznanie wiary b. wodza bolszewizmu z naiwną wiarą prof. José Ortegi y Gasset w

człowieka, a wtedy dopiero pojmiemy, jak nieduży jest dystans od akcji apostołów nierządu, od ich propagandy, nauk i książek, do krwi przelanej ludu hiszpańskiego, do pożarów i zgliszcz ojczyzny.

R Z E Ź B R A C I S Z K Ó W

Pozostawcie pełną swobodę żołdatowi — zrobi soldateskę; wariatowi — będzie szalał; złodziejowi — będzie kradł; zbójowi — będzie zabijał. Możliwości wyżycia się wyzwalają w człowieku moce utajone, blaski i nędze, które drzemią, anioła lub bestię, jeśli podskórnie to właśnie tkwi w naturze...

Głośna była niezbyt dawno książka Jérôme et Jean Tharaud'ów „Quand Israël est roi“ (Kiedy Izrael jest królem, wyd. Plon, Paris), będąca właściwie reportażem z Węgier, opanowanych w swoim czasie przez czerwoną dyktaturę Beli Kuna. Autorzy opisują frapująco, jak wyzwala się w człowieku rewolucji — bestia. Inna dokumentacja (Cecile Tor-nay „Scènes de la revolution en Hongrie“, Plon, Paris) przytacza między innymi jedną scenę z występów „czarnej hieny“. Pod tym mianem zasłynął z okrucieństwa Żyd Szamuelly, pomocnik Beli Kuna, herszt bandy zbirów, zwanych popularnie „chłopcami Lenina“.

„Kiedy wpadali do miasteczka, ulice momentalnie pustoszały. Auto z ustawionym karabinem maszynowym szło cicho jak śmierć. Zatrzymywało się na placu, gdzie ustawiano stół i sprowadzano aresztowanych. Sąd improwizowano pod gołym niebem. Nawet nie sąd, ani parodię sądu, bo nikt nie prowadził badania. Szamuelly zadawał parę pytań, np.: kto jest jak bogaty, co posiada, poczym jednym kazał stanąć po prawej, innym zaś po lewej stronie. A nie wiadomo było nigdy z góry, która strona pójdzie na stracenie. To zależało poprostu od kaprysu Szamuelly'ego, on bowiem sam reprezentował prawo wojenne, on sam był sądem. Skończył i wo-

łał, wskazując tych albo tamtych: „Na szubienicę!” W wypadku, o którym piszemy, skazanych odprowadzono na plac pod kościół. Jeden omdlał po drodze. Szczęśliwie zapomniano o nim zupełnie. Pozostałych bito nahajami i pluto im w twarz. Por. Takacsowi uderzeniem pięści wbito binokle w czoło z taką siłą, iż oko wyskoczyło na wierzch. Wydarto mu chusteczkę, gdy próbował nią osłonić ranę. Szedł więc, a wybite oko chwiało się na żyłę niby gałka na nitce. Młynarza Akicsa pod szubienicą jeszcze raz wypoliczkowano. Nim ciała ostygły, ściągnięto je i obłupiono z ubrań. A Szamuely stał, patrzył na to i podrwiwał sobie głośno...”

To już nie „czerep rubaszny“, jakby określił Słowacki, to zmyślne, okrutne bydlę ma głos. Trzeba specjalnej atmosfery, trzeba ziemi obluzganej krwią, trzeba osobliwej wolności, ażeby z człowieka wylał aż taki potwór. Rewolucja, niestety, najskwapliwiej wyzwała taką zjawę z kaźni podświadomości.

Podobnie więc rewolucja hiszpańska pospuszczała z łańcucha „czarne hieny“ zastarzałych nienawiści i, mówiąc stylem naszego piętnastego wieku, „wrózd“.

Trzeba Hiszpanię jako tako znać, by zrozumieć, co się tam dzieje. Gdyby to był tylko wojskowy zamach stanu, rychłoby zgąśł po drugiej — trzeciej nieudanej utarczce. Nie chodzi o efektywy w walce, ani o rezerwy, ani o źródła i zasoby sił. Chodzi o niezwykley charakter wojny domowej. „Guerilla“ wybucha tam i sam, w tysiącach miejsc naraz, niczym ospa, od wewnątrz, jako wyprysk gorączki ukrytej, nurtującej organizm, jako wybuch starych niewygasłych ogni. Nie ma właściwie jednego frontu. Prawie niepodobieństwem jest wyznaczyć na mapie jakoweś linie. Wszędzie w każdym regionie są miejsca białe i czerwone, w każdym miejscu białe i czerwone punkty walczące. To świadczy o tym, iż rewolu-

cja gra naprawdę namiętnościami ludności, że przeciwstawia brata bratu, że wywraca i burzy wszystko do dna.

Katalonia musiała być republikańską z tego powodu, że dążyła do separatyzmu i własnej niepodległości, a monarchia była centralistyczną. Jednocześnie Katalonia nie znosi ultra - katolickiego Aragonu, ani Navarry, chociaż te również są autonomistyczne.

To samo dążenie często nie prowadzi do tego samego. Separatyzm Katończyka formuje anarchistów, separatyzm Navarry — karlistów. Ultra katolicki Aragon przywiązany jest w Saragossie do anarcho - syndykalizmu. Dalej nie przeszkadza, że karlista, czy nacjonalista Nawarczyk nienawidzi sąsiada Baska za jego republikanizm, ale znowu Bask uważa komunistów za największych wrogów. Obie Kastylie są republikańskie, ponieważ w centrum kraju, dokoła stolicy położone, z natury były przeciwko wygórowanym ambicjom prowincyj i wolą dziś generałów powstańczych niż rządowych anarchistów. Asturie i Galicja były stale i oddawna szczerze republikańskie i stale i oddawna nienawidziły króla. Cóż kiedy za republiki traktowane były po macoszemu, jako tereny karnych zsyłek dla oficerów z Madrytu. Tu się gromadziły zatem osobowe niezadowolenia, dopóki nie wybuchły płomieniem rewolty narodowej.

Właściwości geograficzne i historyczne, przeciwstawność tradycji politycznej, pewna nawet, wykapana kroplami na kamień cierpliwości ludzkiej, gorycz personalna, — wszystko to wyrzeźbiło oblicze swoiste każdej prowincji i dyktuje jej teraz wcale nie jednolitą postawę w konflikcie, jaki wstrząsa Hiszpanią. Stąd rozdrobnienie wojny domowej na mnóstwo uderzeń lokalnych. Stąd zaciąganie się działań i walk na długo. Stąd wreszcie niewiarygodne okrucieństwo stron. Wyzwolenie dzikiej bestii... Popis „czarnych hien”... Człowiek łatwo zamieniany w padlinę...

KARLIZM. Na Wawelu hiszpańskim, w Escorial, rzędami trumien spoczywa sława i potęga Hiszpanii. Pod pieczę O. O. Augustynów, którzy otrzepują pył czasu z książek w bibliotece i z grobów w kaplicy. Od wspaniałego Karola V-go, i od mistycznego Filipa II-go, kiedy za ich rządów słońce nigdy nie zachodziło nad ojczyznę rozpostartą na obu stronach globu, aż do wolnego miejsca dla marnego Alfonsa XIII-go, ostatniego z królów bezrobotnych, kiedy moc państwa padła w proch, — całe dzieje Hiszpanii oglądamy niejako na własne oczy w Escorialu. Można rzec: od Calderona de la Barki do Ortegi y Gasset. Od katolicyzmu przekutego w cnotę żołnierską do ataku na katolicyzm jako zasadę życia. I oto jakie opłakane rezultaty...

Potęga Hiszpanii skończyła się wraz z panującym w niej Domem Austriackim w 1700 r. Odtąd tylko słabość i zamęt z podrywem patriotyzmu, niby z wybuchem lawy, w czasie najazdu Napoleona. Zdetronizowani w 1808 roku Burbonowie powracają w r. 1814. W istocie rządzi krajem bez przerwy tajny rząd narodowy, Junta Central, coś jak Komitet Ocalenia. Ów tajny rząd stał się z czasem przyczyną wrzenia na długo w postaci t. zw. „karlizmu“.

Zmarły w 1833 r. Ferdynand VII pozostawił córkę, na którą przepisał prawo do korony. Junta Central, w imię rzekomego odwiecznego prawa sukcesji na linii męskiej, zakwestionowała wolę monarchy i za prawowitego następcę uznała nie córkę lecz brata królewskiego, don Carlosa. Ruch „karlistów“ oraz ich częste bunt-y zbrojne, skupiły element najbardziej narodowy, tradycyjnie czujący, najsolidniej nieprzejednany, najryzykowniejszy, najdzielniejszy. Apostołów opozycji przeciw wszelkiemu nowinkarstwu i liberalizmowi. „Karlizm“ oznacza zgrubsza dzisiaj nie rewindykację praw innej linii królewskiej, tylko tradycję „hiszpańskości“, ideę potęgi. „Karlizm“ nie stracił nic ze swego znaczenia. W ostat-

nich Kortezach (Senat i Kongres) reprezentowany był przez 45 deputowanych, wybranych ogromną ilością głosów. „Karlizm“ wciąż jest zdolny obudzić najgłębsze echa w duszy hiszpańskiej bez względu na pochodzenie i stan człowieka. Żaden rząd nie może „karlizmu“ lekceważyć, gdyż żyje on nie tylko wspomnieniami Escorialu. Ciągłe jeszcze nie przestaje się w nim wypowiadać honor i ojczyzna, zdobywczość i pęd, sen o sławie.

„KONIEC REPUBLIKI“. Tymi słowy króko i węzłowato sformułował swoje wrażenia z Hiszpanii jeden z korespondentów francuskich, wysłanych na plac boju do Madrytu.

Nie ma żadnego rządu. Czarny sztandar „piratów“ powiewa na ulicach. To nie znaczy, że rząd ulega takim lub innym wpływom politycznym. Nie ma mowy o wpływach. To zwyczajna subordynacja. Rząd musi się słuchać „ministerstwa mas“.

A sytuacja? Zbiory tegoroczne przepadły. Wpływy podatkowe równają się zeru. Waluta leci pod sufit z lekkością motyla. Socjalista reformistyczny, Indalecio Prieto, oświadczył publicznie: „Jeśli walka przeciągnie się, to ruina Hiszpanii będzie kompletna. Z żadnej instytucji, w sensie fizycznym i moralnym, nie zostanie kamień na kamieniu...“

Konfuzja posunęła się tak daleko, że tych, kto się zbuntował przeciwko rządowi, nazywają faszystami i monarchistami, słowem „białymi“, chociaż oni właśnie walczą o uratowanie instytucyj republikańskich. Gen. Sanjurjo umożliwił triumf republiki parę lat temu, gdy wypędzano Alfonsa. Gen. Queipo de Llano buntował się w 1930 roku wraz z rewolucjonistą Galanem. Szef ostatniego rządu militarnego w Burgos, Gen. Don Miguel Cabanellos Ferrer uchodzi za starego republikańczyka. Faszyci z „Falangi“ pod przewodnictwem don Jose Antonia Primo de Rivery, syna b. dyktatora, mają nie zamknięte porachunki z ex-królem.

Słowem, dziwna jakaś próba „restauracji“ nie w imię monarchii. Walka z republiką w imię republiki.

Tymczasem republikanie zaczynają wyglądać coraz bardziej podejrzanie z republikańskiego punktu widzenia. Wszędzie, przy łada okazji, na transparentach, na sztandarach — czarne litery F. A. I. Co oznacza: Federacja Anarchistów Iberyjskich, albo Internacjonalnych. A przecież anarchizm jako doktryna to antyteza wszelkich rządów w przyjętym dotąd znaczeniu, nawet republikańskich, nawet komunistycznych. To zasada dobrowolnego zrzeszenia ludzi zamiast państwowego przymusu. To obalenie wszystkich instytucji i ustrojów w ich dotychczasowej postaci. To czarny sztandar zarówno przeciw narodowemu jak i czerwonemu. A więc w konsekwencji i w perspektywie w razie zwycięstwa: walka z grupą rewolucyjną socjalistów skrajnych Larga Caballera, walka z komuną. „Czerwone“ i „czarne“ to barwy dalszej rozgrywki w Hiszpanii, i o ile tylko „białe“ zejdzie z pola.

Twórca pozytywizmu August Comte uważał, że umarli nami rządzą, bo jest ich znacznie więcej niż nas, dlatego ciężą nad losem żyjących... Możliwe. W każdym razie Hiszpanią rządzić zamierzają inni umarli, nie ci z Escorialu.

Pisał w r. 1843 Theophil Gauthier, że w Hiszpanii burzyć klasztory wydaje się szczytem cywilizacji. T. Gauthier odwiedził Hiszpanię, pogrążoną wówczas w chaosie rewolucji „karlistowskiej“. Tamci tedy umarli niewątpliwie trzymają w obecnej Hiszpanii rząd dusz. Burzyciele klasztorów, starych murów, starych tradycji, starych instytucji... Czy może jeszcze dawniejsi umarli z epoki Inkwizycji... Stąd pewnie w drodze odwetu dziejowego odbywa się „matanza de curas“, ubój księży, oraz „matanza de frailes“, rzeź braciszków... I zakonnych, i świeckich, i w ogóle braci, obywateli, rodaków.

WIESZAĆ WŁAŚCICIELI

W „Obrazach z podróży“ (Reisebilder) Heine opiewa raczej duszę własną niż pejzaz widziany oczami. W dziele o rewolucji socjalnej Michał Bakunin, o którym dalej powiemy coś więcej jeszcze, dużo miejsca poświęca rozważaniom filozoficznym na temat zjawy bóstwa, świata rzeczywistego i człowieka. Tego rodzaju dygresje „poetyckie“ nie są bynajmniej objawem chaosu wewnętrznego, czy też nieokiełznanej fantazji piszących. One muszą być i one są jako podstawa logiczna rzeczywistości, jako źródło działania i czynu. Fakt realny wynika bowiem z dłuższego inkubacyjnego fermentu duchowego. Taka jest natura rzeczy. W taki dziwny i tajemniczy sposób zlepia duszę z ciałem przyrodzenie.

I o tym pamiętać należy, kiedy się patrzy na ogień i krew wojny domowej w Hiszpanii. Nie będzie zatym poetycką dygresją, jeżeli dla tego, co się tam dzieje, poszukamy również źródeł logicznych, podstaw intelektualnych, fermentów duchowych i buntów, które określa się jednym słowem — anarchia. Ma ona, potocznie mówiąc, sens ujemny. Ale ma też związek organiczny z prądem filozoficznym i ruchem socjalnym, zwanym — anarchizmem.

I jedno i drugie, anarchia i anarchizm, leżą w naturze ludzkiej. Na 300 lat przed Chrystusem stoicy greccy byli niewątpliwie anarchistami. Na 300 lat przed Chrystusem filozof chiński Chuang - Tsu był anarchistą. Mawiał tak: zapytajcie konia, czy chce być ujeżdżanym, zapytajcie gliny i drzewa, czy życzą sobie stosowania cyrkla i węgelnicy, łuku i linii...

Z jednej strony jakiś system, jakaś dyscyplina, przymus, z drugiej — bunt człowieka w imię wolności indywidualnej. Człowiek chce mieć *swoje* zdanie. Nie uznaje porządku narzucanego. I to może dotyczyć wszystkich dziedzin życia, operujących organizacją i obowiązkiem: religii, państwa, społeczeństwa... Doktryna i organizacja kościoła katolickiego jest pewnym ustalonym łańcem wewnętrznym i zewnętrznym. Sekciarstwo, a nawet wielka reformacja — to wyraz anarchistycznego buntu. Feodalizm był ustalonym hierarchicznie układem świata cywilizowanego. Stosunek wasala do suzerena opierał się na kodeksie obowiązków wzajemnych podwładnego do szefa i odwrotnie. Rewolucja przeciw temu układowi dawała ujście anarchistycznemu buntowi człowieka. Dyscyplina państwa rewolucyjnego, systemu czerwonego przymusu Robespierre'a i Jakobinów, wywołała później taki sam odwruch anarchistycznego buntu.

Bunt nie tylko przeciw władzy, która wypacza jednostkę tak, iż „woda sodowa uderza do głowy“; nie tylko przeciw organizacji, która przesadza i przegorliwia; nie tylko przeciw dyscyplinie, która spada na kark jarzmem i na plecy batem; ale bunt przeciwko władzy, organizacji i dyscyplinie w ogóle, w imię świętych praw człowieka. Coś metafizycznego. W romantycznym ujęciu — Szatan, anioł buntu. Duch, wieczny rewolucjonista... Bukary, obrońca ducha, w dramacie wspomniałym anarchii polskiej, w „Samuelu Zborowskim“ Słowackiego.

Bunt i nienawiść w stosunku do wszelkiej władzy. Oto uczucie uprawnione. Większość idei jest racjonalizacją uczuć. Stąd rodzi się idea i doktryna anarchizmu. Aby walczyć z różnymi despotyzmami: konserwatywnym i postępowym, reakcyjnym i radykalnym, faszystowskim i socjalistycznym, białym i czerwonym. *Quot capita, tot sensus*. Co głowa, to ro-

zum. Nie ma autorytetów i nie ma posłuszeństwa. I tak aż do absurdu: Niech żyje moja śmierć! Śmierć memu życiu!... Coś jak obecnie w Hiszpanii.

DOKTRYNA ANARCHIZMU. Właściwych założycieli doktryny anarchistycznej jest trzech: Anglik Wiliam Godwin (1756 — 1836), Francuz Pierre J. Proudhon (1809 — 1865) i Niemiec Max Stirner (Kaspar Schmidt, 1805 — 1856).

Anglik i Francuz są apostołami kolektywizmu. Warsztaty i środki produkcji muszą się stać własnością ogółu. Wszyscy obywatele są równi tak co do praw jak i stanu majątkowego. Państwo w tych warunkach będzie ustrojem całkowicie zbędnym. Godwin jednakowoż z dotychczasowego systemu uznaje i zgadza się utrzymać nadal instytucję sądów przysięgłych. Proudhon natomiast wszystko odrzuca, propagując federację terytorialną gmin, czyli najdalej posuniętą decentralizację. Przy tym w zasadzie obaj przeciwstawiają się własności prywatnej.

Niemiec głosi hasło: „chcę być wszystkim i mieć wszystko, czym tylko być i co tylko mieć mogę“. Nie uznaje żadnych wędzideł. Ja, jedynie i wyłącznie ja, moja wola... Egoizm posunięty na skraj przepaści. Z inicjatywy i nauki Stirnera powstał w swoim czasie Związek Egoistów w Niemczech. Zasadniczo jednak ani filozofia Stirnera, ani doktryna Godwina i Proudhona nie przyobłękały się w żaden realny kształt, ani nie przeobrażały się w ruch, tyle tylko, że myśl anarchistyczna, zwłaszcza z pism Proudhona, zapłodniła i nie przestaje zapładniać teoretyków, myślicieli i działaczy. Pod tym względem aktywność jej jest przedziwna, niewyczerpana i daleko strzelająca. Aż do polskich romantyków, myślicieli i poetów, ojców anarchistycznego nacjonalizmu, twórców anarchistycznych koncepcyj socjalnych. Aż do hiszpańskich apostołów nierządu.

MICHAŁ BAKUNIN. Podwaliny pod ruch anarchistyczny założył Rosjanin, Michał Bakunin (1814 — 1876). Nie zapomni mu tego nigdy nasze serce narodowe, iż jako oficer wojsko rzucił, zbrzydziwszy sobie mundur rosyjski za uśmierzenie polskiego powstania w 1830 roku. I że później on, Rosjanin, miał odwagę napisać: „Polacy mają prawo nienawidzić Rosji“. Niesamowita wogóle atmosfera otaczała takich ludzi jak Bakunin, dziki ich kołysał wiatr. Taki towarzysz Bakunina, W. Ozierow, były oficer rosyjski, brał udział w powstaniu 1830 r. po stronie polskiej, na „migracji zaś w Paryżu zajmował się szewctwem i rewolucją, ciesząc się popularnością pod firmą „Albert - savetier (Albert - szewc). Taki Walenty Lankijewicz, Polak, drukarz z zawodu, wielbiciel i towarzysz Bakunina, bierze wraz z mistrzem udział w próbie rewolty w Lyonie i ginie wkrótce potem na barykadach Komuny w Paryżu.

Pochodzenie nie predestynowało Bakunina na rewolucjonistę. A może — tak. Albowiem dziwnymi drogami chadza przeznaczenie. Bogaty i arystokratyczny ziemianin ni z tego ni z owego czuje w sobie obudzone sumienie. Więcej nawet: Szatana buntu. Później nieco taki sam arystokrata, Książę Piotr Kropotkin, pójdzie w jego ślady. Raczej więzienny chleb niż frykasy. Burza i walka, nie spokój i dobrobyt. Rewolucja przeciwko ustalonemu porządkowi rzeczy. Anarchizm, międzynarodówka, utopia — na szlakach świata. Dzwonią na jutrznię, ale jeszcze daleko do rana...

Pisał Bakunin w r. 1870 do towarzysza: „...zaczynam myśleć, że z Francją koniec. Stanie się niemieckim wice-królestwem. Zamiast żywego i realnego socjalizmu, będzie miała doktrynerski socjalizm Niemców, którzy powiedzą to tylko, co im powiedzieć pozwolą niemieckie bagnety“...

Sam Bakunin realnym bardzo nie był, za to żywym nie-

zwykle. Człowiek czynu i walki. Płomień. Nie znajdował czasu na pisanie dzieł, tyle miał ciągle do zdziałania.

I nie cierpiał Niemców. Nienawidził ich poprostu. Cień tej nienawiści udzielił się doktrynie i robocie tak dalece, że w rozwoju późniejszym prąd anarcho - komunistyczny rozszedł się zdecydowanie z socjalizmem Marxa i popłynął przez kraje romańskie, a pomiął Niemcy.

Doktryna Bakunina w części ekonomicznej nie wybiega poza program socjalistyczny. Dążenie do kolektywizmu. Zasady z „Manifestu komunistycznego“ Marxa i Engelsa z 1848 r. W części politycznej — zupełnie co innego. Nie państwo będzie ustrojem w przyszłości, lecz wolny związek wolnych ludzi. Dobrowolne zrzeszenie. Powiedzielibyśmy terminem staropolskim — konfederacja. Gdybyśmy szukali pokrewieństw myślowych i wpływów doktrynalnych, to ta bakuninowska, a ściślej mówiąc proudhonowska zasada dobrowolności, nie przymusu, leży u podstaw ideologii spółdzielczej Edwarda Abramowskiego w Polsce.

Na jakiej drodze ma się odbyć rozsadzenie państwa przymusowego na dobrowolne zrzeszenia wytwórców? Nie na drodze reform i związanej z tym polityki oportunistycznej socjalistów niemieckich i innych. Reformy usypiają proletariat. Tylko i jedynie rewolucja socjalna może coś zmienić. Tylko i jedynie — gwałt. Stąd, jak widzimy, zaczerpnie później swą myśl — Jerzy Sorel, teoretyk mitu rewolucyjnego, duchowy ojciec żołnierzy wszelkich rewolucyjnych przemian.

Poza niewielkimi broszurkami, Bakunin napisał jedyną książkę i to po francusku „l'Empire Cnouto-germanique et la révolution sociale“, która wyszła w przekładzie rosyjskim „Knuto-giermanskaja impieria i socjalnaja rewolucja“. W książce tej zawarte jest wyznanie wiary, testament, jak sam powiadał.

„Każdy słuchać się będzie, naucza Bakunin, tylko dlatego, że jego dyżurny szef nakazuje mu to, czego on sam chce“.. Żadna więc dyscyplina, żaden nakaz z zewnątrz. Tylko dyscyplina wewnętrzna, dobrowolna. Nie muszę, tylko tak chcę. Na tej dobrowolności, na tej woli człowieka ugruntowany ma być przyszły, po rewolucji socjalnej, ustrój świata.

Człowiek według Bakunina ma dwie przyrodzone właściwości, co różni go od zwierzęcia: myśl i bunt. Z tych właściwości ludzkich formują się trzy zasadnicze elementy życia zbiorowego: żywotność (dusza) wymaga ekonomii; myśl — nauki, bunt — wolności. Ta zasada doktrynalna wyzwala człowieka. Wszelka inna, uzależniająca go od bóstw, wiążąca systemami i przymusem — poniża, depce i unicestwia. A więc nie myśl wolterowska, że gdyby Boga nie było, to by go należało wynaleźć, lecz myśl bakuninowska: „Gdyby Bóg był, to by go należało zniszczyć“. Ponieważ człowiek ma dość, nie chce być dłużej niewolnikiem.

Powiedzenie, że mogę odrzucić hamulce i że robię, co chcę, potrafi nie jednemu przewrócić w głowie. A w każdym razie wyzwala instynkty najciemniejsze oraz uprawnia szaleństwa i zbrodnie. Dlatego przyjęcie zasady anarchistycznej musi fatalnie prowadzić do anarchii życia zbiorowego, musi rozbijać wszelki porządek i wytwarzać chaos. To też doktrynerzy anarchizmu, jako teoretycy wywrotu, w opinii publicznej sąsiadują z kryminalistami.

Jeżeli prawo jest czymś, co posiadamy cudzym kosztem, to precz — z prawem. Własność jest grabieżą. Ergo nie złoczyńcą, lecz *sui generis* dobroczyńcą będzie kryminalista, łamiący prawo, ekspropriujący własność, sam sobie czyniący sąd. Nie ma ściśle sprecyzowanego i obowiązującego dobra powszechnego. „Bonum commune“ w tych warunkach zakrawa na nonsens i złudzenie. „Cnota także jest złudzeniem“, krzyknął Brutus, topiąc sztylet we własnym sercu.

W ostatnim dziesięcioleciu w. XIX-go Francja stała się widownią i ofiarą częstych zamachów bombowych, zupełnie bez sensu, „bo tak chcę“, „bo jestem anarchistą i wrogiem istniejącego porządku społecznego“... Słynny był wówczas Ravachol. Wstępując z zimną krwią na stopnie gilotyny, śpiewał zwrotkę pieśni anarchistów: „Jeśli chcesz być szczęśliwy, to —psiakrew — powieś właściciela!“... Niewiadomo, czy anarchista, czy szaleniec, czy zbrodniarz, a może wszystko razem... Na tego typu ludzi jedyny sposób — interwencja gilotyny. Domieszka utopii anarchistycznej w ruchach społecznych — gilotynę kolektywizuje. Hasłem: wieszać właścicieli! Jak na barykadzie hiszpańskiej, jak w rzezi braciszków...

WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH

Kto ma, chce zachować; kto nie ma, chce mieć. Zasada nawiązuje do elementarna. Jednakże na niej bazuje się psychologia polityczna obywatela. Pewien publicysta katolicki we Francji, niejaki Henri Simon, wydał książeczkę, w której w ten sposób uzasadnia „prawicowość“ i lewicowość“ człowieka („Destins de la personne“, Blond et Gay, Paris, 1936).

Prawicowiec posiada poczucie rodzinne i narodowe dlatego, że rodzina jego przekazuje własność z pokolenia na pokolenie, naród zaś jest związkiem właścicieli, dla których państwo odgrywa rolę syndyka.

Lewicowiec za to posiada większe poczucie klasowe, jako syntezę braków, cierpień i pożądań masowych... Dla prawicowca ważna więc będzie siła państwa i porządek wewnętrzny zbiorowiska. Dla lewicowca natomiast — jednostka...

Gdzie trwa nędza i ucisk, tam musi nastąpić bunt. Na to nie potrzeba żadnej filozofii, ani doktryny, ani dyalektyki. Lepiej atoli, gdy buntownicy zdobyć jeszcze mogą i broń teorii na poparcie i pogłębienie swego krzyku i działania. Wówczas bowiem ruch osiąga szanse, staje się moralnie uprawnioną rebelią mas, rewolucją socjalną, wojną o usunięcie krzywd i o przebudowę świata. Lucyferyczny bunt podnosi na sztandarze cel społeczny. Bestia zabija — ideowo.

PIOTR KROPOTKIN. Michał Bakunin był ewangelistą anarchizmu. Nie tyle ewangelicznym barankiem, co na-

technionym apostołem nowej wiary anarchistycznej. Z wiary tej uczynił religię usystematyzowaną dopiero Piotr książę Kropotki (1842 — 1921). On dał jej podstawy naukowe w szeregu poważnych dzieł, z których najważniejsze z punktu widzenia programu gospodarczego są dwa: „Zdobycie chleba“ i „Pola, fabryki i warsztaty, czyli przemysł skombinowany z rolnictwem, a praca umysłowa z pracą ręczną“. Oba dzieła zawierają moc doskonale przepracowanych informacji, materiał tak pouczający, konkretny i przekonujący, że nie jeden przeciwnik anarchizmu da się tym ująć i oczarować.

Kropotkin istotnie pisze nader rzeczowo, odsłania całkiem nowe możliwości ekonomiczne, operuje faktami realnymi, zadziwia ścisłością argumentów. Wbrew Heglowi, nie uznaje wszystkiego, co istnieje, za racjonalne, czyli słuszne. Poszukuje jednak sensu społecznego namiętnie, z pasją wyznawcy i uczonego. Przy tym z metodą i logiką, które imponują. Wierzy w „twórczy geniusz bezimiennych mas“. I jednocześnie uważa, że „fakty mechaniczne wystarczają“. Formułuje rzecz tak: „Należy dociekać, jakimi środkami można najlepiej zaspokoić sumę potrzeb dzisiejszych i przyszłych przy najmniejszym wysiłku i z najlepszym wynikiem dla całej ludzkości“. Na postawione zagadnienie — odpowiada. Inaczej niż Marx. Nie metodą dialektyczną, lecz badając stosunki gospodarcze tak, jakby to był materiał doświadczalny nauk przyrodniczych.

Znany skądinąd ekonomista angielski, Tomasz Robert Malthus (1766 — 1834), głosił pesymistyczną teorię populacyjną, że przyrost ludności ograniczony jest sumą produkcji i że masy muszą pozostawać w nędzy, aby tanio produkować. Na szczęście życie obaliło teorię Malthusa. Technika przyszła człowiekowi z pomocą. Zdolności produkcyjne

wzrosły niewspółmiernie z czasem pracy ludzkiej. Koszt produkcji staniał, stopa życiowa robotnika podniosła się.

I z tych i z innych danych i cyfr, skrzętnie przez siebie zgromadzonych, Kropotkin wbrew Malthusowi tworzy swoją teorię „pracy radosnej“, powiedzielibyśmy „radosnej twórczości“. Skrupulatnie oblicza, że najzupełniej wystarczy 4-godzinny dzień pracy. Cały świat przy tym może spokojnie i wygodnie żyć, byle tylko uczynić pracę przyjemną. A więc nie przepracowywać się. „Wada — pisze — obecnego ustroju nie w tym, że kapitalista przywłaszcza sobie „nadwartość“ lub zysk, ale raczej w tym, że „nadwartość“ lub zysk są w ogóle możliwe“.

Powiedzmy inaczej: czy do pomyslenia byłaby przebudowa ustroju w tym kierunku bez przebudowy moralnej człowieka? Nauki przyrodnicze oddawna mówią, że „tak“, tylko jakoś nie dosłyszymy i nie wyciągamy odpowiednich wniosków.

Büchner obserwuje fakty współczucia u zwierząt i w tym dopatruje się źródeł najpierwotniejszych pojęć moralnych. Darwin wykazuje, że walka o byt nie tylko dzieli, lecz i skupia. „Te stada, dowodzi w „Pochodzeniu człowieka“, które posiadają największą ilość osobników obdarzonych uczuciem wzajemnej sympatii, wydoskonalonym w najwyższym stopniu, będą się najlepiej rozwijały i, jako uprzywilejowane, zdołają najbardziej się rozmnożyć“. Prawo pomocy wzajemnej jest o wiele ważniejsze i skuteczniejsze, niż prawo walki o byt. Kropotkin wierzy w to „naukowo“. Na tym funduje swą utopię wolnego komunizmu. Na wrodzonym, instyktownym prawie pomocy wzajemnej. Na możliwościach pracy radosnej. Na właściwym ujęciu i zorganizowaniu technicznym produkcji.

Dziadek ekonomii, Adam Smith, zapowiadał i propagował w imię ilości i jakości produkcji, jak najdalej posunię-

tą specjalizację roboty. Znalazł w w. XX pojętnego ucznia w osobie Henryka Forda, który w zastosowaniu podziału pracy przeszedł mistrza i dorobił się grubych milionów dolarów.

Ojciec socjalizmu, Karol Marx, wróżył koncentrację przemysłu jako fazę nieuniknioną dalszego rozwoju kapitalizmu.

Kropotkin przeciwstawił się i Smithowi i Marxowi. Specjalizację zbyt daleko posuniętą nazwał ogłupianiem robotnika oraz hańbą ludzkości. Na podział pracy odpowiedział projektem scalenia, na centralizację przemysłową — kontrprojektem decentralizacji rzemieślniczej. Uznał za możliwe i pożądane szarmonizowanie rolnictwa z przemysłem, pracy ręcznej z umysłową.

Wykazał i wyliczył z niebywałą kompetencją, że rolnictwo jest w stanie ustokrotnie plony. Że ogrodnictwem i warzywnictwem zająć się może z prawdziwą radością i z cudownym rezultatem pracownik umysłowy i przemysłowy. Że, im gęstsze zaludnienie danego kraju, tym szybszy postęp jego sił wytwórczych, o ile, oczywiście, ludność nie składa się z samych niedołęgów, leniów i durniów. Że wreszcie prawo do pracy, tak popularne i „socjalne“ hasło, to w rzeczywistości szkodliwa bzdura, nic więcej.

„Pod grozą zagłady społeczeństwa ludzie powrócić muszą do kardynalnych zasad: środki produkcji, będące dziełem zbiorowym, stać się winny znowu własnością wspólną. Przywłaszczanie ich przez jednostki nie jest rzeczą ani sprawiedliwą, ani pożyteczną. Wszystko należy do wszystkich, ponieważ wszyscy wszystkiego potrzebują, ponieważ wszyscy pracują w miarę swych sił i ponieważ przy obecnym systemie produkcji absolutnie niepodobna określić, jaka część się komu należy... Wyznawane przez nas hasło głosi — prawo do dobrobytu — dobrobyt dla wszystkich“.

Tak woła Kropotkin w „Zdobyciu chleba“. I znowu praktycznie, wcale nie utopijnie, wskazuje: jak zdobyć chleb, jak zdobyć odzież, jak zdobyć mieszkanie. Słowem, jak dojść do minimum dobrobytu, jak osiągnąć to, do czego mają prawo wszyscy.

A jeżeli utopia ma się stać rzeczywistością, to którądy podejść, skąd wziąć klucz, aby otworzyć do niej drzwi...

Siłą drzwi wywalić. Wywłaszczyć.

Żadne państwo, żaden rząd, zdaniem Kropotkina, nie rozwiąże tego problemu użyciem siły czy też prawem w interesie mas. Nie należy też pokładać nadziei w rządzie centralnym, chociażby on nawet był dyktaturą proletariatu. Żeby wszystkim zapewnić żywność, odzież i mieszkanie bezpłatnie, bez przymusu bodaj pracy wymiennej, do tego trzeba rebelii mas, wystąpienia robotników i chłopów, prawdziwej i szczęśliwej rewolucji.

Tu leży najbardziej zasadnicza różnica pomiędzy socjalizmem, a komunizmem anarchistycznym. Socjalizm daje prawo do pracy, żąda pracy, od pracy uzależnia byt człowieka, pracą mierzy wartość jednostki. Socjalizm wprowadza przymus pracy dla wszystkich. Anarcho - komunizm pracę uzależnia od dobrej woli człowieka. Anarcho - komunizm wierzy, że naturze ludzkiej praca jest miłą, wstrętne jest jedynie i wyłącznie przepracowanie i to na rzecz małej garstki, żeby żyła w zbytku, a nie na rzecz ogółu i dobra społecznego. Gdyby rolnictwo, zamiast być katorgą chłopu żyjącego w nędzy, stało się dodatkowym, miłym zajęciem inteligenta lub robotnika; gdyby przemysł, zamiast być katorgą robotnika, stał się polem inicjatywy osobistej i twórczości, gdzie o metodach i warunkach pracy decydowaliby wykonawcy, — o gdyby!... Wszystko to być może, lecz tymczasem pozwólcie, że ja to gdzieś w utopię włożę... Byłby to bowiem raj na ziemi za darmo. A jeżeli nie za darmo stric-

to sensu, to w każdym razie raj artystycznych dusz, pracujących swobodnie, z wrodzonego popędu, z pieśnią na ustach, z Bogiem w sercu...

O, co to, to nie. Wzmianka o Bogu sprzecza się z ideą anarchizmu. Bóg wygnał synów Ewy z raju na ziemię rzeczywistości. Zatem z raju utopii synowie Kropotkina wypędzają Boga. Albowiem Bóg jest także władzą centralną. Kładzie jarzmo sumienia na duszę ludzką. Wywołuje organizację życia zbiorowego, państwo boskie i ziemskie. Stanowi punkt najszczytniejszy w hierarchii świata.

Doktryna Kropotkina, imponująca w swej części gospodarczej, prawdziwie tam sensacyjna i płodna, w części filozoficznej nie wybiega poza granice wyznaczone lotem myśli Bakunina. I dodatkowo trzyma się typowej naukowości XIX-go stulecia. Zabarwionej antyreligijnie. Materialistycznej.

Pod tym względem, o ile chodzi o wpływ na masy, filozofia Kropotkina w dalszym ciągu podważa podstawy ładu publicznego. Jest apologią lucyferyzmu. Pieśnią anioła buntu. Żagwią rzuconą na stos drzewa. Wyzwoleniem bestii. Wytworzeniem sytuacji, o jakiej śpiewa poeta: „zamiast róży mdłe panienki biorą nóż do ręki...” Ideowo. Po to, żeby było — wszystko dla wszystkich.

WIARA PROLETARIATU

Wątpię czy istnieje ewolucja jako rozwój postępowy, wierzę natomiast w przemianę i przeistaczanie się wszystkiego po linii, której nie rozumiem. Jak gdybyśmy zataczali elipsę kosmiczną w bezmiarze, wśród gwiazd. Życie człowieka na tle mroku wiekuistego w świecie znaczy tyle co westchnienie... Chcieć ująć zbiorowość w jakiś plan, w karby działania celowego, to — zaiste — syzyfowa praca niania westchnień na łańcuch. Połów cieni. A przecież w gruncie na tym polega wszelka teoria ruchów socjalnych. Doktryna usiłuje przyłapać na gorącym uczynku stawania się — rzeczywistość... Żeby nią powodować. Muszą się jednak obie rozminąć wcześniej lub później. Albowiem życie na dalszą metę nie poddaje się prawom teorii, wymyka się z ram, rozsadza doktrynę. Jest niby rzeka płynąca: raz taka, raz inna.

Ruchy socjalne mas są taką właśnie rzeką, która płynie linią falistą, szarpaną, rwaną, ciętą, bitą.... Od Grakchów i Spartakusa, przez wyprawy krzyżowe, rebelie chłopskie, wojny religijne, do nowożytnych rewolucyj. I zawsze to samo, i wciąż inaczej. Te same źródła, inna forma. Obserwujemy je obecnie w wojnie domowej w Hiszpanii.

Ale uderzają nas w wydarzeniach hiszpańskich na wstępie pewne niekonsekwencje, których nie rozumiemy. Anarchizm, jako doktryna dobrowolnego, nieprzymusowego organizowania społeczeństwa, operuje w Hiszpanii siłą brutalną, posługuje się bronią, przelewa bratnią krew. Syndyka-

lizm, jako ruch robotniczy wyprany z elementu politycznego, zabarwił się w Hiszpanii zdecydowanym sekciarstwem i rzuca swój życia los na jedną kartę polityczną.

Niekonsekwencje te są tylko pozorne. Odnajdziemy w nich utajoną logikę, podskórny niejako sens — poprzez Jerzego Sorela. Jego trzeba poznać przede wszystkim, o ile się chce zrozumieć potencjał ruchów masowych dzisiaj, zasady rewolucyj socjalnych, nowe oblicze nacjonalizmów.

JERZY SOREL. Twarz nieco obrzękła. Przypominał trochę majstra fabrycznego, trochę technika. Wygląd mocno zaniedbany. Zato pitagorejski żar w oczach. Inżynier i mityk w jednej osobie. To był Jerzy Sorel (1847 — 1922). 25 lat buduje drogi i mosty, wtem ni z tego ni z owego przechodzi dobrowolnie na emeryturę, by poświęcić się odtąd całkowicie bez reszty studiom oryginalnym i jeszcze oryginalniejszej działalności. Wśród robotników. Przy tym przechodzi i przeżywa metamorfozy niesamowite.

Do r. 1898 jest socjalistą, gorliwym obrońcą Dreyfusa, wielbicielem Jaurès'a.

Do r. 1908 — zażartym wrogiem socjalizmu politycznego oraz niezłomnym teoretykiem i działaczem syndykalizmu rewolucyjnego.

Do wybuchu wojny światowej współpracuje z nacjonalistami.

I ostatecznie kończy na pochwalę Lenina i bolszewizmu.

Piszą o nim nekrolog z sympatią i czcią, jako o nauczycielu, swoim, skrajni socjaliści i monarchiści.

Sorel nie znosił logiki, uważał ją za antyżyciową, gardził t. zw. inteligentami, uznawał potrzebę sprzeczności. Jednakowoż sam nie miał nigdy chaosu w głowie. Metodycznie szukał nowych dróg. I do końca życia pozostał tym, za co

się sam podawał: wiernym i bezinteresownym sługą proletariatu.

„Źródła technologiczne matematyki”. Pod takim tytułem napisał kiedyś rozprawę. Starożytnych Greków uważał za geometrów z natury, pracowali bowiem w materiałach twardych. Technika kładzie pieczęć na dziele całego jego życia, które dałoby się określić koncepcją szlifierza kamieni. Stronę handlową produkcji, spekulację w ogóle uważa za rzecz drugorzędną. Majster fabryczny to grunt, majster to fundament ustroju. Technika skłania go ku materializmowi. Zasada życia zbiorowego w formie „umowy społecznej” Russa to według Sorela wykwit ducha i systemu rzemieślniczego, który onego czasu panował w Genewie. Człowiek z racji swego zawodu był wolnym, oderwanym od całości atomem, obywatelem świata, bo zawsze mógł wynieść się ze swej ojczyzny i iść. Oto dlaczego dobrowolnie, po republikańsku, mógł się związać umownie z państwem. To było ideałem politycznym w. XVIII-go. Co innego rolnik, który musi być związany z ziemią. Cóż kiedy wówczas rolnika nikt nie spostrzegał i nie uwzględniał. Swojej książce „Ruina świata starożytnego” Sorel daje znamieny podtytuł: koncepcja materialistyczna historii.

To jedna strona medalu sorelowskiego, prawie niczym nie różniąca go od Marxa. Jest wszakże i druga. Moralny wpływ matki i bogobojne wychowanie w Normandii. Napisze później z przekonaniem: „Kobieta jest wielką wychowawczynią rodzaju ludzkiego”; „Kobieta nas umoralnia”; „Miłość przeistacza człowieka i dyscyplinuje uczucia”. Ocenia ludzi i obdziela ich sympatią na miarę surowego życia. Chłoszcze adeptów uciech i ułatwień. Za to mianowicie nienawidzi wieku XVIII-go. Z natury swej człowiek rwie się do upadku, staczą się po pochyłości, Sorel to przyznaje. Lecz narzuca obowiązek przeciwstawiania się złu, opanowywania

skłonności, dźwigania w górę. Jak na pozornego antykle-rykała, wybitnie chrześcijańska koncepcja życia. Kryzys społeczny w. XX-go, zdaniem Sorela, jest skutkiem rozbieżności pomiędzy postępem techniki a zacofaniem moralności.

Technika i moralność to dwa klucze do zrozumienia dzieł Sorela i jego niesamowitych metamorfoz. Szuka punktu oparcia dla człowieka, żeby więcej nie upadał, żeby posiadał pewność, dla której warto by było żyć. Cóż dziwnego, gdy w tym szukaniu często goni za mirażem pewności i oparcia...

Burżuazję oceniał straszliwie nisko. Barbarzyństwo jej, powiadał, równa się tchórzostwu. W ludzie tkwi siła prawdziwa, na której dopiero można budować. Szuka więc sposobu i doktryny, żeby nie ta zgangrenowana i znikczemniała burżuazja kierowała gospodarką, tylko zdrowe i mocne masy ludowe. Studiuje w tej fazie Marxa, pisuje do pism socjalistycznych. Robotnicy, twierdzi, jedyni walczą o prawdę, sprawiedliwość i moralność z zakłamanym, nikkczemnym i podłym światem.

Nieznacznie uczeń zaczyna poprawiać mistrza. Marx głosił walkę klas, Sorel dopuszcza lekką mieszaninę, aby wyjść z sekciarstwa wyznaniowego i stać się realną i życiową partią. Marx tolerował demokrację za jej rolę negatywną, jaką odgrywa w społeczeństwie. Sorel utożsamia cele socjalizmu z demokracją. Formułuje mianowicie: „Socjalizm francuski jest ruchem robotniczym w demokracji”.

Rychło jednak spostrzega, że życie poszło inaczej niż jego teorie, że życie obala i obrzydza jego koncepcje. Poza tym interpretowanie Marxa wydaje mu się coraz bardziej zawile.

W Niemczech klasyczny marxizm rozszczepił się na dwa prądy: ortodoksów i rewizjonistów. Tych ostatnich prowadził Edward Bernstein. Sorel zauważa, że socjaliści orto-

doksyjni są kompletnie nie życiowymi teoretykami, rewizjoniści zaś wyradzają się w oportunistów politycznych, akceptujących najdalej posunięte kompromisy. We Francji rewizjoniści nosili poprostu nazwę „posybilistów“, czyli inaczej „możliwców“. Zamiast proletariatu, który miał opanować rządy, oportuniści pojedynczo przyjmowali teki w gabinetach burżuazyjnych. Socjalizm politycznie zdradził masy. Szereg zdrajców proletariatu zapoczątkował we Francji Millerand, przyjmując w r. 1899 stanowisko ministra w rządzie Waldeck - Rousseau.

Mieszanina klas nie dała pożądanego rezultatu. Partia zeszła na manowce polityki i zagubiła interes klasowy. Demokracja doprowadziła socjalizm do upadku. Sorel odchodzi od socjalizmu politycznego, pozostaje jednak w ruchu robotniczym. Dla nas ważne, iż *nie utożsamia sprawy proletariatu z socjalizmem*.

SYNDYKALIZM REWOLUCYJNY. Drugi etap swego myślenia i działania społecznego rozpoczyna Sorel od Anglii. Studiuje tamtejsze trade-union'y. Przyszłość klasy robotniczej widzi w rozwoju i potędze autonomicznych związków zawodowych (syndykatów, stąd syndykalizm). Tu leży najwłaściwsza formacja proletariatu bez domieszki polityki. Tu instytucja czysto wychowawcza. Podstawa odrodzenia moralnego ludzkości. Punkt oparcia.

W tym czasie poznaje Fernanda Pelloutier. Nieodżałowanej pamięci, przedwcześnie, bo w 34-tym roku życia zmarły apostoł syndykalizmu rewolucyjnego, wywiera na starszego znacznie Sorela głęboki wpływ. W ogóle niepospolity to był człowiek. Jego inicjatywie i pracy realizacyjnej zawdzięcza syndykalizm francuski kapitalną ideę „Giełd Pracy“ (Bourses du Travail). Związek Syndykatów (C. G. T.) połączył się z Federacją Giełd Pracy w r. 1902, wprowadzie już po

śmierci Pelloutiera, ale to była jego myśl i jego dzieło. Wielkie dzieło, ponieważ ogarniało ono już wtedy pół miliona robotników zorganizowanych. Dzieło radykalne, ponieważ zdecydowanie występowało przeciwko istniejącemu ustrojowi społecznemu i przeciwko państwu. Syndykalizm francuski bez udziału partyj politycznych był istotnie rewolucyjny.

Sorel odegrał w tym ruchu rolę filozofa. I więcej jeszcze. Animatora, sprężyny duchowej, twórcy entuzjazmu i bojowości. Osobliwie jednym wielkim dziełem: „Rozważaniami na temat gwałtu“ (*Reflexions sur la violence*, kilka wydań od 1908 r., wielka pożytność).

Droga rozumowania Sorela jest następująca. Cel — odrodzenie moralne jednostki i społeczeństwa. Podstawą tego — związki zawodowe, o ile naturalnie kultywują ducha walki i podsycają zapał bojowy. To znaczy — wytwarzają osobliwy stan umysłów i wiarę. Jeżeli kościół katolicki zatriumfował, to jedynie i wyłącznie dzięki męczennikom, a nie dzięki papieżom i księżom kościoła, którzy zawierali sojusze, kompromisy z władzą doczesną. Wiekuistość kościoła ocaloną została przez męczeńską krew i przez surowość życia klasztornego mnichów. Syndykaty robotnicze są w pewnym sensie klasztorami nowego ustroju świata, robotnicy zsyndykalizowani — mnichami nowej wiary. Tutaj punkt wyjścia. Stąd program. Socjalizm, według Sorela, nie zwycięży i nie utrzyma się bez apologii bojowości i gwałtu; bez wewnętrznego nastawienia robotnika na wzniosłość, na heroizm i poświęcenie. To nastawienie Sorel nazywa mitem. Mit decyduje o postawie człowieka. Mit wywołuje postawę bojową, żołnierską, rewolucyjną. Mit prowadzi do walki i zwycięstwa. Walka zaś jest próbą sił, miarą wartości człowieka. Przez nią człowiek tworzy fakty historyczne, a więc sam rośnie na miarę historii. Przez nią wznosi się moralnie,

osiąga zdolność tworzenia nowego ładu, kierowania nowym, uporządkowanym gospodarstwem świata.

Jak widzimy, doktryna Sorela realizuje się nie w planie ekonomicznym i materialistycznym, tylko w moralnym i duchowym. Mieć wolę wypełnienia i siłę. Technik stał się mistykiem wojującym, Tertulianem socjalizmu. Znowu socjalizmu w oderwaniu od polityki.

NACJONALIZM RADYKALNY. Ton zawarty w doktrynie Sorela był tak wysoki, iż musiał i tym razem wziąć rozbrat z rzeczywistością życia. On w sublimowaniu moralności szukał przebudowy ustroju, syndykaliści natomiast grali o doraźny zysk. On uczył wyrzeczenia się, pisał apologię klauzury i surowego klasztorного żywota, anarchiści natomiast marzyli o społeczeństwie przyjemnym, o obfitości wygod i uciech, o łatwym spożyciu, o wolności stosunków płciowych. Gruntowne nieporozumienie skończyło się fatalnie rozjęciem. Sorel nie mógł iść na rewolucję w pantoflach.

Zbliży się więc do świeżo przed wojną powstających grup najbardziej niezadowolonych z dotychczasowego stanu rzeczy, do nacjonalistów francuskich z Jerzym Valois i Karolem Maurrasem. Nacjonalizm pod wpływem Sorela kształtuje swe oblicze radykalne. Powiedzielibyśmy: socjalistyczne w podejściu do mas z programem. Z tego praźródła niewątpliwie wypływa narodowy socjalizm Hitlera. Stąd bezpośrednio czerpie Mussolini.

W wywiadzie udzielonym redaktorowi ABC z Madrytu, Mussolini wręcz oświadczył: „Sorelowi winien jestem najwięcej. To ten mistrz syndykalizmu nauczył nas taktyki rewolucyjnej, to on wpłynął najmocniej na wdrożenie dyscypliny, obudzenie energii i powstanie siły w kohortach faszystowskich“. Podobnie jak Sorel, faszyzm gardzi parlamentaryzmem, zwalcza socjalizm polityczny, szuka oparcia

w syndykalizmie sorelowskim, organizując wiarę proletariatu. Tylko że ideałem syndykalizmu faszystowskiego jest nie wyzwolenie klasy, lecz wielkość i potęga ojczyzny włoskiej.

Człowiek o duszy z ognia tchnął ogień w organizację, którym poświęcił swoją myśl. Syndykalizm rewolucyjny krajów romańskich Sorelowi zawdzięcza swój ton bojowy, czerwien swojej aktywności. Nauka mistrza nie poszła w las, coś z niej zapadło w mózgi, dusze i serca. Przyczym, jak to zwykle bywa z dziełem człowieka na ziemi, nie momenty najszlachetniejsze wzięły górę i wywarły najistotniejszy wpływ, tylko właśnie najelementarniejsze i spłycone. Gwałt w prymitywnym, nie sorelowskim rozumieniu. Rewolucja bez odrodzenia moralnego. Siła brutalna bez duchowej. W każdym razie obudziła się wiara proletariatu niemal mistyczna, iż oto nadszedł czas, teraz lub nigdy. Ojcem tej wiary proletariatu jest Sorel. Stąd organizacja mas na zasadzie niejako religijnej. Stąd fanatyzm walczący, zaciekłość i nieubłaganość. Starcie wiary nie zna miłosierdzia. Albo nawraca, albo wytraca przeciwnika aż do wypalenia śladów po nim. Walka poglądów, idei, doktryn i racyj bytu, z których każda stała się religią polityczną pod nazwą socjalizmu i nacjonalizmu. U podstaw jednego i drugiego leży sorelowska mistyka przebudowy świata przez człowieka o nowej moralności i o postawie heroicznej, idącego ofiarnie na śmierć dla zrealizowania swojej wiary.

Męka i śmierć dają bowiem świadectwo wierze.

R E B E L I A M A S

Zamiast wstępu niech będzie *preludium* z dwóch tonów.

1. *Myśl*. Powiada Sorel: państwo jest właściwie grupą, która ciągnie zyski z urzędów publicznych i broni się przed atakami innych grup, partie zaś się tworzą w celu opanowania urzędów i korzyści stąd płynących, są więc analogiczne do państwa.

Cynizm tego powiedzenia często, niestety, odpowiada rzeczywistości, rzadko bowiem kiedy rząd składa się z apostołów i nie zawsze służy pewnej zdecydowanej idei.

Myśl ta dotyczy sensu zbiorowiska zorganizowanego w państwo.

2. *Obrazek*. Był okres w Niemczech powojennych, kiedy człowiek pragnął być jak najbliżej natury i w tym zbliżeniu szukał swego osobistego szczęścia. Nudysta na tle łąk i lasów. „Naturmensch“. Pamiętam między innymi taką fotografię: nagus w okularach gra na skrzypcach. Wyobrażam sobie, jak „naturmensch“ wyplakiwał duszę w Bachu.

Obrazek ten, chociaż w karykaturze, uwzględnia jednostkę, zapominając o zbiorowisku i państwie.

Z jednej strony człowiek wraz ze swym prawem do życia indywidualnego i z nostalgią wyplakiwaną po wiele kroków w muzyce. Z drugiej fatalizm życia społecznego w masie. Los nasz musi układać się pomiędzy dwoma biegunami przeciwności: człowiek — masa. Rozważaniom na ten temat poświęca uczony hiszpański, prof. José Ortega y Gasset, całą

książkę p. t. „Rebelia mas“ (La rebellion de las masas, Revista de Occidente, Madrid, 1935, piąte wydanie).

IDEA MAS SPOŁECZNYCH. Kapitałnym faktem historycznym naszych czasów jest to, że masy mają głos. Obiekt pragnie decydować sam o sobie. Rządzeni chcą rządzić. Na tym polega najcięższy kryzys ludów, narodów, państw i kultur w. XX. Tłum uaktywnia się, powstaje w sensie insurrekcyjnym. Przewidywał to Hegel, kiedy mówił, że „masy nadchodzą“. Zwiastował to pesymistycznie Nietzsche: „Widzę podnoszącą się pełnię morza nihilizmu“. Rathenau ujmował tę rebelię mas określeniem: „pionowa inwazja barbarzyńców“.

Odbywa się ona nie tylko w dziedzinie polityki, ale w tym wszystkim, w czym znajduje wyraz życie publiczne, to znaczy w ruchach umysłowych, moralnych, religijnych i gospodarczych. Wszędzie do niedawna masa stanowiła tło sceny. Pierwszoplanowe role protagonistów grali ludzie z elity. Dzisiaj na pierwszy plan wysuwa się chór. Żyjemy pod znakiem mas. One aprobują. One dają exequatur polityce, książce, myśli, działaniu, programowi. Elita zabiega o to, kokietuje, urabia. W tym celu skonstruowany nawet został specjalny aparat, zwany propagandą, do kaptowania mas. W terminologii socjologicznej nazywa się to wyczuwaniem idei mas społecznych.

Nie zapominajmy jednak, iż społeczeństwo jest związkiem dynamicznym dwóch czynników: masy i elity. Masa to liczba. Elita to kwalifikacja. Masa nie oznacza wcale świata pracy. Masa to człowiek średni, albo jak się mówi w Polsce człowiek szary. Typ elitarny dąży do czegoś, dobija się o coś, wydzwiga się na szczebel wyższy. Typ masowy płynie biernie z prądem, niby korek na rzece. Typ elitarny idzie w jakość. Typ masowy pozostaje w liczbie.

Charakterystyczne, że po hiszpańsku elita oznacza się słowem mniejszość (minoría). Określenie trafne, lecz i smutne zarazem, albowiem ogranicza ilość aktywu społecznego do jakiegoś ciasnego koła.

Żeby uchwycić istotną różnicę typów poszukamy podobieństwa w buddyzmie. Przewiduje on dwie religie. „Mahayana” — wielki wóz, wielki trakt i „Hinayana” — mały wóz, dróżka mniejsza, nieciekawa. Pierwsza jest trudna, wymagająca; druga łatwa, trywialna. Życie swoje każdy człowiek może ustawić na jednej drodze, lub na drugiej. Jak chce. Co woli. Żeby mu było łatwiej, czy trudniej. Według maximum, czy minimum wymagań od *samego siebie*. W tym cała rzecz.

To też elita nie pokrywa się ani z klasami, ani z hierarchią społeczną. W łonie każdej klasy, na każdym szczeblu hierarchii są takie i takie typy, są obie religie. Elita i tłum. Masa i mniejszość w znaczeniu hiszpańskim.

Były, są i będą w zbiorowisku cywilizowanym czynności, funkcje porządku specjalnego, które muszą być wykonywane przez ludzi wykwalifikowanych. Administracja w najszerszym zakresie, rząd, polityka, sztuka, nauczanie... Głosu mają specjaliści. Masa podlegała dyscyplinie z góry, autorytetowi, miała do specjalistów zaufanie.

Teraz się to zasadniczo zmienia. Tłum stawia żądania, narzuca swoją wolę, swój gust. Specjaliści starają się życzenie mas odgadnąć i niejako uprzedzić. Autorytet albo schlebia, albo stara się masy podejść i nastawić na swój plan. W każdym razie zabiega o masy, potrzebując dla swego działania ich poklasku. W Ameryce Północnej uważane bywa za nieprzyzwoite, gdy się ktoś czymś zewnątrznie wyróżnia, odbija od tła, jest jakiś inny. Na całym świecie zaczyna to obecnie obowiązywać elitę. „Tłumimy się”, wulgarniejemy, starzejemy i „masiejemy”. W tym również z dumą podkre-

ślamy — ideę społeczną. Oto fakt brutalnie prawdziwy i jakże znamienny dla naszej epoki. Fakt niemal absolutnie nowy w dziejach cywilizacji. Nie to, że masy wchłaniają elitę, bo to już było. Ale to, iż elita dobrowolnie i samoczynnie się zaciera. Triumf mas, siła liczb, ambicja kolosów, wielkie domy ZUPU, drapacze chmur... Tylko jedno małe „ale“. Zapodziewa się w tym gdzieś człowiek wartościowy. Zanika. Staje się jak gdyby niepotrzebny i niemodny.

ŻYCIE SZLACHETNE I ŻYCIE WULGARNE. Tymczasem społeczeństwo chcący czy nie chcący posiada organizację arystokratyczną. Innej dotąd nie wymyślono. Przestając być organizacją arystokratyczną, zbiorowisko przestaje być w ogóle społeczeństwem i rozpada się, dziczeje. Cała cywilizacja jest dziełem arystokratycznej elity. Nie arystokracji w znaczeniu potocznym, nie tak zwanych ludzi z towarzystwa, tylko ludzi z kwalifikacją. Talentów, genjuszów i pracy, porywających się w kierunku swego celu, lotnych ideą. Szlachty z ducha, nie z urodzenia. Wszystko, co mamy, czym się chlubimy, czym żyjemy, dorobek ducha i materii zawdzięczamy ludziom wartościowym i szlachetnym, typom elitarnym, wybijającym się na wyższy szczebel. A my za nimi. Po wartość wyższą, po szlachectwo. Aby formować następną elitę. Aby — nie lękajmy się użyć tego słowa — opanowywać rządy.

Goethe pisał, że żyć jak się komu podoba to plebeuszostwo, człowiek szlachetny zmierza do porządku i prawa. Czyli sam na siebie nakłada obowiązek, wybiera religię trudną w życiu, „Mahayanę“. Walczy. Szlachectwo swe bazuje na zasłudze. Prawo obywatelskie zdobywa wysiłkiem osobistym, Wciąż jest w ruchu i dążeniu. W takim ujęciu arystokratyzm to dynamika, nieustanna aktywność, twór-

czość. Służby nie uważa za ucisk. Sam sobie ustanawia normy i powinności coraz wyższe.

W dziele swoim Ortega y Gasset rozdział cały poświęca temu zagadnieniu pod nagłówkiem „Życie szlachetne i życie wulgarne, czyli wysiłek a inercja“. Elita reprezentuje wysiłek, masa — inercję. Przyszłość od nas zależy, na jaki typ — elitarny czy masowy — nastawimy organizację życia zbiorowego.

Wybitny ekonomista Warner Sombart zwrócił uwagę, iż historia Europy przez pierwszych dwanaście stuleci od VI w. do r. 1800 doszła tylko do 180 milionów ludności, podczas gdy w fazie następnej do wojny europejskiej skoczyła do zawrotnej cyfry 460 milionów. Sto lat, czyli trzy pokolenia wystarczyły, by wywołać istną powódź ludzi. Rewolucję populacyjną. W parze z nią musi iść rewolucja ekonomiczna. Prof. Ortega y Gasset dodaje do tego rewolucję życia publicznego — rebelię mas.

Przyczyną fizyczną rebelii mas stały się skupiska. Wszędzie pełno ludzi. W miastach, w domach, w hotelach, w pociągach, w kawiarniach. Alejami suną tłumy spacerujące, w teatrach tłumy widzów, na plażach tłumy kąpiących się, w poczekalniach sławnych lekarzy tłumy pacjentów. Samotność w obecnej dobie urasta do znaczenia problemu. Człowiek widzi się stale w masie. I czuje się coraz bardziej masą. Odbywa się w nim przez to proces głębokiej przemiany wewnętrznej.

Jeszcze do niedawna każdy chodził w kieracie swojej roboty, był indywidualnością, myślał o sobie. Teraz mniema, że ktoś inny powinien o niego zadbać. Społeczeństwo, państwo. Dać mu pracę, zabezpieczyć od choroby, zapewnić emeryturę. To mu się należy od zbiorowiska, z którym zrośnięty jest organicznie, on, człowiek masowy. Zresztą ustrój społeczny i polityczny ukształtował w obywatelu to jego nowe

poczucie masowości organicznej. Płyniemy razem niby powódź tragiczna ku niewidocznym przeznaczeniom, kędy znak zapytania. Szubienica, albo łuk triumfalny...

Wiek XIX tworzył szereg rzeczy, nie troszcząc się zbytnio o konsekwencje, co z tego wyniknie. Coś jak naiwne dziecko. Liberałowie, demokraci, postępowcy z przed 30 jeszcze lat, nie mówimy o dawniejszych, przygotowywali rewolucję wewnętrzną w człowieku, rebelię mas, której coraz częściej akompaniuje teraz wojna domowa i plusk krwi.

Obywatelowi przyznawano prawa socjalne i polityczne nie dla jakiejś zasługi, tylko poprostu jako rzecz naturalną i należną. Dano mu technikę i komfort, sam postęp materialny w stopniu dawniej nie do pomyślenia, dostępny naprawdę dla mas. Człowiek przyzwyczał się i to uważać za rzecz naturalną i należną, przychodzącą bez żadnego wysiłku z jego strony. Wystarczy się urodzić w w. XX, aby to wszystko mieć. Można pozostać całe życie biernym, można palcem nie kiwnąć, a przecież się to ma. Prawo używania politycznego społecznego i gospodarczego. Używania ułatwionego.

Obywatela nauczono posługiwać się zdobyczami techniki tak, że stracił poczucie przeszkód. Od aspiryny do automobilu, od przedszkola do uniwersytetu — wszystko ma pod ręką, wszystko mu się należy, ma do wszystkiego prawo bierne.

Równocześnie zaś nie uformowano na miarę nowych czasów i nowych warunków życia — duszy obywatela. Nie ugruntowano w nim podstaw moralnych. Nie podporządkowano żadnej władzy. Nie wciągnięto w orbitę systemu duchowego. A przecież ileż to lat temu zapowiadał i ostrzegał twórca pozytywizmu, August Comte: „Bez nowej władzy duchowej epoka nasza, która jest epoką rewolucji, sprowadzi katastrofę“.

Co było widoczne dla Comte'a w w. XIX, to stało się rzeczywistością w w. XX. Rebelia mas. Tłum używający przywilejów politycznych, społecznych i gospodarczych powstał. Dzieci demokracji wierzące w swą bezapelacyjną suwerenność zbuntowało się przeciwko podstawom organizacji życia zbiorowego. Przeciwko temu właśnie systemowi, który masom zapewnił obecny stan posiadania przywileju.

Prof. José Ortega y Gasset nie przepisuje w swojej książce żadnej recepty na rebelię mas. Stwierdza fakty. Analizuje powstające stąd komplikacje. Zauważa jednak mimochodem, że ruchy faszystowskie i bolszewickie to zjawiska potwierdzające jego tezę o przewadze typu masowego we współczesnej Europie. Rebelia mas triumfująca. Elita podeptana. Szczytem ustroju jest dla autora demokracja liberalna w polityce i w ekonomii. Ergo — wolna konkurencja. Ergo — współzycie z opozycją.

Pięknie, tylko że akurat ta demokracja liberalna doprowadziła do absurdu ustrój społeczny i człowieka pod względem moralnym i teraz czyżby naprawdę mogła go ocalić? Którędy? Skąd ratunek?...

W społeczeństwach obudziły się narody, wyższa forma życia zbiorowego, mająca swoją myśl, ideę odpowiadającą odrębnej kulturze. Rebelia mas wiedzie do katastrofy o tyle, o ile nie ujmie jej nikt w system nowej organizacji, podporządkowanej nowemu duchowi. Czynią to po swojemu bolszewicy, czynią i faszyci. Elitarnie. Opanowując rząd dusz w masach. Przekuwając na miarę swych idei — człowieka.

MIĘDZYNARODÓWKA LOKAI

W r. 1924 działy się w Moskwie dziwne rzeczy. Ferment polityczny i zakulisowa gra wodzów rewolucji doprowadziły do takiego stopnia wrzenia, że z dniem każdym oczekiwano rozładowania, w formie zamachu stanu.

Trockij był wówczas generalissimusem czerwonych wojsk. Jedno jego słowo mogło postawić na nogi armię do walki o władzę, tymbardziej że jego właśnie uważano za ewentualnego następcę Lenina. Jeden ze starej gwardii bolszewickiej, Antonow-Owsiejenko, pisał wtedy do rządu wprost: „Jeżeli włos spadnie z głowy Trockiego, to cała armia powstanie jak jeden mąż, aby bronić tego Carnot'a rewolucji rosyjskiej“.

Ale Stalin nie czekał na rozwój wypadków. Błyskawicznie sprowadził z Charkowa oddanego sobie na śmierć i życie komisarza spraw wojskowych, Frunzego, i jemu powierzył reorganizację personalną armii. Najważniejsze placówki obsadzone zostały momentalnie przez oficerów - stalinowców z Ukrainy. Nim się Trockij spostrzegł, był już otoczony w sztabie i w dowództwie przez ludzi nie swoich. Zaraz po tym i znacznie później nie jeden włos bolszewickiego Carnota, lecz spadały głowy jego zwolenników i przyjaciół dzieciątkami. Bojowcy i rewolucjoniści szli na Sybir, do więzień i pod mur, a Stalin jak panował tak panuje.

W rozgrywce z Trockim w r. 1924 mieści się cały system stalinowski. Odpowiedź na wiele wątpliwości i pytań, które narzuca nam rozwój wypadków w Sowietach.

UCZEŃ MACHIAVELA. Nazywa się Józef Dżugaszwili. Pseudonim rewolucyjny „Stalin“ brzmi nieco pretensjonalnie. Coś niby człowiek ze stali. Ale tak bywa, że ludzie operujący konspiracją, krwią i śmiercią, miewają swoje pretensjonalne słabostki.

Lenin był teoretykiem, twórcą doktryny i zarazem człowiekiem czynu. Bardziej niż Marx. Działał w kierunku realizowania swojej filozofii socjalnej i każdorazowo kontrolował przetwarzaną przez siebie rzeczywistość. Czym? Miarą utopii.

Stalin jako typ to zupełnie co innego. Człowiek aparatu, działacz zawodowy, maszynista rewolucji. Mistrz od nakręcania kółek. Reżyser rzeczywistości konkretnej, bez zainteresowań włąb. Jeżeli kontroluje kiedykolwiek przetwarzaną przez siebie rzeczywistość, to czym? Miarą swojej ambicji. I dlatego jego metody działania wymagają mroku konspiracji. Uderza nagle w ciemnościach. Przygotowuje grunt intrygą. Jest nie dwu — lecz stulicowy. Godny uczeń Machiavela. Uczynił z partii i z Międzynarodówki — bo i jedną i drugą on kieruje — dwa straszliwe narzędzia, które trzyma w ręku.

Pod jego wpływem, z jego inicjatywy, przy jego systemie i mentalności musiały ulec gruntownym i istotnym przemianom podstawy i zasady komunizmu sowieckiego. Stąd wyrastał i szerzył się ruch „trockistów“. Stąd udały zamach na Kirowa. Stąd w końcu ponury spektakl sądu i kary nad Zinowiewem, Kamieniewem i towarzyszami, na co patrzył niedawno ze zdumieniem cały świat.

W łonie III Międzynarodówki musiały z tego powodu również powstawać fermenty i przemiany. Wyraz temu daje książka pod znamienym tytułem „Francja nie będzie krajem niewolników“ (La France na sera pas un pays d'Es-

claves, „les Oeuvres Françaises“, Paris, 1936). Autor — Jacques Doriot.

SĄD NAD KOMUNĄ. Nazwisko to ma dzisiaj swoją sławę. Doriot dosłownie trzęsie całą podparyską gminą Saint-Denis. Słuchają go i wierzą w niego masy robotnicze miejscowych fabryk metalowych, maszynowych i chemicznych. Żywiołowy mówca, ich człowiek, z pośród nich wyrosły i tu pozostający, ich poseł do parlamentu. Pięknie kiedyś powiedział Jaurès: „Rzeka przy ujściu pozostaje wierna swemu źródłu“... Tak Doriot pozostał wierny swoim towarzyszom pracy i walki. Razem z nimi przeszedł ewolucję od komunizmu do nacjonalizmu ludowego. I ten nieprzerwany kontakt Doriota z masami, więcej nawet: jego wierność masom i vice versa zaufanie, jakim go ciągle masy darzą, to wybitnie ciekawe i charakterystyczne dla obecnych nastrojów ludności i stosunków politycznych we Francji. Tak zwany przez komunistów „renegat“ i „zdrajca“ nie jest wcale renegatem ani zdrajcą ludu. Raczej twórcą nowej wiary proletariatu.

Na ewolucję komunizmu sowieckiego Doriot odpowiedział ewolucją polityczną.

— „Gdybym pozostał z nimi, wiercie mi, że siedziałbym na stanowisku wicemarszałka Izby i nosiłbym frak i cylinder. Na szczęście, nie doczekałem się tej przyjemności“... Tak mówił Doriot na wiecu do robotników. I dostał brawo. Bo istotnie, co zrobił, było wbrew karierze osobistej. A masy to cenią. Szanują zgodność czynu z przekonaniami. Albowiem dopóty działacz pozostaje wierny swemu źródłu, dopóki czyn wypływa z przekonania.

Z tego punktu widzenia książka Doriota jest wyznaniem wiary, spowiedzią nawróconego i sądem nad komuną. Przyczem sąd ten wyrokuje na podstawie analizy, przeprowadzonej rzeczowo przez specja i wtajemniczonego w arkana partii.

BURZA NAD AZJĄ. Od defetyzmu rewolucyjnego do obrony ojczyzny. Tę nie byle jaką drogę przebył komunizm francuski. A złożyły się na to dwa elementy kapitalne: jeden polityczny, drugi organizacyjny.

Rosja pragnie zostać panią Azji. Jest coś wiekuistego i mistycznego w tym panazjatyckim imperializmie, który pocarach w spuściznie objęli bolszewicy. Pasja Stalina do spraw chińskich stała się jego namiętnością niemal fizyczną. Zawrotna wysokość. Pan Azji może być panem świata. „Burza nad Azją“ oto marzenie godne pana świata.

Ale, niestety, Rosja w Azji nie jest potęgą jedyną. Imperializmowi sowieckiemu przeciwstawia się imperializm japoński. Tak samo w poczuciu swym wiekuisty i mistyczny. I jednocześnie oparty na żelaznej dyscyplinie i organizacji narodu.

Wojna dwóch imperializmów na Dalekim Wschodzie wymaga bezpieczeństwa na tyłach. Za wszelką cenę trzeba i należy stworzyć antyfaszystowski front ludowy, żeby móc zdusić w zarodku nacjonalizmy. Trzeba i należy użyć Francji jako przeciwwagi zbrojnej dla Niemiec hitlerowskich. Oto racja wszystkich intryg wiodących do podpisania paktu francusko - sowieckiego. Oto zmiana czysto polityczna w ocenie ludzi oraz ruchów społecznych. Nie każdy ideowy komunista będzie dobry, ale tylko i wyłącznie taki, który służy celom politycznym Sowietów. A zatem dobry komunista we Francji powinien być militarystą, patriotą, zwolennikiem i twórcą siły. Równocześnie zaś dobry komunista w Niemczech powinien być pacyfistą, kosmopolitą i defetystą. Tego bowiem wymaga interes Rosji w Azji.

W wywiadzie udzielonym dziennikarzowi amerykańskiemu, Howardowi, Stalin oświadczył, że Sowiety ani w planie ani w intencjach nie miały nigdy na celu wywołania rewolucji światowej; cieszyłyby się wprowadzić, gdyby ta rewolu-

cja wybuchła, ale że to należy do spraw wewnętrznych każdego kraju i Sowiety wtrącać się do tego nie myślą. Mówiąc tak, wódz Rosji i wódz III Międzynarodówki w jednej osobie nawet nie mrugnął.

My za to możemy mrugać znacząco, bo zdobywaliśmy w 1920 r. sztandary z napisem: „My na górze wsieć burżuazji mirawoj pażar razdujem“... Bo pamiętamy, że na XVII Kongresie partii sam Stalin powiedział: „Klasa robotnicza Związku Sowieckiego jest częścią proletariatu całego świata, jego awangarda“... Bo w innym miejscu pisał: „Dyktatura proletariatu jest potężnym i pewnym ośrodkiem ruchu rewolucyjnego na całym świecie“... Bo kiedyindziej mówił: „Triumf socjalizmu w jakimś kraju nie może być celem dla siebie, lecz środkiem do obudzenia i podtrzymania rewolucji w innych krajach“. A gdyby nawet tych i innych dowodów było za mało, to przecież w art. 1 statutu partii komunistycznej Z. S. R. R., której duszą i wodzem jest Stalin, czytamy: „Nowe stowarzyszenie międzynarodowe pracowników założone jest w tym celu, żeby organizować wspólną akcję proletariatu oraz jedną republikę międzynarodową sowietów, która“ i t. d., i t. d. I dalej art. 8 statutu III Międzynarodówki gwarantuje rosyjskiej partii komunistycznej stałą większość w Centr. Komitecie wykonawczym.

Naturalną konsekwencją takiego układu musiało być to co jest. Partie komunistyczne poszczególnych krajów znalazły się w ścisłej zależności od Stalina. Stalin decyduje o planie, o linii, o doborze ludzi na kierownicze stanowiska wszędzie. Stalin dyktuje. Stalin trzyma w garści stalowej. Wódz Rosji za pośrednictwem podporządkowanych Rosji partij komunistycznych ma wpływ na masy świata. Może je urabiać dla celów Rosji. Prowadzić w interesie jej polityki. Aby realizowały — sen ambitnego szaleńca.

STALINIZM. Z talentem nie mniejszym niż w r. 1924, gdy szło o rozgrywkę z Trockim, a z doświadczeniem spotęgowanym tylu latami intryg i gier personalnych, Stalin obsadził partię komunistyczną w Rosji, III Międzynarodówkę i wszystkie P. K. za granicą swoimi ludźmi. Przeprowadzono czystkę zwłaszcza wśród starszego pokolenia partyjnego, które mogło mieć swoje zdanie, swoją myśl, swoje sympatie i ukochania. Nie dosyć wierzyć, że się jest komunistą. Trzeba być „stalinowcem“. Odtąd nie komunizm obowiązuje, tylko „stalinizm“. W kierunku „stalinizmu“ poszła też reorganizacja wszystkich partij komunistycznych na świecie. Specjalną uwagę zwrócono na państwa leżące w orbicie gry wszechświatowej: Francja, Niemcy, Polska, Jugosławia, Chiny, Stany Zjednoczone A. P.

Np. w Stanach Zjednoczonych A. P. większość P. K. opowiada się za Lovestonem, mniejszość za Browderem. Browder jest stalinowcem. Wobec tego nie Loveston, lecz Browder bierze udział w III Międzynarodówce, kreatura Stalina, powolne narzędzie w jego ręku. W ten sam sposób personalny i intrygancki łamie opór w P. K. niemieckiej. Tak samo opanowuje P. K. francuską. Wszędzie obsadza swoje kreatury, dla swoich celów, t. zn. jedynie i wyłącznie dla polityki Rosji.

Międzynarodowa akcja komunistyczna, czyli przede wszystkim socjalna, jest dzisiaj za rządów Stalina w III Międzynarodówce pozorem i maską obliczoną na naiwnych durniów. Pod tymi pozorami i maską oddani Stalinowi nie komuniści, lecz „stalinowcy“, są zwykłymi wykonawcami planów i polityki rosyjskiej. Wszystkie inne cele zostały odrzucone.

III Międzynarodówka przestała być związkiem socjalistów rewolucyjnych. Przeistoczyła się w Międzynarodówkę lokai. Służbę bowiem pełnią ludzie Stalina. Nie jak dawniej mi-

stycy pewnej wiary społecznej, nie realizatorzy utopii, nie żołnierze doktrynera, lecz ślepowykonawcy ambitnego polityka i intryganta. Człowiek ziszczający jakiś swój sen prowadzi do walki żołnierzy. Każdy inny jeżeli uzbraja — to lokai.

PUNKT WIDZENIA PROLETARIUSZA. W książce Roberta Mossé'go „Związek Sowiecki na rozdrożu“ (L'union Soviétique au carrefour) znajdujemy podsumowanie „zdobyczy socjalizmu“ (naprawdę w cudzysłowie). Nierówność płac, własność prywatna chłopów nawet skolektywizowanych, przedsiębiorstwa pracujące na zysk, obowiązujące węzły rodzinne, stopnie w wojsku aż do marszałka, okazałe mundury, sklepy, kawiarnie, dancingi, bary dostępne dla zamożnych, kasta uprzywilejowana materialnie, doprawdy czyż o to warto było walczyć i przelewać tyle krwi, i tyle siać grozy i zniszczenia... Oczywiście, że nie warto. Cóż robić jednak. Życie okazało się mocniejsze od doktryny.

Już nieboszczyk Jaurès przewidująco wyczuwał, iż w nauce Marxa i Engelsa tkwi pewien błąd. Eksperyment sowiecki potwierdził przeczucie Jaurèsa najzupełniej i w formie tragicznej. Chodzi mianowicie o to, że doktryna socjalizmu skonstruowana jest wspaniale, na przesłankach słusznych, prowadzi do wniosków logicznych, ale — nie liczy się z naturą ludzką. Środowisko ekonomiczne kształtuje człowieka. Niewątpliwie tak. Tylko że nie wyłącznie ono jedno. Człowiek pozostaje jeszcze w mocy innych praw, przyrodzonych, moralnych i t. p. Wpływy te ze swej strony formują środowisko ekonomiczne i socjalne. Zapominać o tym jest błędem, który się mści na każdym ustroju doktrynalnym. W Rosji ten błąd zemścił się potwornie, doprowadzając po długim i błędnym kołowaniu do punktu wyjścia: do społeczeństwa znowu klasowego — z kliką biurokracji i wojska na górze.

Czy taki wynik wart tylu ofiar? Oto pytanie brzmiące w naszych czasach dosyć dramatycznie. A gdybyśmy je zadali z dołu, z punktu widzenia proletariatu, to kto wie, czy dla robotnika albo chłopca Stalin wart byłby więcej od Mus-soliniego. Nam się wydaje, że z takiego punktu widzenia, nie ubliżając nikomu, wart Pac pałaca a pałac Paca.

IDEA NARODOWA. Wojna zadała brutalnie kłam so-lidarności proletariatu.

Tyle lat eksperymentu sowieckiego stanowi naukę poglą-dową, do czego można dojść. Do przygotowywania nowej, je-szcze gorszej, większej i straszliwszej wojny o panowanie nad światem. Dosyć tego! zawoła każdy z nas. I krzyknie nie pozwalam. I przeciwstawi się aktywnie III Międzynarodów-ce lokai.

Trzeba mieć odwagę spojrzeć takiej prawdzie w twarz, gdy się było ideowym komunistą. W Anglii nawet labourzy-ści są imperialistami. Italia jest narodowa. Niemcy też, aż do mistycyzmu. Rosja okólną drogą dochodzi również do szowinizmu sowieckiego. Nie ma II Międzynarodówki, nie ma III-ej we właściwym tego słowa znaczeniu. Bankructwo wszystkiego, w cośmy wierzyli. Więc co?...

Idea narodowa. Doriot w niej szuka ratunku. Albowiem w blasku idei narodowej dokonywano czynów najśmiel-szych. W blasku idei narodowej i w ramach własnego pań-stwa odbywały się rewolucje i przemiany ustrojowe naj-bardziej zasadnicze. Zawsze w interesie mas, które poczuły się narodem.

U PODSTAW ANTYSEMITYZMU

Żyd wieczny tułacz. Narysował go Doré w karykaturze tragicznej. Kij pątniczy w dłoni, sucha noga o długiej stopie przemierzająca świat, włosy rozwiane w obłąkanym marszu naprzód. Ahaswer, Kartafilus, Laquedem, czy powiedzmy potocznie — Mendelsohn. On ma w brodzie bez żadnej przesady wiatr ze wszystkich lądów i mórz. Bérenger śpiewał w jakiejś piosence, że należy wystawiać przed dom garnuszek z wodą, aby strudzony miał czym ugasić pragnienie. Ale strudzony sięgnął od garnuszka z wodą po dom. I przestał wędrować. Osiadł.

Wiemy z historii, że Żydzi wiedli pierwotnie żywot koczowniczy. Lecz nomadyzm ich był specyficzny. Kędy szli karawaną, rozsiewali i pozostawiali na stałe swoje placówki (ghetta), niby ogniwa jednego łańcucha stosunków handlowych. Tędy przepływał później towar tam i z powrotem oraz pieniądze. Tak rozpraszały się sami po linii spekulacyjnej, zanim jeszcze rozproszyły ich wojny i zabory obce. Tworzyli dobrowolną diasporę (rozproszenie), po hebrejsku „galut“ (wygnanie). I trwali, nie ruszając się. *Ibi patria, ubi bene*. Tylko pieniądź się ruszał, krążył nieustannie w skomplikowanym systemie operacji bankowych, kredytu i procentów. Koczował, ale znowu specyficznie: wychodził i powracał z zyskiem. Osobliwy ten nomadyzm gospodarczy przy osiadłym trybie życia stał się fundamentem potęgi żydowskiej.

I wywołał coś ponadto. Nomadyzm w duszach. Niepokój rasowy. Chroniczną neurastenię. Mentalność rozwichrzoną

niby broda Ahaswera na wietrze. A w tym znowuż czai się zapowiedź upadku i klęski Żydów.

Onego czasu dyktator Mojżesz zjednoczył rozproszonych i zmobilizował na podbój Ziemi Obiecanej. Poczym rozpełzli się na nowo. I nieraz jeszcze w ciągu stuleci przechodzili proces łączenie się i rozpraszania, zachowując pomimo wszystko przedziwną zdolność mobilizacyjną. Od wewnątrz. Dzięki swoistej organizacji życia zbiorowego i religijnego. Wytworzyli bowiem nadzwyczajną spójność i ciągłość poprzez wieki dziejów i poprzez klasy socjalne. Od tablic z góry Synai i filozofów do rewolucjonistów i ofiar pogromów. Od Hioba na gnoju do baronów Rotszyldów w pałacu.

W Augsburgu musieli płacić florena za godzinę oddychania powietrzem, w Bremie dukata za dzień. Któryś król zakazuje im używać szat barwnych, kąpać się w rzekach „chrześcijańskich“, dotykać produktów żywnościowych. Sobór Trydencki narzuca im obowiązek naszywania czerwonych krążków płótna na plecach dla odróżnienia od wiernych. Filip II wypędza Żydów z granic Francji, lecz po 16 latach wygnania powracają, sownie się opłaciwszy panu i władcy. Następca znowu im konfiskuje majątki i wydala wszystkich, zaś następca następcy przyjmuje od nich łaskawie gotówkę za powrót. I tak w kółko, stosownie do tego, kiedy odczuwano pilniejszą potrzebę pieniędzy w pustym wiecznie skarbcu monarszym. Bezceremonialny system eksploatacji Żydów uprawiano wszędzie, nie tylko we Francji, a przy tym antysemityzm szalał w Europie na przestrzeni 500 lat od XIII do XVIII wieku. Ale co najciekawsze: nigdy państwa nie zmawiają się wszystkie naraz, żeby usunąć od siebie Żydów jednocześnie. Bo byliby wyginęli. A tak uciekają z jednego kraju do drugiego, słono opłacają się to prawda, korzystają jednak wszędzie z okazji „koczowania“, coraz bardziej rozwijają swe interesy i dorabiają się. Biorą udział nawet w wypra-

wach Kolumba. Wytrzymują krwawe pogromy w Niemczech w r. 1300, straszliwe prześladowania i wygnanie z Hiszpanii w r. 1500, wreszcie wściekły atak Reformacji, która przez usta Lutra nazywa Żydów „bydłem złym, przewrotnym, jadowitym; pomiotem diabelskim, zarazą morową, rakiem społecznym“... Znoszą wszystko cierpliwie, albowiem stoi w księdze Izajasza proroka: „Wnijdź, ludu mój, w ciszę domostw swoich, zawrzyj za sobą drzwi i zatajaj się dopóty, dopóki nie przeminie złość wrogów“.

W myśl owych zaleceń Żydzi np. hiszpańscy konspirowali się, pod naciskiem inkwizycji przyjmowali katolicyzm, potajemnie przecież praktykowali wyznanie mojżeszowe.

Judaizm uczyniony został przez Żydów dla Żydów. Nie ma drugiej religii tak ściśle, intymnie i nierozzerwalnie związanej z narodowością. Niepodobna sobie wprost wyobrazić jednej bez drugiej. Jeżeli w ciągu stuleci zdarzało się, że któryś z bardziej buntowniczych umysłów usiłował uchylić klape i wpuścić trochę świeżego powietrza w zatęchłą atmosferę żydowskiego ghetta, to musiał albo ulec albo odejść. Likwidowano próbę momentalnie. Naczynie narodowe pozostawało zamknięte. Życie rodzinne i społeczne musiało się rozwijać w akwarium judaizmu, który siedł w parze z doskonałą organizacją życia gospodarczego. Religia wiązała wszystko w całość nierozpuszczalną, która przez odstępców i wychrtów dokonywała stopniowej penetracji otoczenia obcego narodowościowo, sama wszakże broniła się zwycięsko przed wszelkim wpływem z zewnątrz.

Spełniają funkcje drożdży w cieście ludzkości. Fermentują wśród obcych a nie u siebie. Zdobywają szarże generalskie w armii Napoleona w osobie Masseny (od żydowskiego nazwiska Manasse). Razem z Leninem rewolucjonizują świat. Są jak Judasz z Kariotu w „Boskiej Komedii“ Dantego: głowa

w paszczy potwora (judaizmu), który gryzie, nogi zaś wywijają w powietrzu i kopią.

Sławny, z pewnością ponad miarę swej wartości pisarz francuski, André Gide, głosi, że „Żydzi służą przeważnie ideom, które uważają za wyższe nawet od idei ojczyzny a w szczególności upodobali sobie ideę prawdy i sprawiedliwości“. Mają się niejako za kontrolerów dobra i zła, za rozjemców pomiędzy bogatymi a biednymi w odwiecznym sporze kapitału z pracą.

Znany francuski Żyd, André Wurmser, pisze ze swej strony: „Jestem Żydem nie z religii, lecz z poczucia rasowego i jakkolwiek mógłbym być obojętny w sprawach ras i wyznań w ogóle, to zdecydowany jestem bronić mego charakteru żydowskiego, dopokąd istnieć będzie chociażby jeden antysemita na świecie“. W dalszym ciągu Wurmser opiniuje dość apodyktycznie, że pomiędzy tkaczem z Roubaix, chłopem bretońskim, plantatorem oliwek prowansalskich i winiarzem z Alzacji większe i jaskrawsze istnieją różnice niż pomiędzy intelektualistami: adwokatem mojżeszowego wyznania, lekarzem wolnomyślicielem i urzędnikiem kalwinem.

To nam przypomina pewnego „Żyda mimo woli“, literata niemieckiego Kurta Tucholsky'ego. W r. 1911 wystąpił on z gminy starozakonnej, obrzydził bowiem sobie rabinów i żydostwo. Chciał być tylko i wyłącznie Niemcem. Ale brutalny antysemityzm hitlerowski zbudził w nim drzemiącego Żyda w postaci wcale nie skażonej. Przeciwnie — bojowej. Kurt Tucholsky ubolewać zaczął, że bracia Żydzi nie mają w sobie heroizmu. Cierpią i znoszą, a nie buntują się i nie walczą. Gdyby walczyli, nie daliby się zepchnąć do ghetta. Powinni zatem walczyć.

Heroiczna postawa Żyda Kurta Tucholsky'ego, bunt jego zdawałoby się przezwyciężonej dawno żydowskości, którą wyzwoliła z głębi jaźni koniunktura, — starczy za odpowiedź

Gide'owi. Żydostwo to nie krążek na plecach, który da się odpruć. To nie wyznanie, którego się można wyrzec. To narodowość z krwi i ducha. Stąd nasilenie antysemityzmu w obecnej dobie, gdy w ostrej formie zderzyły się nacjonalizmy z międzynarodówką.

Specjalny numer czasopisma paryskiego „Crapouillot“ (co oznacza armatkę krótkodystansową) został w r. 1936 wydany pod nagłówkiem „Żydzi“ i poświęcony całkowicie kwestii żydowskiej na świecie w ogóle, a we Francji w szczególności. Autor studium Raymond A. Dior atakuje niby antysemitów, lecz odsłania przy tym tak wielką potęgę i tak gruntowną penetrację żydostwa, że szereg artykułów na ten temat wolno porównać do szeregu wystrzałów na alarm.

Żydzi opanowali finanse. Socjalista Guesde nazywa Rotszyldów królewskim domem Francji. Rotszyld rządzi się w III Republice jak szara gęś żydowska. Żydzi trzęsą bankami i kredytem. W Niemczech w r. 1870 założyli „Deutsche Bank“. Przez małżeństwa mieszały się z najwyższymi sferami towarzyskimi.

Załatwienie kwestii żydowskiej we Francji zależy dziś od „wykończenia“ arystokracji. Wygląda to paradoksalnie, ale do tego doszło. Żydzi okupowali nawet podziemia bazyliki Serca Jezusowego jako grupa wychrztów pod firmą „Naprawy Izraela“ z głośnym w Paryżu Max Jacobem na czele. Tkwią w filozofii i literaturze. Siedzą w sztukach pięknych i muzyce. Liczebnie Francja posiada Żydów wszystkiego 250 tysięcy (nie uwzględniając kolonij), a i to widzi się ich wszędzie. Można podziwiać, aktywność i pracę Żydów, cenić za usługi, szanować głowy, lecz ma się ich dość. Łącznie z premierem Leonem Blumem, przywódcą socjalistów i multimilionerem w jednej osobie. „Francja pod Żydem“. Tak pisał z oburzeniem jeden z dzienników w Paryżu.

Antysemityzm francuski datuje się od połowy XIX w. W

r. 1847 niejaki A. Toussenel wydał „podręcznik antysemityzmu“ p. t. „Żydzi królami epoki“ (Les Juifs, rois de l'époque). Dopiero jednak w 1886 r. Edward Drumont rozdmuchał płomień głośną swą książką „Żydowska Francja“ (La France Juive). Właściwy Francuzom umiar i przyrodzona tolerancyjność wyznaniowa panowały nad sytuacją dostatecznie. Aż wyszła sprawa Dreyfusa w r. 1895. Zawrzało. Starły się namiętności. Wszczął się spór o Żyda. A od ognia we Francji zajęło się i wiele innych głów w Europie.

Wówczas odezwały się głosy rozwagi i serca. Głęboko katolicki pisarze Bloy ogłosił następującą inwokację do antysemitów: „Gdyby nawet wszyscy Żydzi byli kanalia (co za niedorzeczność!), to przecież ten jeden był sprawiedliwy i nosił w sobie Obietnicę, Boże słowo honoru... Poza tym wiedzieć, iż co rano pożywam Żyda, którego zowiemy Jezusem Chrystusem; że spędzam wiele czasu u stóp Żydówki, której serce przeszło siedm mieczów boleści; wreszcie że pokładam całą moją ufność w grupie chałcziarzy, jak wy ich nazywacie, a z nich jeden przedstawia Baranka, drugi piastuje klucze królestwa niebieskiego, trzeci ma poruczoną sobie misję nauczania wszystkie narody świata“.

Fryderyk Engels ostrzegął w 1890 r. „Antysemityzm gospodarczy jest reakcją średniowiecznego ustroju socjalnego skazanego na ruinę wobec perspektywy ustroju nowego, w którym mieści się tylko kapitalista i robotnik“.

Lenin przekonywał: „Kapitaliści usiłują wzniecić nienawiść pomiędzy robotnikami na tle różnicy wiary, różnicy narodowości i różnicy rasy“.

A na to Adolf Hitler: „Kiedy zobaczyłem, że Żyd był wodem Socjal - Demokracji, łuska spadła mi z oczu“... Gauleiter Frankonii, Juliusz Streicher, przywódca ruchu antysemickiego w Niemczech, powołał do życia „Światową Ligę Prze-

ciwżydowską“. Zjazd światowy antysemitów odbył się w Norymberdze w r. 1935.

MIT PAŃSTWA ŻYDOWSKIEGO. W r. 1882 pewien Litwak, niejaki Leo Pinsker wyemigrował do Palestyny i tam napisał książkę o wyzwoleniu narodowym żydostwa. Książkę spotkało powodzenie. Zamajaczyło odrodzenie Ojczyzny rzeczywistej. Realizacja mitu żydowskiego zawartego w bezna dziejnych dotąd słowach życzeń noworocznych: „Na przyszły rok w Jerozolimie!“ Obraz ojczyzny rzeczywistej dojrzał i rozkwitł najpierw w duszy Teodora Herzla. Kijem w mrowisku każdego ghetta stała się książka Herzla „Państwo żydowskie“. Stąd wyrósł sjonizm. Herzl życie zakończył w 1904 r., lecz w spuściźnie pozostawił dwie założone przez siebie instytucje: „Jewish Colonial Trust“ i „Jewish National Fund“ na wykup terenów w Palestynie.

Wojna zrealizowała ideę Herzla o tyle, że w r. 1917 Anglia ogłosiła deklarację Balfoura w sprawie Palestyny. Na czele światowego ruchu sjonistycznego, czyli planowej emigracji Żydów do Palestyny, stanęli: historyk Nachum Sokołow (niedawno zmarły) i chemik Chaim Weizmann. Istnieje już uniwersytet hebrejski w Jerozolimie, elektrownia na Jordanie, teatry, fabryki, ogrody, plantacje, wzorowe gospodarstwa pojedyncze i kolektywne, całe miasto modern Tel-Aviv. Liczba ludności żydowskiej w Palestynie doszła do 400 z górą tysięcy. Pomału kształtować się począł nowy typ dzielnego obywatela żydowskiego, dumnego z posiadania własnej rzeczywistej ojczyzny... Gdy wtem...

W 1922 r. Anglia publikuje t. zw. „White Manifest“, w którym potwierdza Arabom ich prawo odwieczne do Palestyny. Arabowie stanowią tam większość. Żydzi mniejszość. Rozpoczynają się tarcia arabsko - żydowskie, awantury, pogromy, wreszcie w r. 1936 prawdziwa wojna antyżydowska.

Idea sjonizmu zawisła tym samym w powietrzu. Marzenie Herzla uderzyło o ślełą ścianę komplikacji narodowościowych. A gdyby nawet tych komplikacyj nie było...

Clemenceau obdarzony kapitalnym poczuciem rzeczywistości ocenił kiedyś ideę sjonizmu lapidarnie, ale trafnie. W rozmowie z wybitnym sjonistą zapytał: „Możecie przyjąć 15 milionów Żydów? Nie? No to nie zawracaj mi pan głowy tą Palestyną!“...

NOWA MYŚL KOLONIALNA

Wczasach młodości górnej i chmurnej rzucił mnie los do Południowej Ameryki. Znalazłem się na wielkim szlaku emigracji, w prądzie, który porywał i niósł typy z całego świata. A więc nędzarzy wędrujących za chlebem, łazików różnego autoramentu, uciekinierów politycznych, ludzi gnanych żądzą przygód i nieopanowaną tęsknotą przestrzeni, awanturników, marzycieli i t. d. i t. d. Wśród nich wybijał się na czoło typ kolonizatora i zdobywcy. Tego się nikt nie nauczy. To trzeba mieć w żyłach, należeć do rasy specjalnej Kolumbów i Pizarrów. I nie można powiedzieć, żeby Polacy byli tej właśnie rasowości pozbawieni. Mają jej w sobie aż nadto. Świetny materiał na założycieli i twórców kolonii.

To też musiałem sobie to przypomnieć, kiedy rzeczywistość Polski niepodległej takie zagadnienie stawia nam przed oczyma. Stawia w enuncjacjach oficjalnych.

Oświadcza min. Beck dn. 29 stycznia r. 1936 na Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu R. P.: „Sprawy kolonialne. Mówi się o nich dziś dość dużo, niektórzy aktualnie biją się nawet o to. Jesteśmy na progu jakby dojrzewania nowej koncepcji zagadnienia kolonialnego. Przedstawiciel największego mocarstwa kolonialnego Sir Samuel Hoare powiedział, iż przewiduje możliwość i potrzebę międzynarodowego porozumienia co do podziału źródeł surowców jak i spożytkowania ludzkiej pracy na świecie. Sądzi on, że szukać tego trzeba na drodze porozumienia pokojowego. W Genewie zaznaczyłem w odpowiedniej formie, że rezerwujemy

sobie powrót do tej sprawy w przyszłości. Przy rozpatrywaniu tego problemu w drodze porozumienia międzynarodowego nasze państwo będzie miało oczywiście równe prawo i równą możność zaspokojenia swoich interesów“.

Oświadcza min. Beck dn. 18 września r. 1936 w Genewie: „Korzystam ze sposobności aby wyrazić nadzieję, iż skład stałej Komisji Mandatowej będzie mógł się stać przedmiotem badań w kierunku rozszerzenia Komisji, co umożliwiłoby stworzenie w jej łonie reprezentacji również dla innych państw, które dla różnych względów interesują się żywo niektórymi problemami dyskutowanymi przez Komisję Mandatów“.

Tu Warszawa, tam Genewa. Oba oświadczenia wiążą się z sobą i ujawniają konsekwentną linię zamierzeń i prac. Polska polityka zagraniczna podjęła zagadnienie kolonii. Otwierają się przed nami perspektywy dalekie. Polski kolonizator i zdobywca żąda dla siebie głosu i miejsca.

Linia dyplomatyczna musi się liczyć z sytuacją prawną, która obowiązuje w stosunkach międzynarodowych. Bazą zaś tej sytuacji w dziedzinie kolonialnej jest artykuł 22 Paktu Ligi Narodów. W streszczeniu brzmi on jak następuje:

Na skutek wojny europejskiej pewne kolonie przestały być własnością pewnych państw. A że ludy tubylcze jeszcze nie dorosły do tego, by mogły same stanowić o sobie, przeto do paktu Ligi należy włączyć dla nich gwarancje zasadnicze. Oto one. Ludy cywilizacyjnie niedorosłe powierza się pieczy narodów cywilizowanych, które wykonywać będą opiekę w charakterze mandatariuszy i w imieniu Ligi. Mandaty są trzech stopni. Pierwszy (A) obejmuje zbiorowiska przynależne niegdyś do Imperium Ottomańskiego. Osiągnęły one taki stopień rozwoju, że egzystencja ich, jako narodów niezależnych, może być prowizorycznie uznana. Co więcej, uwzględni się ich życzenie w sprawie wyboru tymczasowego

mandatariusza. Stopień drugi (B) obejmuje ludy przeważnie osiadłe w Afryce Środkowej. Administrowanie tymi terenami zleca się mandatariuszowi pod warunkiem utrzymania otwartych drzwi w dziale wymiany i handlu dla pozostałych członków Ligi. Stopień trzeci (C) obejmuje ludy Południowo-Zachodniej Afryki i niektórych wysp na południowym Pacyfiku. Włącza się je terytorialnie i administracyjnie do sąsiadujących kolonii mandatariusza. W każdym razie mandatariusz winien Radzie Ligi składać co roku raport szczegółowy z terenu, który opiece jego został powierzony. Ze swej strony Rada Ligi powołuje do życia stałą Komisję Mandatową i jej porucza kontrolowanie owych rocznych raportów, tudzież opiniowanie przed Radą odnośnie wykonywania mandatów przez mandatariuszy.

PODZIAŁ ŚWIATA. Zagadnienie kolonialne ma w dziejach świata dwie fazy. Pierwsza bardzo dawna, najstarsza, odwieczna, pod znakiem wypraw morskich albo wypraw w głąb lądu. Cortez, Jermak, Cook, La Perouse, ruch na Far-West amerykański... Kolonizacja raczej wybrzeży, opanowywanie terenów po wierzchu, posuwanie się faktoriami handlowymi, zakładanie punktów gromadzących surowce. Druga faza to wiek XIX. Dwa nazwiska — niby symbole: Livingstone i Stanley. Jako dzieci, pożerani wzruszeniem i ciekawością czytaliśmy „Tajemnice Afryki“. Kolonizacja idzie w głąb, zdobywa ludzi, organizuje, staje się prawdziwą szkołą charakterów. Wytwarza niezwykle typ „eksploratora“, w szlachetnym i wspaniałym tego słowa znaczeniu, łączy bowiem w jednej postaci cechy żołnierza, dyplomaty, polityka, męża stanu. Eksploratorami dla Francji byli Baratier, Francis Garnier, Marchand oraz tacy wodzowie jak: Mangin, Gouraud, Joffre, Gallièni, Lyautey i inni. Prokonsulowie w rzymskim rozumieniu. Twórcy Francji zamorskiej od rubieży Afryki aż do Indo-Chin. Wykuwali potęgę często nawet wbrew rządo-

wi własnego kraju. Ich pędowi zdobywczemu, ich pracy pionierskiej Francja zawdzięcza blask i chwałę swego imperium kolonialnego, które zrealizowane zostało na przestrzeni kilkudziesięciu lat w. XIX. W tym czasie Belgia zdobywa swoje kolonie dzięki inicjatywie króla Leopolda II. Anglia swój stan posiadania utwierdza i zaokrągla. Inni również.

W ten sposób nastąpił jak gdyby podział świata pomiędzy mocarstwa europejskie przypieczętowany traktatem berlińskim w 1885 r. Wojna światowa wprowadziła szereg uzupełnień, poprawek i zmian. Najpierw rozbiór i przydział kolonij niemieckich i dóbr ottomańskich. Następnie osobliwy czynnik, który w skutkach okazać się może nieobliczalny. To nowa forma i nowy duch przydziału. Nowe zgoła podejście do zagadnienia kolonialnego. Mandat. Kontrola Ligi Narodów nad jego sprawowaniem. Odpowiedzialność za rządy w koloniach przed opinią międzynarodową. Poprostu nowa koncepcja kolonialna. Dotychczasowy, uświęcony tradycją i prawem podział świata zachwiał się w swej podstawie.

Italia w grafikonach propagandowych przedstawia taki oto obraz świata od strony zagadnień kolonialnych. Wielka Brytania na 47 milionów ludności w metropolii posiada w koloniach 470 milionów czyli 10 razy więcej; Francja na 42 — 62 i pół, 1½ razy więcej; Holandia na 8 — 62 i pół, 8 razy więcej; Portugalia na 6 — 10 i pół, 2 razy więcej; Belgia na 8 — 12 i pół, 1½ razy więcej, Italia na 44 — 2 i pół (przed zdobyciem Abisynii), czyli 18 razy mniej. Gdy, jak widzimy, jedne państwa mają nadmiar, inne formalnie duszą się. Gdzie tu jest, relatywnie biorąc, sprawiedliwość i sens?...

Taka Japonia liczy 100 milionów mieszkańców. Opanowała Taiwan (Formozę) i Koreę. W r. 1919 otrzymała mandat na część byłych kolonij niemieckich na Pacyfiku. A tymczasem roczny przyrost ludności w Japonii wynosi milion. Jak oni mają żyć, kędy się podziewać? Muszą emigrować na Fili-

piny i Hawaje, do Ameryki i Australii, muszą się wylewać do Chin. Problem ludnościowy torpeduje wszelką stabilizację kolonialną. Życie brutalnie rozdziera i depce papierki praw przypieczętowane traktatami.

Statystycy obliczają, że świat może swobodnie wyżywić jeszcze cztery razy tyle ludzi. Świetnie. Tylko pierwszej należałoby użyć piaski Sahary, zaorać stepy i pustynie Azji Środkowej, zająć się płaskowyżem Iranu, wykarczować i spalić puszcze w Ameryce Południowej. Kompleks kolosalnych robót inwestycyjnych na setki lat. To mocno komplikuje obliczenia statystyczne i uniemożliwia realizację ścisłych danych. A czekać nie wolno. Bo w Italii przybywa rocznie 500 tys. nowych ludzi, w Polsce 500 tys. i t. d. i t. d. Liczby nie matematyczne, lecz życiowe. Masy nie zer, lecz indywidualności. Przyływ aktywu, temperamentu i woli. Przyrost energii i działania. Niby natłok pary w kotle na ogniu. Wybuch tej stłoczonej siły musi rozsadzić dotychczasowy stan posiadania kolonialnego.

Emigracja z Włoch wynosiła w 1913 r. 872 tys., w 1920 r. — 614 tys., w 1925 — 279 tys., w 1932 — 83 tys., w 1934 — 68 tys. Im szczelniej zamyka się kłapa odpływu, tym bliżej jesteśmy momentu katastrofy. Pierwszym sygnałem niebezpieczeństwa stała się wojna italo - abisyńska. Wybuch jej był nieunikniony. Uchylić ją można było zawczasu przez pokojową rewizję kolonialnego stanu posiadania. Przez złagodzenie nierówności. Niestety, czynniki, od których to zależało, nie chciały na to pójść. Życie tedy zerwało tamę prawa papierowego, polała się krew, naród z bronią w rękę wprowadził korekturę.

Tak musi być i tak będzie. Ludzie rozsądni nie mogą nad tym faktem przejść do porządku. Rządy przewidujące winny z ostrzeżeń wyciągać odpowiednie wnioski na przyszłość. Rewizja dotychczasowego podziału świata staje się koniecznością

życiową, warunkiem pokoju i równowagi. Dla jednych kwestią błahą — ustąpienia z nadmiaru. Dla innych kwestią życia i śmierci. W tej liczbie i dla nas.

Na szczęście są ludzie rozsądni i przewidujący. Zaczyna się mówić coraz częściej i coraz głośniej o rewizji zagadnienia kolonialnego. I jako motywy po temu dostateczne wysuwa się dwa: przeludnienie i brak surowców.

Przeludnienie nie wymaga tłumaczenia. Wystarczy przykład wzięty z natury. Istnieje pewien gatunek raków morskich. Kiedy robi im się w skorupie własnej za ciasno, wszczynają walkę z gatunkiem większym, a są tak zacięte, że prawie zawsze zwyciężają i sadowią się w zdobytym obszerniejszym pomieszczeniu. Tak i my. Bylibyśmy światem tępiących się nawzajem bez litości raków morskich, gdyby nie możliwości rozstrzygnięć pokojowych i kompromisu.

Brak surowców znaduje zrozumienie należyte dziś niemal u wszystkich bez wyjątku. Zasada otwartych drzwi w życiu kolonialnym bynajmniej nie wystarcza, ponieważ nie przestaje nas uzależniać od walut obcych, które w danej kolonii mają kurs obowiązujący. To też Anglicy idą dalej. Zgadniają się na rewizję *status quo* kolonialnego od strony podziału źródeł surowców. A Lloyd George głosi nawet: „Nie sądzę, abyśmy mieli pokój bez rozpatrzenia mandatów kolonialnych“.

Pod naporem życia kształtuje się opinia publiczna, pod jej zaś wpływem kto wie czy już w ciągu najbliższych lat nie odbędzie się konferencja międzynarodowa w sprawach kolonialnych. Polska na niej musi być! Oby tylko z wyczuciem głębokich przemian, jakim ostatnio uległa myśl kolonialna świata.

Artykuł 22 paktu Ligi aż się prosi o uzupełniające prace — opracowanie szczegółów, które w istocie detalami nie są. Byłoby to ujęcie nowej myśli kolonialnej świata w formę statutu. Magna Charta mandatów. Między innymi musiałyby być prze-

widziane sankcje na wypadek złej gestii, odwołanie mandatariuszą, wybór innego, wygaśnięcie mandatu, przyjęcie kolonii wyzwolonej w poczet członków Ligi i t. p. Wszystkie te kwestie, jakkolwiek spornie dadzą się rozpatrywać, prowadzą do zasadniczej reformy koncepcji kolonialnej. Albowiem system mandatów nie jest wyrazem przemocy, ani nie jest umową społeczną pomiędzy mocarstwem a kolonią. System mandatów ma z punktu widzenia prawa charakter służby publicznej. I to czyni kapitalny wyłom w pojęciach ustalonych. Tworzy precedens w skali międzynarodowej. Budzi ferment w regionach najdawniej skolonizowanych. Niesie w sobie groźbę najskrajniejszych, omal nie rewolucyjnych przemian. Od cynicznej kolonizacji rabusiów do odpowiedzialnej służby publicznej.

Jeżeli w swej fazie pierwszej kolonizacja była powierzchowną, w drugiej — już uziemioną i organizującą, to dziś stajemy na progu fazy trzeciej — humanizmu kolonialnego. Kolonizator dojrzał nareszcie człowieka miejscowego, jął się z tym liczyć, postanowił z nim współżyć i współdziałać. Skonstatował ponadto, że ziemia kolonialna ma swój specyficzny walor i smak i że trzeba je umieć wydobyć. Pedagogicznie, a nie rabunkowo. Zatem precz z kolonizacją rabusiów! Tylko człowiek może kolonizować ludzi. Człowiek selektywnie dobrany, jako że kroczy w awangardzie cywilizacji, w misji delikatnej.

HUMANIZM KOLONIALNY. W arcyciekawej książce francuskiej Oliviera Lacombe'a „Prawo kolonizacji“ (*Droit de colonisation*, Blond et Gay, Paris) znajdujemy poniekąd filozofię tematu. Kolonizacja nie jest zjawiskiem zakończonym. Kolonizacja trwa. Dlatego ma sens filozoficzne podejście do zagadnienia, wyrobienie postawy wewnętrznej kolonizatora. Ona bowiem decyduje o metodzie akcji kolonialnej.

Narody maszerują krokiem nierównym. Jedne spieszą, inne spóźniają się. To komplikuje i wikła oddziaływanie wzajemne. Naród bardziej zaawansowany wpływa na powolniejszy w marszu. Wpływ sący się dwiema drogami: materialną — przez wyższy system produkcji i techniki, oraz duchową — przez siłę bazy intelektualnej i ład życia zbiorowego. Żadne bariery celne, żadne granice nie są w stanie odgradzić. Wpływ postępuje nieprzerwanie. Pod tym względem człowiek ma prawo do całego świata i prawa tego nikt mu nigdy nie odbierze. Gospodarcze, demograficzne i duchowe nierówności i dysproporcje dążą do wyrównania się i zrównoważenia. Tu leży racja ruchów kolonizacyjnych. Można by powiedzieć, że im mniej dany kraj należy do swoich obywateli, tym szerzej otwiera się dla wszystkich obcych. Z tego punktu widzenia kolonizacja jest niejako transfuzją krwi, podciąganiem na wyższy szczebel cywilizacyjny. Tym się tłumaczy zadziwiający fakt, że bez względu na najwstrętniejsze metody kolonialne, właśnie pomimo nich i wbrew nim, w efekcie ostatecznym budzi się w krajach kolonialnych samowiedza narodowa.

Trzecia faza kolonizacji — humanizm kolonialny, w który wstępujemy, wychodzi tej samowiedzy narodowej na spotkanie. Człowiek biały podaje rękę człowiekowi kolorowemu.

EURAFRYKA. W Trypolitanii Italia poczyniła szereg kosztownych wkładów, a jak dotąd zdołała tam umieścić zaledwie 20 tys. Włochów. Czy wobec tego ma poważne szanse penetracja włoska w bardziej oddalonej i trudniejszej Abisynii? To jedno pytanie. A drugie: czy w ogóle da się sharmonizować emigracja masowa z kolonizacją? Oczywiście, w postaci dotychczasowej — nie. Musi być jak najrychlej wyeksperymentowany z całą odwagą sposób odmienny, odpowiadający duchowi humanizmu kolonialnego i jednocześnie potrzebie chwili.

Belgowie organizują w Kongo kolektywy młodzieżowe pod hasłem „Afryka jutrzejsza“. Nie traktują tubylców niczym bydła roboczego na swoich plantacjach, tylko obok czarnych skupisk rolnych zakładają białe kolektywy agrarne. Co z tych prób pionierskich wyrośnie, zobaczymy. W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że jedno: nowe oblicze Afryki.

W 1910 r. zwrócił na Afrykę uwagę świata Onésime Reculus swoją broszurą „Puśćmy Azję, bierzmy się za Afrykę“. Opanowany prawdziwą mistyką Afryki, Marszałek Lyautey twierdził w 1913 r., że wartość globu tam się decyduje, na czarnym lądzie. Georges Valois zaproponował całej Europie udział we wszechstronnej rozbudowie Afryki (książka „l'Afrique, chantier de l'Europe“, Cahiers bleus, Paris 1931). Afryka jako warsztat współpracy międzynarodowej, gigantyczna dziesięciolatka jako rozwiązanie światowego kryzysu.... Z tych pomysłów, wcale nie tak utopijnych jakby się zdawało, zrodziło się realnie w Paryżu w 1931 r. Towarzystwo Studiów Afrykańskich pod nazwą „Eurafryka“. W dalszym ciągu posypały się niby z rogu obfitości różne inne projekty i plany, celem których jest wciąż Afryka, pole ekspansji europejskiej. Stąd prawdopodobnie dojdzie do skutku Konferencja Eurafrykańska, a z niej wyłoni się na stałe Komitet złożony z przedstawicieli państw mandatowych, z gubernatorów afrykańskich i delegatów terytoriów niepodległych. Byłoby to coś w rodzaju rządu eurafrykańskiego. Utopia ta ma dane, żeby zstąpić na ziemię. Tymbardziej, że chodzi nie o nowy podział Afryki, lecz o organizację współpracy międzypaństwowej na terenach Afryki w ramach nowej myśli kolonialnej. I nowej polityki kolonialnej z podejściem od strony białego i kolorowego człowieka na prawach wyrównywanych.

Zaródź nowych czasów, zapowiedź nowych form współpracy na arenie świata i nowej treści, tkwi w nowej myśli kolonialnej.

Z KIEPSKA PO WĘGIERSKU

Przeczytałem o zgonie Gömbösa, premiera Węgier, w słoneczny dzień jesienny, pod ostatni zdawałoby się przeblask babiego lata. Przed kościołem polatywało rażno stado gołębi, wywołując na tle starych murów drugie stado latających cieni. Trwanie nasze czyż nie jest jak przelotny cień na murze... Jak cień lotów gołębic czyż nie mija bez śladu nasz dorobek... Bo pomyślałem sobie: co pozostawił trwałego ten, który oto odszedł, a dopóki żył uchodził nieomal za dyktatora? Nie walka polityczna, lecz śmierć wyrwała mu władzę z rąk. Jeżeli więc był siłą w swoim kraju, to pytamy, co zmienił, lub co usiłował zmienić, żeby działał się inaczej, lepiej, mocniej, sensowniej...

Czesi nienawidzili go. Karierę jego nazywali awanturniczą. Arrywista idący do władzy przez trupy i krew. „Desperado” polityczny, który — powiadali — wystawia czeki bez pokrycia na jakiś przyszły bank szczęśliwości narodowej. Albo że rozum ma w Rzymie, a serce w Berlinie, co miało być aluzją do sympatyj faszystowsko - hitlerowskich. Ale Czechom nie dziwota. Nie mogli mu nigdy darować jego nieprzejednanego rewizjonizmu i niewygasłej pretensji do Słowaczyny i Rusi Przykarpackiej.

Swoją drogą życie Juliusza Gömbösa sprawiało wrażenie jak gdyby scenariusza filmowego pełnego przygód i romansu. Sam fakt, że rozwiódł się z pierwszą żoną, ożenił z drugą, a po jej śmierci powrócił do pierwszej, już ma posmak sensacji.

Skończył szkołę sztabu w Wiedniu. Ranny na froncie ru-

muńskim powraca do Wiednia i stąd, pod wpływem prądów rewolucyjnych wywracających monarchię austro-węgierską, ofiaruje swe usługi Karolyi'emu. Posiada gotowy przepracowany plan reorganizacji armii w duchu socjalistycznym. Tymczasem komuna opanowuje rząd w Budapeszcie. Na czele Węgier staje Bela Kun, czy jak chcą inni, zwyczajny Kohn. Gömbös z Horthy'm w Szegedynie przygotowują kontrrewolucję. Po czerwonym terrorze Beli Kuna przychodzi ich biały terror. Wojskowi mordują Żydów, nie oszczędzając kobiet ni dzieci. Wybucha gwałtownie nacjonalizm gospodarczy, połączony z antysemityzmem. Równocześnie rozpoczyna się walka z liberalizmem, pacyfizmem i socjalizmem, z tym „jak kto chce”. Głosi się dyscyplinę, rygor i „tak musi być”.

W całym tym ruchu Juliusz Gömbös bierze udział bardzo żywy i odgrywa rolę coraz większą. Najpierw jest razem ze Stefanem Bethlenem, który bez przerwy w ciągu lat 10 piastuje tekę premiera. W r. 1923 odchodzi od Bethlena i formuje faszystów węgierskich. Pojednany z Bethlenem w 1928 zostaje ministrem spraw wojskowych. W 1931 r. obejmuje prezesurę gabinetu.

Długą bądź co bądź drogę od kapitana w 1919 r. do premiera w 1931 r., najeżoną nie bylejakimi trudnościami, Gömbös przebył w tempie przyspieszonym. Powodowany ambicją, popychany szczęściem, przede wszystkim zaś wierny swemu głosowi wewnętrznemu, o którym mógł powiedzieć słowami Don Carlosa Schillera: „Mich ruft die Weltgeschichte“... Wołała go istotnie historia świata.

Sławny biograf największych znakomitości świata, Emil Ludwig, dzieli swoich „żywych” bohaterów na trzy zasadnicze typy: sługa ludu, jak Briand, Masaryk, Rathenau; pogromca ludu, jak Mussolini, Hitler, Stalin; i oportunistą jak Venizelos i Lloyd George. Oczywiście klasyfikacja ta nie wytrzymuje krytyki jako zbyt uproszczona, nikt bowiem nie mo-

że być wyłącznie takim a nie innym, każdy jest raczej mieszaniną wszystkich typów. Natomiast jedna cecha przeważa niewątpliwie i musi tkwić w każdym z tych zdobywców politycznych. To wrodzony organiczny pęd do reform. Każdy stara się być reformatorem tej rzeczywistości, którą zastaje. Każdy ją usiłuje zmienić, przetworzyć, pokierować po swojemu. Pod tym względem wszyscy bez wyjątku należą do pokolenia wielkiej reformacji społecznej wieku XX.

Swoją plan reformy państwa Gömbös ujął w 1932 r. w rodzaju „statutu“ o 95 artykułach. Zaraz w pierwszym głosi, że państwo winno być narodowe i samowystarczalne. W drugim, że na zewnątrz przysługuje mu rola godna przeszłości, tudzież obecnego położenia geopolitycznego. W trzecim, iż w poczuciu sprawiedliwości i prawa dążyć będzie wszelkimi możliwymi sposobami, rozumie się pokojowymi, do rewizji traktatów. I tutaj stop. Więcej artykułów nie potrzeba. Pozostałe są zbyt szczegółowe i zbyt rozwlekłe, żywcem niejako wycięte z przeciętnego exposé przeciętnego premiera. Podczas gdy właściwie chodzi o dwa tylko punkty: 1. co należy robić na zewnątrz i 2. jak w tym kierunku iść na wewnątrz, by wydobyć siłę. Innymi słowy: co ruszyć najpierw i jak przebudować, żeby z tego powstała moc państwowa do gry w polityce zagranicznej. Zagadnienie kapitałne spędzające sen z powiek całego pokolenia wielkiej reformacji społecznej wieku XX. Zagadnienie to stało także przed Gömbösem, jak stało przed każdym ministrem w Polsce. I każdy tu i tam musi na nie odpowiedzieć w sumieniu i w akcji.

REWIZJONIZM PIERWSZĄ RACJĄ STANU. Węgierscy fanatycy rewizjonizmu używają na powitanie takiego zawołania: „Nie, nigdy!“ Co znaczy: nie zgadzam się i nigdy nie pogodzę się z tym co jest. Noszą też w klapie marynarki specjalny znaczek przedstawiający mapkę w miniaturze. I na

niej pokazują, jakie były Węgry przed traktatem w Trianon, a jakie są dziś.

Rzeczywiście. Z 282.870 klm² powierzchni zabrano im 191.756 czyli 68%. Z 18.265.000 ludności — 10.782.500, czyli 58,2%. Poza tym stracili złoto, srebro, miedź, sól i kopalnie węgla. Dalej: 90% bogactwa leśnego, 65% winnic, 52% przemysłu fabrycznego, 57% ziemi uprawnej, 52% produkcji zbóż, 56% koni, 69% bydła. Pozbawiono ich dostępu do morza. Następnie, co najważniejsza, w liczbie 10 przeszło milionów ludności odebranej Węgrom i przekazanej państwowom sąsiednim, znajduje się około 4 milionów Madziarów. To rani głęboko ich ambicję narodową. To jest najgorsze. To nie pozwala przejść do porządku nad traktatem w Trianon. Stąd musi powstać słuszna myśl o rewizjonizmie i odwecie.

I dlatego kanonem polityki zagranicznej Węgier jest i będzie rewizjonizm jako pierwsza racja stanu. Nie powrót do *status quo* z przed wojny europejskiej, ale w każdym razie powrót madziarskich mniejszości narodowych z państw ościennych na ojczyznę łono. Naturalnie wraz z ziemią.

REFORMA ROLNA JAKO ŹRÓDŁO SIŁY. Przechyla wagę na swoją stronę ten, kto więcej waży. Wyraźniej mówiąc, kto posiada siłę. Siła to argument jednakowo niezbędny w rozgrywce wojennej jak i ugodowej na forum świata. O sile państwa decyduje potencjał narodu — materialny i duchowy. W tym kierunku musi iść koniecznie wszelka reforma wewnętrzna, mniejsza lub większa przebudowa kraju gospodarcza i socjalna. Naprzód zaś wysuwa się to, co było dotąd najbardziej zaniedbywane i zacofane. Stąd hierarchia reform. Ich układ w czasie. I nasycenie radykalizmem.

Blisko połowa ludności Węgier żyje z rolnictwa i hodowli. Od 1930 r. ceny płodów rolnych i hodowlanych spadły pra-

wie do zera. Nędza wsi węgierskiej jest obecnie taką samą oczywistością jak i nędza wsi polskiej. A przy tym 600 tys. gospodarstw karłowatych, z których nawet w dobie dobrej koniunktury trudno żyć. I jeszcze z górą milion chłopów bezrolnych, którzy w obecnym stanie poprostu nie mają o co rąk zaczepić. To stwarza sytuację osobliwą, że chłop, ta najkonkretniejsza podpora państwa, ten rdzeń odżywczy narodu, ta wiekuista rezerwa potencjału materialnego i duchowego, — usycha, marnieje i słabnie. Chłop woła o zdrowie. Ziemia woła o lepszy, rozsądniejszy podział. Warsztat rolny woła o racjonalniejszą, sensowniejszą strukturę. Przez nich państwo doprasza się o siłę. Zupełnie tak samo w Węgrzech jak w Polsce.

Bo $\frac{1}{3}$ ziemi uprawnej znajduje się w ręku 980 magnatów. Bo $\frac{1}{6}$ w ręku 1112 obszarników. Taki np. ks. Paweł Esterhazy ma 221.000 arpentów (stara miara powierzchni w Galii; 1 arpent = 6.000 mtr²); ks. Festitis 96.118; margraf Alfons Pallavicini 56.600; diuk Koburg-Gotha 45.000; arcyks. Fryderyk 41.000; hr. Michał Esterhazy 37.000; hr. J. Karolyi 37.000 itd itd. Około 30 właścicieli posiadających każdy powyżej 10.000 arp. Iluż — powyżej 3.000 arp. i znów itd. itd. Aż wreszcie reszta to tak zwany proletariat wsi. On jest najliczniejszy. A przecież on, chociaż nie w tej postaci, decyduje o sile państwa..

Projekt reformy rolnej Gömbösa przewiduje zniesienie latyfundiów oraz wywłaszczenie większych majątków na rzecz chłopów. Maximum posiadania określono na 3.500 arp. Powinna więc nastąpić jak gdyby migracja wewnętrzna, kolonizacja chłopska na rozparcelowanych obszarach dworskich. Zważywszy jednak, że ani państwo nie dysponuje dostatecznymi funduszami na szybkie przeprowadzenie reformy rolnej, ani tymbardziej chłopci nie są w stanie ziemi tej wykupić, przeto węgierska Izba Panów pokłada nadzieję w Bogu,

iż projektowana reforma rolna długo jeszcze pozostanie w sferze dobrych chęci pokolenia reformacji socjalnej z Gömbösem na czele. A przecież reforma rolna to źródło siły, to przebudowa Węgier.

Pliniusz starszy wyprorokował Rzymowi, że latyfundia go zgubia. *Latifundia perdidere Italiam*. Rewolucja francuska obaliła wielką własność ziemską bez skrupułu. Ustawa z 1905 roku zlikwidowała resztę wielkich posiadłości o powierzchni ogólnej 234.151 ha. To też Francja od 150 lat ma zdrową strukturę rolną i między innymi dla tego właśnie ma siłę. Albowiem jedno i drugie idzie ściśle w parze. Równowaga warsztatu rolnego z siłą państwa.

W Węgrzech toczy się z tego powodu walka od stu lat, przyczym zaognienie największe notowano w okresie od 1889 do 1904 r. Tylko bez rezultatu. Wszystko jest po staremu, po węgiersku. Po Traktacie w Trianon, który zmniejszył znacznie obszar państwa, sprawa przedstawia się o tyle gorzej, że 62% latyfundiów przedwojennych pozostało w granicach obecnych. To daje taką koncentrację własności ziemskiej, że od byle ruchu może się ona wywrócić. To wreszcie tamuje rozwój i postęp wsi węgierskiej. Oto dlaczego z projektu reformy rolnej Węgrzy muszą uczynić kamień węgielny reformy państwa. Inaczej bowiem pierwsza racja stanu polityki zagranicznej — idea rewizjonizmu — nie pozwoli się nigdy urealnić.

Rozumiał to Gömbös. Czy rozumieją to również sukcesorowie jego polityki, nie wiadomo. Jak nie wiadomo, czy w sposób dostateczny uprzytomnić to sobie potrafi ogół w Polsce. Już nie ze względu na jakiś rewizjonizm, bo go nie potrzebujemy, lecz choćby ze względu na potrzebę pewnego zrywu wewnętrznego. W kierunku siły państwowej. Wyraż-

nej zdobywczości narodowej Bo albo żyjemy jak Europa, albo tak sobie, z kiepska po węgiersku.

Rozumiał to Gömbös, ale nie mógł wykonać. Dlaczego?

MAFIA „PODWÓJNEGO KRZYŻA“. Regent Horthy, nieboszczyk Gömbös, Károlyi i szereg innych wybitnych osobistości Węgier należeli do loży mafijnej „Podwójnego krzyża“, tak zwanej od apostolskiego krzyża patrona Węgier. Loża ta powołana została do życia w 1919 r. w Szegedynie, kiedy istniał rząd kontrrewolucyjny do walki z komuną. Członków mafii jest podobno w tej chwili nie więcej niż 30 paru. Większość ich spotyka się co pewien czas na skromnym obiedzie w piwiarni Matthias Keller w Budapeszcie. Nikt z arystokratów do mafii nie należy. Ministrowie Węgier i wogóle szefowie roboty państwowej rekrutują się wyłącznie z mafijników. W tych warunkach dół jest dołem bez możliwości dopływu wyżej, bez perspektywy zmian zasadniczych w ekipie rządzącej. Władze, które nie umieją podstaw swego istnienia rozszerzyć, tylko trwają w hermetycznym zamknięciu, nie są zdolne do przeprowadzenia zasadniczych reform gospodarczych i społecznych. Gömbös zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie umiał z tego wyjść. Nie mógł rozbić mafii i stanąć w obliczu mas.

Albowiem tylko wtedy reforma doprowadzi do odrodzenia państwa, kiedy ustawimy ją na linii emocjonalnej. Zapewnimy jej nieprzerwany ciąg oddziaływania. Myśl i plan uskrzydlimy ideą porywającą naród. Żeby nie były jak cień przelotny na murach starego gmachu.

CZERWONY CHRZEŚCIANIN

Wiedeńczycy, jak wiadomo, lubią „witze“ i pod tym względem nie ma dla nich nic świętego. To też na temat własnej najdroższej Austrii ukuli w swoim czasie takie oto powiedzonko: „Niemcy są w położeniu poważnym, ale nie rozpaczliwym, Austria jest w rozpaczliwym, lecz nie w poważnym“. To nie znaczy wcale, że kpinkami usiłują pokryć dramat wewnętrzny, zranioną dumę narodową, uczucie upokorzenia. Przeciwnie są jaknajdalej od rzeczy serio. Może to sprawia miłe lekkie winko, może wyborna biała kawa, a może ciepły wiatr wiejący z Alp, niby jakiś sirocco austriacki, tak zwany „föhn“.

Bo prawdę mówiąc, byłoby nad czym się i płakać. Choćby nad mapą dzisiejszą i nad wspomnieniem niedawnej przeszłości. Przed wojną imperium od Karpat do Adriatyku i 50 milionów ludności. Dzisiaj $\frac{3}{5}$ małej powierzchni Anglii i 6 i pół miliona mieszkańców, z czego w dodatku na jeden tylko Wiedeń przypada 2 miliony. I jak tu żyć z humorem?!...

Od tego jednak „gemütlichkeit“ i „schlamperei“. Słowa wprost nieprzetłumaczalne, elementy przyrodzone i widoczne odrazu na pierwszy rzut oka. One są składnikiem hurtowym mentalności austriackiej. One barwią wszystko na różowo. One podtrzymują ton.

Wyobraźcie sobie baletnicę na chwilę przed wyjściem na scenę. Już przybiera pozę taneczną, już gotowa sfrunąć, gdy wtem podają jej nabitą broń i każą strzelać bez żartów w

łeb dyrektora teatru. Obraz oryginalny, ale bez sensu. Pomimo to całkiem autentyczny. To Austria dzisiejsza. To jej los.

Na piętnaście minut przed swą tragiczną śmiercią od kuli hitlerowca w sławnym putschu dn. 25 lipca 1934 r. Dollfus omawiał z Radą Ministrów sprawę subsydium dla opery wiedeńskiej. Trudno o głębszy i fatalniejszy kontrast.

Dziwne przeznaczenie każe Austrii odgrywać rolę kluczową w Europie. Po pierwsze: bufor pomiędzy Niemcami a Italią. Powtóre: wysepka niemieckości wobec pangermańskiego masywu III-ej Rzeszy. Po trzecie: ciężar tradycyjnej misji historycznej sfederowania ludów Europy Środkowej. Po czwarte: obudzone sumienie apostołskie Jego Apostolskiej Mości, czyli realizowanie doktryny katolickiej w życiu gospodarczym i społecznym, czyli inaczej — popis partii chrześcijańsko - socjalnej.

Ile ról, tyle zadań. Servus! Daremnie Austria się stara z tego wykręcić. Nie umknie swemu przeznaczeniu. Wydarzenia stają na drodze ucieczki, i przeciwstawiają się, i walczą za nią i z nią. Z jej charakterem, który jest jak strusie pióro w walcu Straussa, podczas gdy los stawia je w ogniu. Niby w baśni: „Na szyszaku obłym forga się puszyła z siedmiu strusich piór“...

Przed przyjściem Hitlera do głosu i władzy w Niemczech 80 % Austriaków marzyło o anchlussie. W obecnej chwili jeżeli 40 % to dobrze. Dlaczego? Ponieważ hitleryzm wyraża z mistyki i wymaga energii. A Austriak tego nie lubi i nic z tego w sobie nie posiada. Strusie pióro w walcu Straussa. Na falach Dunaju...

SOCJALISTYCZNY WIEDEŃ. Kto nie znał, kto nie podziwiał — bodaj z gazet — gospodarki socjalistów w Wiedniu. Szpitale, sanatoria, kliniki, szkoły, ogrody dla

dzieci, pływalnie i kąpieliska słoneczne, tanie a komfortowe mieszkania dla 60 tysięcy rodzin, wzorowo zorganizowana walka z gruźlicą i bezdomnością. Socjalistyczny magistrat Wiednia dokonał istotnie dzieła najwybitniejszego w Europie. Pokazał na przykładzie, jak należy rządzić miastem, żeby obywatelowi było miło i dobrze. Mądra głowa zarządu miejskiego świetnie operowała kolosalnym majątkiem. 35% placów w śródmieściu i terenów podmiejskich należało do gminy, która zatrudniała 54 tysiące ludzi, będąc największym przedsiębiorstwem samorządowym w Europie Środkowej. W czasie od 1923 do 1929 r. zainwestowano sumę 300 milionów złotych. Kapitał rezerwowy w Kasie Oszczędności przekroczył cyfrę 400 milionów. Dochód roczny miasta wynosił około 70 milionów ze źródeł następujących: gazownia, elektrownia, taksówki miejskie, metro, omnibusy, tramwaje, rzeźnia, kąpiele publiczne, cementarze, browar, piekarnia, magazyny.

Oddajmy sprawiedliwie co się komu należy. Socjaliści rządzą w Wiedniu pierwszorzędnie. Cała Austria stała wtedy pod znakiem socjalistycznego Wiednia. To była chluba na eksport. Że zajęci stolicą, tyłem odwrócili się do wsi; że nie montowali, aczkolwiek mieli okazję, przemysłu na zasadach socjalizmu, tylko woleli baseny dla dzieci; że stanowili najpoważniejsze w kraju stronnictwo, zdobywając przy wyborach 42% głosów, a pomimo to, pozwolili się rozbić chrześcijańskim socjałom, — to wszystko prawda. Lecz wi-na leży po części w charakterze austriackim, po części zaś w liberalnych zasadach przewielebnego ks. prałata Ignacego Seipla.

To był świetny gracz ze starej szkoły politycznej. Umiał balansować pomiędzy trudnościami i sprzecznościami z obu stron. Roztropnie podtrzymywał dla równowagi i jednych i drugich. W cieniu jego klerykalnego kapelusza porastał

w pierze i sławę socjalistyczny Wiedeń. A równocześnie chowały się tam pisklęta, jak: Dollfus, Starhemberg, Schuschnigg. Kandydaci na przyszłych dyktatorów.

TRAGEDIA DOLLFUSSA. Dr. Engelbert Dollfuss, syn chłopca, chłopem pozostał, mimo poloru oficera gwardii cesarskiej i mimo doktoratu prawa. Terminował politycznie w partii chrześcijańsko - socjalnej. Długo jednak nikt nie umiał się poznać na jego zdolnościach, tak były ukryte i pokorne. Najpierw otrzymał tekę rolnictwa w 1931 r., a kiedy po roku wywiązał się kryzys gabinetowy i nikt nie mógł sobie dać rady z parlamentem, w którym rząd dysponował kruchą większością o 1 głos, Dollfussa powołano na stanowisko premiera. Rozumiano, że to narazie, byle przetrzymać. Nikt nawet nie przypuszczał, żeby Dollfuss pozostał kanclerzem dłużej. A z niego tymczasem wyłaził chłop w najlepszym tego słowa znaczeniu. Szybki w decyzji, stanowczy w działaniu, zręczny w podejściu do mas, chciałoby się powiedzieć — demagogiczny, nie w słowach bynajmniej, lecz w gestach i odruchach, w postawie w obliczu wydarzeń. No — i szczęściarz. Naturalnie do czasu.

W kilka miesięcy po objęciu władzy załatwia się sprytnie z parlamentem. 7-go marca 1933 r. posypały się na Austrię z samego rana kanclerskie dekrety na podstawie pełnomocnictw wyjątkowych. Wiedeńczycy przebudzili się i ze zdumieniem stwierdzili, że mają dyktatora. 3-go października tegoż roku hitlerowcy urządzili na niego pierwszy zamach. Dwie kule z odległości metra i — nic. Skończyło się na lekkim zadraśnięciu. Dyktator z łóżka przemawia w radio. Słucha go z zainteresowaniem cały świat. Ten ze względu na mały wzrost — „Milimeternich“ staje się prawdziwym beniaminkiem Europy. Ale już urósł bardzo: z dyktatora na męczennika i to żywego, z męczennika na bohatera walczą-

cego z Hitlerem, którego cień groźny zawisł właśnie nad Austrią.

I tu w walce z Hitlerem rozegrała się tragedia Dollfussa. Konflikt minimalnej Austrii z maksymalną Germanią.

Hitler potrzebuje i pożąda Austrii z czterech względów. Pierwszy wzgląd prestiżowy: pangermanizm z pod sztandaru swastyki nie może zahamować swego pędu na progu jednej wysepki niemieckiej, która nie chce ulec. Drugi wzgląd gospodarczy: obóz warowny III Rzeszy odczuwa głód żelaza, a kopalnie rudy w Styrii posiadają złoża bogate. Trzeci wzgląd polityczny: należałoby okrążając Czechosłowację podejść bliżej do Węgier i stanąć butem niemieckim w Europie Środkowej, kto wie czy nie z marzeniem o przyszłym imperium od Bałtyku po Czarnomorze i Adriatyk. Czwarty wzgląd doktrynalny: ludność Austrii to katolicy, socjaliści i Żydzi, a więc organiczni wrogowie hitleryzmu, trzeba zatem rozbić od wewnątrz to zbiorowisko wrogów doktryny.

Dollfuss wydała z granic Austrii ministra Bawarii, Franka, który jeździ z odczytami propagandowymi o hitleryzmie. Na to Hitler nakłada takse 1000 mk na każdego turystę wyjeżdżającego do Austrii, co ogładza niemal zupełnie austriackie regiony turystyczne. Na to znowu Dollfuss rozpędza w Austrii partię hitlerowską. Hitler każe aresztować w Berlinie austriackiego attaché wojskowego. I tak ząb za ząb, oko za oko, ostrze na ostrze, aż do krwi.

Wypędzeni z Austrii hitlerowcy austriaccy formują w Bawarii legię austriacką, ćwiczą się wojskowo i przygotowują marsz na Wiedeń. Widząc na co się zanosi, wielkie mocarstwa interweniują w Berlinie: Wielka Brytania, Francja, Italia.

Zwłaszcza Italia. Mussolini pragnie znaleźć w Hitlerze sprzymierzeńca, ale z daleka. Nie z widokiem na Triest i nie u wrót Lombardii. Woli mieć na granicy Brenneru słabą

Austrię niż silne Niemcy. Dlatego stąd podaje dłoń Dollfussowi. Faszyzuje dyktatora austriackiego. I ten w końcu od tradycyjnej taktyki ks. prałata Seipla — szukania równowagi politycznej — przechodzi zdecydowanie do ofensywy na lewicę. Zapuszcza kurtynę na pierwszy liberalny akt nowej Austrii. Przy pomocy Heimwehry likwiduje socjalistów.

Bój wszczęty dn. 12 lutego 1934 r. trwał w Wiedniu 4 dni, a na prowincji cały tydzień. Istna wojna domowa, w której zginęło przeszło tysiąc ludzi. Dziewięciu przywódców socjalizmu austriackiego zawisło na szubienicy. Dwaj wodzowie, Dr. Otto Bauer i Juliusz Deutsch, zbiegli do Czechosłowacji. Na arenie rozgrywek politycznych pozostali tylko jawni heimwehrowcy i zakonspirowani hitlerowcy. Jako podpory rządu. Tych zakonspirowanych znalazło się więcej niż ktokolwiek mógł nawet przypuszczać. A w każdym razie nikt nie podejrzewał, że jaczeyki hitlerowskie są w policji i administracji i że przygotowuje się zamach stanu.

Pomiędzy Mussolinim z jednej strony, a Hitlerem z drugiej — Dollfuss poczuł się jak między młotem a kowadłem. Uległ zmiżdżeniu.

Kiedy zalewał się krwią i konał na kanapce w pałacu kanclerskim przy Ballhausplatz, z nim razem kończył się drugi akt tragedii austrackiej, tragedii mimo woli, tragedii fatalistycznej. Dollfuss własną krwią okupił niepodległość Austrii. Zapłacił tragicznie za swój sen o nowym patriotyzmie austriackim. Marzył bowiem o odrodzeniu tego patriotyzmu jako o najpewniejszej gwarancji niezawisłości państwowej. Marzenie dla Wiedeńczyków zanadto chłopskie, proste i mocne. Za nagły, za rewolucyjny skok od dawnego patriotyzmu monarchii austro-węgierskiej.

Następca Dollfussa, Dr. Kurt von Schuschnigg, to i dalszy ciąg i co innego. Nie posiada ani fluidu magnetycznego,

ani odruchowej demagogii swego tragicznego poprzednika. Z zamiłowań i ambicji, z temperamentu i mentalności — nie mąż stanu, lecz profesor i historyk prawa. Umie jednak konsekwentnie iść do raz zamierzonego celu. Potrafił zdyskontować nieudany zasadniczo putsch z dn. 25 lipca 1934 r. w tym sensie, że taktyka hitlerowców w Austrii została zmieniona radykalnie. Zamiast Dr. Rietha, który miał dłoń w żelaznej rękawicy, przysłano posła niemieckiego do Wiednia, von Papena, z rączką w rękawiczce aksamitnej. Nastąpiło jak gdyby zawieszenie broni. Stał się układ niemiecko-austriacki dnia 11 lipca 1936 r.

Korzystając z „treuga Dei“ kanclerz von Schuschnigg wydał ustawę o obronie państwa, wzmocnił ustawowo swoje stanowisko i rozwiązał wszystkie organizacje militarne z Heimwehrą na czele. Stał się sam w roli arbitra. Zebrał w swoim ręku wszystkie karty do gry. I tu rozpoczyna się trzeci akt sztuki austriackiej: przebudowa społeczna i polityczna ustroju w myśl konstytucji opracowanej przez Dollfussa, a poczętej z ducha doktryny katolickiej.

Kanclerz von Schuschnigg to katolik wierzący i z przekonania monarchista. Jeśli z tymi przekonaniem nie łączy radykalizmu społecznego, to karta którą wyrzuci będzie — restauracją Habsburgów. I tylko. Jeśli jednak w głębi, na dnie duszy kanclerza kiełkuje niby ziarno myśli Encykliki Piusa XI „Quadragesimo Anno“ o odnowieniu ustroju społecznego, to możemy mieć ciekawe zjawisko nowego nacjonalizmu idącego ręką w rękę z radykalną reformą socjalną.

Austria ma specjalnie podatny grunt pod ten eksperyment. Składa się na to wieloletnie doświadczenie chrześcijańskich związków zawodowych. Przede wszystkim zaś wypróbowana czynnie postawa katolicka w akcji społecznej i politycznej. Chrześcianina, który nie nadstawia pokornie policzka prawego, gdy go biją w lewy, tylko sam energicz-

nie wali w pysk. Zaprawdę — kościół wojujący o sprawiedliwość na ziemi. Powiedzielibyśmy paradoksalnie: czerwone chrześcijaństwo. Oto co świta teraz w nowej Austrii.

Arystoteles twierdził, że człowiek jest zwierzęciem politycznym. Jednakowoż idea religijna chrystianizmu starała się o tym nie pamiętać. Kościół wywierał wpływ na myśl, atakował dusze ludzkie od strony nieba, był ciągle nie z tego świata. Miał mitrę, symbol władzy duchowej, i nie ubiegał się o koronę panowania doczesnego. Dlatego, realnie biorąc, nie przetworzył gospodarczej i społecznej struktury świata według nauki chrystusowej, w imię wiekuistej idei sprawiedliwości. Budził wprawdzie sumienie apostoelskie, ale bez żadnej egzekutywy ze swej strony, bez władzy wykonawczej. Po dawnemu wciąż jeszcze triumfuje krzywda. Po dawnemu wciąż jeszcze są panowie i niewolnicy.

Idea religijna chrystianizmu musi rozbić ten stan rzeczy. A do tego winna zstąpić z niebios na ziemię, z ambony kościoła na bruk ulicy i przeobrazić się w doktrynę polityczną. I żeby ją niósł i reprezentował w życiu człowiek bojowy, radykał, czerwony chrześcianin.

SUMIENIE RADYKALNE

Gdzie jak gdzie, ale w Polsce przeważnie życie płynie pod znakiem obiektywizmu. Ostrze poglądów stępiamy, jaskrawość przekonań ceniujemy, gwałtowność odruchów powściągamy i miarkujemy. Samą myśl nawet, jeżeli jest śmielsza, zawieszamy obiektywnie w obłokach, lub dla bezpieczeństwa zamykamy, aby przypadkowo nie spadła na grunt realny w postaci eksperymentu. I tak zsuwamy się tępo w cień i kurz bierności i czekania. Urzędujemy. Dajemy preferencję flegmie, nie krwi. Zachowujemy neutralność. Staramy się nie brać udziału wprost w wojnie, od której drży już cały świat, w wojnie o idee, o zasady przebudowy. A tymczasem...

— Wszyscy wy jesteście jak trędowaci, — mówi robotnik do inteligenta. — Życie w odosobnieniu, w swoim towarzystwie, pod kloszem swojej kultury, bez związku organicznego z dołem, bez usług wymiennych z masą. Wy sobie, a masa sobie. Pomiędzy nami izolacyjny mur jakiegoś parazytycznego systemu gospodarczego, który nas stawia po jednej stronie, was po drugiej. W środku — kapitał anonimowy. Gdyby fabrykant był największym draniem, to jeszcze byłby bardziej ludzki, niż dziś, bo fabryka byłaby jego fabryką, robotnik jego robotnikiem. Głos miałby żywy, tętniący krwią interes wspólny. A tak... Fabrykant urzęduje dla spółki akcyjnej. Akcje zaś są w posiadaniu ludzi, którzy fabryki nie widzieli na oczy, chcą jednak, żeby ich pieniądź procentował, a oni żeby mogli spokojnie obcinać kupony, o ni-

czym nie wiedząc prócz cyfry zysku. Nie człowiek decyduje, nie jego kontakt bezpośredni z czynnikiem produkcji, lecz coś bezosobowego. Papier procentowy. Kapitał - anonim. Aparat bezduszny. I oto w rezultacie podział na trędowatych z jednej strony i niewolników z drugiej. Nienawiść słuszna. I wojna słuszna. W imię sprawiedliwości.

Spółka akcyjna jest tutaj użyta tylko jako ilustracja rzeczywistości, jako jeden z objawów zła, jako wykwit pewnego systemu gospodarczego, który konsekwentnie musi prowadzić do chorobliwej struktury społecznej. W duszach ludzi skądinąd pocziwych wyzwała i rozwija instynkt rabusiów. Tworzy klasę panów i klasę niewolników. Budzi odruchy rozpaczy. Powoduje protest, bunt i rewolucję. Wywołuje wreszcie z najgłębszych pokładów sumienia — idee ratunku. Te albo inne zasady przebudowy. Dla wrodzonego poczucia słuszności i sprawiedliwości człowiek szuka podstaw w doktrynie i ruchu realizacyjnym. Trędowaty walczy o zbawienie mas.

W walce, jaką obecnie toczy świat o przebudowę, stają przeciw sobie dwie zasady: socjalistyczna i chrześcijańska. Zasada socjalistyczna głosi ideę sprawiedliwości przez zniesienie prawa własności. Zasada chrześcijańska głosi również ideę sprawiedliwości, lecz w oparciu o prawo własności. Różnica kapitalna nie tylko w tym punkcie. Różnica w światopoglądzie, w systemie wiary, w kompleksie, od którego człowiek zależy i według którego nastawia życie pojedyncze i zbiorowe, kulturę i myśl.

Materializm. To nie znaczy, że jedynie i wyłącznie środowisko może urabiać jednostkę, bo i jednostka wpływa na otoczenie, ma walor moralny i nim gra, działa z pobudek ideowych, operuje imponderabiliami. Myli się, albo upraszcza sobie nielojalnie temat, kto sądzi, że socjalizm wyrasta z grubego materializmu i że wyprany jest z wszelkiego idea-

lizowania. W czym innym rzecz. Że nie potrzebuje powiązań z zaświatem. Że ogranicza człowieka do tego padółu na ziemi. Że życie uważa za największy cud i największą wartość. To tak. Wszystko inne fiume.

A tymczasem otacza nas wieczność i Bóg, tajemnica kosmiczna. Wszystko dla ducha i przez ducha. Są sprawy przerażające nas tak, że dla nich warto umierać. I dopiero wiążąc się z tym, nadajemy swemu życiu smak i sens, zaczynamy jak gdyby rzucać cień w wieczność, uczuwamy się w Bogu. Samo życie ludzkie byłoby jałowe i puste, nic nie warte, przerażające, — bez punktu ciężkości tam. To wnosi chrystianizm. Ponadludzki miernik wartości. Inne zgoła podejście. Ocenę od zewnątrz.

Zasady te nie wiszą w powietrzu gdzieś w dialektycznych regionach filozofii i nie poprzestają na teorii, tylko każda po swojemu usiłuje zorganizować świat. W rzeczywistości dotykanej. Konkretnie. Zasada socjalistyczna w swej ortodoksyjnej postaci przez Trzecią Międzynarodówkę i Rosję Sowiecką. Doktrynalnie i politycznie, propagandą i przemocą, grając ideą i równocześnie elementami siły fizycznej. Zasada chrześcijańska przez wieczną międzynarodówkę Kościoła. Bez żadnej egzekutywy innej prócz obudzonego w człowieku sumienia.

W odniesieniu do obecnych warunków obie zasady są rewolucyjne, zmierzają bowiem do przebudowy ustroju społecznego. Polska stworzona wolą i czynem Józefa Piłsudskiego nie może w obliczu tych rewolucyj pozostać obiektywną, obojętną, apatyczną, zachowawczą. Musi zająć stanowisko wyraźne i wypowiedzieć się czynnie i zdecydowanie: albo za jedną — albo za drugą.

DWIE ENCYKLIKI. Kiedyś zwrócili się przemysłowcy amerykańscy do Leona XIII-go ze skargą, że organizacja

robotnicza „Rycerzy Pracy“ wykazuje tendencje rewolucyjne. Papież wydał wyrok taki, że wprawił w zdumienie przemysłowców. Wolno mieć, oświadczył, dążności jak najdalej reformatorskie, byle nie być na służbie anarchii i socjalizmu. Inaczej mówiąc, rozgrzesza się sumienie radykalne. Błogosławi się przebudowę, byle tylko nie wyrastała z doktryny materializmu. Powiedzielibyśmy nawet „rewolucję“, gdyby słowo to nie było zanadto otrzaskane w sensie specjalnym.

Marx w dziele swoim p. t. „Kapitał“ zgromadził obfity materiał faktów, które są udokumentowanym strasliwym aktem oskarżenia pod adresem gospodarki kapitalistycznej. Papież ma przed oczyma taki sam obraz krzywd. I tak samo postanawia walczyć z krzywdą i wyzyskiem. Tylko nie w ten sam sposób, nie według marksowskiej metody buntu nie-wolników.

„Zgodnie z urzędem naszym apostolskim, na podstawie którego dłużnikami wszystkich jesteśmy“... Co za piękne i obowiązujące określenie dla każdego urzędu i każdej władzy!... Z tego poczucia w sumieniu apostolskim, zarówno jak z poczucia przeraźliwej rzeczywistości wyrasta chrześcijański akt oskarżenia gospodarki kapitalistycznej i zasada chrześcijańska przebudowy świata.

„Nie ma prawdziwej miłości bez sprawiedliwości“. Najpierw trzeba urządzić świat sprawiedliwie, a potem praktykować miłość i głosić miłosierdzie. Opinię tę wypowiedział nie socjalista, lecz Papież Leon XIII (ur. w 1810, wstąpił na Stolicę Apostolską w 1878, umarł w 1903). On pierwszy z pośród papieży zajął się gruntownie sprawą społeczną, powołał do życia studia socjologiczne i dał plan przebudowy na zasadzie chrześcijańskiej w wiekopomnej Encyklice „Rerum Novarum“ (15.V.1891 r.). Pius XI w swojej Encyklice wydanej w czterdziestolecie tamtej „Quadragesimo Anno“ (15.V.1931 r.) przypomina światu koncepcje

Leona XIII i uzupełnia je zgodnie ze zmianami, jakie dokonały się przez ten czas w życiu gospodarczym i społecznym. Obie encykliki stanowią „magna charta” ruchu chrześcijańsko - społecznego. Obie wysuwają idee tak śmiałe, że gdyby je zrealizować w sposób gwałtowny, byłaby to prawdziwa rewolucja chrześcijańska. Ścisłe dostosowanie życia do prawa ewangelicznego.

„Bieda i nędza niegodna człowieka” — oto rezultat panującego systemu. Upośledzenie „robotników, których w rozbiciu i bezbronności duch czasu wydał na łup niehumanitaryzmu panów i nieokiełznanej chciwości współzawodników”. A dalej: niewłaściwy podział dóbr i stąd zjawisko wołające o pomstę do nieba, że obok garści bogaczy bytują masy niewolników i nędzarzy.

To już nie tylko ocena rzeczywistości, to druzgocąca dyskwalifikacja liberalizmu gospodarczego, który wykazał swoją absolutną nieudolność w rozwiązywaniu kwestii społecznej. Wolna konkurencja, nieskrępowana niczym gra sił doprowadziła do tego, iż posiadanie stało się przywilejem nielicznych, jedynym zaś majątkiem proletariatu jest potomstwo (proles). Zasada Adama Smitha automatyzmu ekonomicznego nie zdała egzaminu w życiu praktycznym. Powiedzenie fizjokraty Gournay’a „laissez faire - laissez passer” brzmi dzisiaj ponuro. Przekonaliśmy się bowiem na własnej skórze, że wolność mocnego jest niewolą słabszych.

W tych warunkach Marx przystąpił do organizowania niezadowolonych. Idea socjalizmu ludziom zrozpaczonemu wydała się ostatnią deską ratunku. Odruchem buntu podchwyciono „Manifest komunistyczny”, jako wyznanie nowej wiary uciśnionych, jako umotywowany doktrynalnie krzyk proletariatu. Świat pracy jał się skupiać pod czerwonym sztandarem, w mroku nędzy, z wizją porachunków i rzezi...

I na to pada promień światła z Encykliki. Sumienie apo-

stolskie wydaje sąd i potępia. Sumienie apostołskie z całym spokojem stwierdza, że w liberalizmie jest część szlachetna i część nikczemna. Część szlachetna to pojęcie własności prywatnej. Część nikczemna to zwyrodniałe używanie własności, nie ograniczone żadną dyscypliną, nie okiełznane żadną egzekutywą siły nadrzędnej. W socjalizmie podobnie: część szlachetna i część nikczemna. Szlachetna to idea o społecznym znaczeniu własności oraz idea sprawiedliwości doczesnej. Nikczemną zaś instytucja własności zbiorowej czyli kolektyw.

Lekarstwo nie lepsze od choroby. Na koncentrację przemysłową i kapitałową w rękach prywatnych odpowiedział socjalizm komunistyczny wywłaszczeniem na rzecz państwa. Ale pracownik pozostaje czym był: niewolnikiem kolektywu. Proletariat jak nie miał, tak w dalszym ciągu nie ma nic, prócz dzieci. Sumienie radykalne nie daje spać. Niepokoi, pyta, szuka...

PAŃSTWO REALIZUJE IDEĘ SPRAWIEDLIWOŚCI.
We Francji w drugiej połowie XIX w. zarysowały się obok socjalizmu dwa prądy reformatorskie. Jeden zwany „szkołą pokoju socjalnego“ Le Play'a, drugi zwany „szkołą reformy socjalnej“ de Muna. Pierwszy odpowiadał ogólnemu pojęciu miłosierdzia, *caritas*, uważając, że poprawa losu pokrzywdzonych może być załatwiona na drodze dobrowolnej, swego rodzaju jałmużną, bo jeśli coś dam to z łaski i nikt mnie do tego nie ma prawa zmusić. Drugi natomiast utrzymywał co innego. Bronił zasady sprawiedliwości i słuszności, którym wyraz daje prawo i ustawa państwa. Nie że chcę ulżyć doli nieszczęśliwych, ale że winienem, bo tak się należy i tak muszę pod groźbą kary. Owocem tych poglądów był szereg ulg, które dzięki zwłaszcza inicjatywie i rozumowi Alberta de Muna wprowadzono ustawodawczo w interesie świata pracy.

Encykliki stoją wyraźnie na stanowisku sprawiedliwości obowiązującej. Zasada chrześcijańska sugeruje opinii publicznej, mężom stanu i państwom stosowanie rygorów ustawodawczych, tworzenie praw, „które stają w obronie świętych uprawnień robotnika, wypływających z godności jego jako człowieka i chrześcianina“. I to w sprawach najzupełniej realnych, praktycznych, dotyczących bytu, stopy utrzymania i wolności. Co więcej, zasada chrześcijańska idzie tak dalece na rękę pracownikom, że gdy dochód z przedsiębiorstwa prywatnego się zmniejsza, wtedy obniżką ma być dotknięty raczej właściciel niż najemnik fizyczny i umysłowy, ponieważ granica ich płac jest minimalna, akurat na utrzymanie.

W tym wszystkim, jak i w kwestii płac życiowych i sprawiedliwych, państwo ma głos decydujący. Nie jest ono według zasady chrześcijańskiej tylko stróżem porządku prawnego, lecz dążyć powinno by „za pośrednictwem systemu praw i urzędzeń... sam ustrój i zarząd państwa sprzyjał dobrobytowi tak powszechnemu jak jednostkowemu“. Toleruje ono swobodę działania w granicach dobra ogólnego z wykluczeniem czyjejkolwiek krzywdy. Krzywdę naprawia. Przerosty wygładza. Reformuje zawczasu co trzeba.

Planowa i reformatorska interwencja państwa w dziedzinie gospodarki prywatnej obala definitywnie bożyszcze liberalizmu a następnie wciela w czyn ideę sprawiedliwości chrześcijańskiej jako obowiązek społeczny i państwowy. I do tego nie potrzebuje wcale socjalizmu. Wystarczy sumienie apostołskie, poparte egzekutywą.

WŁASNOŚĆ PRYWATNA. Liberalizm broni się. Albo interwencjonizm, powiada, albo własność prywatna. Zasada socjalistyczna obala własność prywatną. Zasada chrześcijańska w porównaniu z socjalizmem ogranicza ingerencję

państwa do koniecznego minimum: obrony pokrzywdzonych i obrony zbiorowiska. Za to z własności prywatnej czyni kamień węgielny swego systemu.

Własność w tym ujęciu ma dwie strony: indywidualną i społeczną, oraz dwa momenty: posiadania i używania. Nie każdy może posiadać, ale wszyscy muszą *stricto sensu* używać. Posiadanie jednostkowe, używanie wspólne, — uczy Tomasz z Akwinu. Państwo w imię dobra powszechnego reguluje używanie, może zmieniać formę, nie kasuje jednak istoty i prawa posiadania. Albowiem w istocie i prawie posiadania człowiek wypowiada się i wyżywa twórczo. Wykracza poza kierat obowiązków codziennych. Planuje na dalszą metę i szerzej. Przewiduje. Sam sobie staje się rządcą i opatrnością. W ten sposób w pewnej mierze człowiek pojedynczy przekształca się w człowieka zbiorowego, człowiek doczesny w wiekiustego. Zyskuje oparcie. Wstępuje na szczebel wyższy. Rośnie na duchu. Uszlachetnia się. Jakże daleko i jak skutecznie odbiega od typu płatnego niewolnika... Idealne państwo powinno dbać, żeby jak najwięcej obywateli, żeby wszyscy posiadali. To leży w naturze człowieka. Odwrócenie tej natury może być aktem rozpacz, lecz i to nie na długo. Ustrój kolektywistyczny da się zrealizować narazie przez bunt niewolników, przez rewolucję socjalistyczną, ale nie da się utrzymać inaczej, jak tylko przy pomocy gwałtu i teroru. Człowiek nie zgadza się być wiecznie kółkiem w maszynie. Nie chce żyć bez nadziei, bez perspektywy wydźwignięcia się. Pragnie być sobą, indywidualnością. Mieć przynajmniej wrażenie niezależności.

Problem solidaryzmu, a nie walki klas, jest już prostą konsekwencją tych paru punktów, zdaniem naszym zasadniczych, które wyjmujemy z obu Encyklik. Tych, kto by się interesował całością doktryny chrześcijańskiej idącej na podobój dusz, odsyłamy do pełnych tekstów, łatwych i tanich do

nabycia po polsku. Poza tym do dzieła po francusku „Hierarchia katolicka a problem społeczny od Encykliki Rerum Novarum 1891 r. do 1931 r.“ („Hierarchie catholique et le problème social depuis l'Encyclique R. N. 1891 — 1931“. Edition: Union Internationale d'Etudes Sociales fondée à Mâlines en 1920 sous la présidence du cardinal Mercier. Paris, „Spes“, 1931). Jest to strona realizacyjna zasady chrześcijańskiej przebudowy świata. Powiedzmy odrazu, że jak dotąd — wyjątkowo skromna i cicha, bez efektu i rozgłosu.

Tu musimy się porozumieć i postawić kropkę nad i.

Zwalczamy socjalizm na śmierć i życie. Nie chcemy go pod żadną maską, ani w żadnej postaci. Ale też nie propagujemy chrześcijańskiej żółtej międzynarodówki na miejscach czerwonej. Stanowczo — nie. Bez apelacji — nie. Zasadę chrześcijańską przyjmujemy jako doktrynę, której nie zrealizuje faktycznie ani Kościół, ani z Jego ramienia Akcja Katolicka. Nie posiadają bowiem egzekutywy politycznej, dysponują jedynie i wyłącznie wpływem moralnym. A ten jakże często zawodzi. Ogi Jan Chryzostom wyrzucał kapłanom, że „nie śmieją ust otworzyć wobec bogaczy“. Ugoda i kompromis cechują stale żółte ruchy chrześcijańsko-społeczne. Sumienie apostołskie nie śmie być po laicku w pełni sumieniem radykalnym.

PROGRAM NACJONALIZMU. Zasadę chrześcijańską przebudowy ustroju podejmie realnie państwo narodowe. Siłą i egzekutywą, swoim własnym niezależnym ośrodkiem dyspozycji. Sumienie apostołskie przetransponuje na sumienie radykalne, to zaś na radykalny program nacjonalizmu polskiego. Oto jego punkty najbardziej aktualne, bo kryzysowe:

1. *dekoncentracja produkcji*, stawianie raczej na warsztat mniejszy, na chłopa, rzemieślnika i kupca, na człowieka, nie

na kolektyw przemysłowy; wyjątek dla celów obrony i to wyjątek na rzecz państwa;

2. *koncentracja kapitałów przez państwo*, wyjątkowo dopuszcza się koncentrację społeczną, a nie jednostkową, nigdy obcą;

3. *własność prywatna zdyscyplinowana*, ujęta w system organizacji stanowej i podporządkowana nadrzędnym interesom państwa.

Tak oto sumienie radykalne zaczyna realizować swój sen o Polsce w nowym ruchu narodowym.

JEGO APOSTOLSKA MOŚĆ

Prawdziwy Bóg, Bóg silny jest Bogiem idei. Tak pisał Alfred de Vigny w epoce romantyzmu. Słowa te nadają się nie tylko na motto do artykułów, ale także na pierwszą strofę największego poematu, jakim jest — czyn.

Hr. Polzer - Hoditz, arystokrata wiedeński, b. szef kancelarii cywilnej ostatniego cesarza Austro-Węgier, Karola IV, napisał książkę p. t. „Cesarz Karol i misja historyczna Austrii“. Jak przystało na memuary, — wspomnienia osobiste, zwierzenia poufne pana i sługi, zajmują najwięcej miejsca. Pomiędzy nimi zaś powtarza się niby refren — gorzka, bo spóźniona mocno refleksja — gdyby... Gdyby mianowicie Austria była się zdecydowała na poszerzenie i wzmocnienie systemu federacyjnego, to by żyła szczęśliwie do dnia dzisiejszego. Podobno nawet arcyksiążę Franciszek Ferdynand zdawał sobie sprawę z konieczności reformy w tym kierunku. Niestety, tragiczna śmierć w Serajewie stanęła na przeszkodzie. Cesarz Karol nosił się z zamiarem dyktatury wojskowej, któraby mu umożliwiła przeforsowanie zamysłów federacyjnych, tak wielkie bowiem napotykał sprzeciwy wewnętrzne ze strony Węgier zazdrosnych o swą hegemonię w monarchii, oraz ze strony pangermanistów austriackich. „Nie możemy dalej bić się dla Prus“, powtarzał nieraz bezradnie. Nieszczęśliwy słaby człowiek, obarczony liczną rodziną i jednocześnie misją dziejową, której nie mógł sprostać. Życie szło swoją drogą, spadało jak po porażce, niweczając wszel-

kie plany gabinetowe, padające od podmuchu historii niby domki z kart.

Teraz, kiedy się mówi o konferencji italo-hungaro-austriackiej, kiedy staje na porządku dziennym ewentualny powrót Habsburgów na tron w Wiedniu, co ma być poniekąd zabezpieczeniem Europy Środkowej od naporu hitleryzmu, warto się przyjrzeć zbliżeniu zagadnieniu „restauracji“. Skąd wynika i czym się komplikuje. Czy leży na linii ruchów ideowych w oparciu o masy, czy też stanowi jeszcze jedną grę dyplomatyczną, nietrwałą niby domki z kart.

RÓD HABSBURGÓW. Cesarz Karol austro-węgierski ustąpił w 1918 r. W dwa lata i pół sięgnął z powrotem po koronę św. Stefana. Stąd sławetny putsch wielkanocny w 1921 r. Po tym nieudanym zamachu stanu w Węgrzech wycofał się do Szwajcarii, lecz nie zrezygnował ze swych pretensji. Zamieszkał z rodziną na zamku Hertenstein koło jeziora Czterech Kantonów. Tutaj otoczyła go atmosfera specjalna, muzyka przeszłości. Stare rodowe zamczysko Habsburgów było kolebką ich sławy. Z tego gniazda 700 lat temu wypłynęli na arenę świata, ruszyli na podbój wielkości, rozpoczęli swój triumfalny marsz w dziejach, sonatę heroiczną swego rodu. Ród ich nie jest zresztą jednym z wielu mniej lub więcej podobnych rodów panujących. To jest coś innego, osobliwego. Spokrewnieni są ze wszystkimi o błękitnej krwi. Przedstawiają mieszaninę ras, charakterów, drapieżności i dziwactw. Mieli wśród przodków: Niemców, Włochów, Francuzów, Hiszpanów, Polaków, Skandynawów, Anglików. Kogo wogóle nie mieli, jeżeli nawet ograniczyć się do łoża tak zw. prawego, do kronik Gothy. A poza ceremoniałem i protokołem dworskim, „na lewo“?... I może na tej drodze „lewej“, przez dopływ świeżej barbarzyńskiej krwi, ród Habsburgów ratował się przed ostateczną degeneracją.

A i tak godnie reprezentują gwałtowną śmierć, szaleństwo, bziki, chyzie, melancholię, zbrodnię i obłąkanie. Dla tych i innych powodów ród Habsburgów uchodzi za organizm specyficzny, albo jak określa John Gunther w swej książce „Piloci Europy“, za rodzaj grzyba rosnącego na ciele europejskim. Habsburgowie są ponad państwami i ponad narodami. Żywiołem i misją Habsburgów jest panowanie. W tym przeznaczenie ich rodu, w tym zawód z powołania.

Druga próba zamachu Karola austriackiego na koronę węgierską w październiku tegoż 1921 r. to tylko objaw wiary w przeznaczenie, spełnienie obowiązku, wyraz tego, co Habsburgowie muszą organicznie czynić. Zdradzili by samych siebie, gdyby nie czynili prób i nie szukali wyjścia na tron. Nie byłiby Habsburgami.

Kiedy Karol IV umarł w Funchalu na Maderze w 1922 r. zostawił dostojną wdowę cesarzową Zytę z ośmiorgiem dzieci w nędzy. Dosłownie. Z koroną we krwi. Z bogactwem — ale w legendzie.

Wielka fortuna Habsburgów ufundowana została w połowie XVIII wieku przez męża Marii Teresy, Franciszka Lotaryńskiego. Oszczędny aż do skąpstwa pan dał mądry, wspaniały wyraz temu, co nazwalibyśmy instynktem rodu. Stworzył bazę materialną własną, niezależną od państwa, nad którym panowali, możliwie nawet niezależną od zmieniających kolei lasu. Sukcesja jego opiewała na kolosalną na owe czasy, sumę 150 milionów we fr. franc., przy czym obwarował ją klauzulą obowiązującą wiekiście spadkobierców, że wydać wolno % nie więcej niż $\frac{1}{3}$, a $\frac{2}{3}$ obrócić bezwarunkowo na powiększenie kapitału. W ten sposób majątek „Domu Habsburg - Lotaryńskiego“ rozrastał się do rozmiarów potwornych. Habsburgowie w nowych czasach zrealizowali legendę Krezusa.

Sama własność nieruchoma oceniona była po wojnie euro-

pejskiej, na 1½ miliarda fr. fr. Do tego dochodzą meble, dywany, gobeliny i t. p. w niezliczonych zamkach i pałacach. Zbiory bezcennych obrazów, antyków, kosztowności i książek. Klejnoty, które liczono na tonny. Zabytkowe i zbyt-kowne urządzenia wewnątrz gromadzone z rzadkim znanstwem na przestrzeni pięciuset lat. Przepych i smak sharmonizowa-ne najszczęśliwiej. Wszystko od Renesansu do Makarta, co tylko sobie można wyobrazić w rzeczach użytkowych i w pre-cjozach. Serwisy porcelanowe, złote i srebrne, dzbany, kie-lichy, uprząże, pojazdy, konie.

Na podstawie § 208 Traktatu w St. Germain i § 196 Trak-tatu w Trianon cała własność nieruchoma Habsburgów ule-gła konfiskacie. Listopadowa rewolucja 1918 r. wyrządziła niepowetowane szkody. Spalono dużo mebli, obrazów i ma-kat. Konie szlachetnej krwi zabito na mięso i zjedzono. Uprząż zarekwirowano. W koronacyjnych, kapiących od zło-ta i ozdób karocach obwożono turystów. Zbiory rozkradzio-no. Muzeum ubiorów, jedyne w takich rozmiarach na świe-cie, niewyczerpane studium dla kostiumologów, sprzedano z licytacji na łachy do wytwórni filmowych w Hollywood. Słynne dzieło sztuki, cacko architektury, pałac w Laxenbur-gu zamieniono na szkołę tańca. W Schönbrunnie otwarto bar. Burg cesarski przerobiono: piętra na mieszkania dla arty-stów teatru, parter na sklepy i biura.

Testament Franciszka Lotaryńskiego spłonął w ogniu przewrotu światowego. Legenda Krezusów rozwiała się jak dym. Jedni Habsburgowie przejadali resztki, inni poszli na łaskawy chleb do bogatych krewnych zagranicą.

Oto z czym wszedł w świat najstarszy syn Karola IV, suk-cesor rodu, następca tronu *in partibus infidelium*, dziedzic dwóch legend: panowania i majątku. Już tylko legend. Coś jakby dyplomów na pergaminie, nieprzedawnionych praw, żalów i pretensji, bez możliwości ich zrealizowania. Arcy-

książę Franciszek - Józef - Otto - Robert - Maria - Antoni-Karol - Maksymilian - Henryk - Sykstus - Ksawery - Feliks-Renatus - Ludwik - Kajetan - Pius - Ignacy szesnastu imion Habsburg - Lotaryński. W skróceniu — arcyksiążę Otto. Albo oficjalnie i paszportowo, w duchu sankiulockiej demokracji — Doktor Otto von Habsburg.

Wykształcenie otrzymał staranne. Mówi dobrze po niemiecku, francusku, angielsku, włosku, hiszpańsku i węgiersku. Żeby było odrazu widać: pretendent do tronu Austrii i Węgier. Doktorat filozofii normalnie zdobył na uniwersytecie katolickim w Lowanium w Belgii. Jeszcze się nie ożenił, a piękny jest niczym Valentino. Żartują, że podbiłby szybko oba państwa, do których pretenduje, gdyby tylko raczył się pokazywać tam częściej. Samą urodą. Za to z małżeństwem gorzej. Zupełnie podobnie jak z aspiracjami do tronu. Zaraz z różnych stron wyskakują komplikacje. Nie tyle natury wewnętrznej w danych państwach, ile raczej — międzynarodowe, w skali konfliktów i wojennych gróźb.

Z punktu widzenia polityki wewnętrznej świetnie tę sytuację ujął książę Starhemberg, który pewnego razu wyraził się tak: „Nie sędzę, by wielu było takich Austriaków, co gotowi byliby przelać swą krew na rzecz tronu dla Ottona, myślę jednak, że jeszcze mniej byłoby takich, którzy by chcieli wznosić przeciwko niemu barykady“...

Doktor Otto von Habsburg nie rezygnuje. Czeką. Ród panujący przez lat siedemset posiada cierpliwość wiekuista. I wiekuście pretenduje do miejsca po Jego Cesarsko-Królewskiej Apostolskiej Mości.

IMPERIUM ŚRODKA EUROPY. Pod względem geologicznym Polska dominuje nad Europą Środkową. Należy się to jej z wagi i tradycji. Z północy opiera się o Bałtyk i sięga ku państwom bałtyckim. Na południu promieniuje ku

Adriatykowi i Morzu Czarnemu. To, co w tym kierunku leży poniżej Polski, rozdarte jest waśnią zasadniczą o stan posiadania, o granice. Z jednej strony Czechosłowacja, Jugosławia i Rumunia, terytorialnie nasycone. Z drugiej — Węgry, Austria i Bułgaria, zmierzające bezwzględnie do rewizjonizmu. Konflikt otwarty i krwawiący niby rana. Mowy nie ma o uspokojeniu trwałym bez uprzedniego przeprowadzenia zmiany na jakiegokolwiek drodze, porozumienia lub gwałtu. A więc jednak zmiana.

Tu rozpoczyna się gra i wyłaniają możliwości. Mówi się zatem, że musi przyjść, i to rychło, jakiś nowy system, czy nowy dziejowy fakt, który byłby w stanie zaprowadzić ład w stosunki groźnie wrzące środka Europy. Paraklet z różdżką oliwną. Reprezentant nowej zasady, na której dałoby się zmontować nowy porządek polityczny wbrew dotychczasowemu podziałowi granicznemu. Kto wie, może właśnie Doktor Otto von Habsburg w charakterze Jego Apostolskiej Mości, pana Austrii i Węgier jako ośrodka federacyjnego Europy Środkowej. Wielka idea nowego imperium dokoła pogrobowca legendy Habsburgów.

Z państw nasyconych terytorialnie Polska najmniej jest zagrożona restauracją Habsburgów. Co innego Czechosłowacja, Jugosławia i Rumunia. One drżą na samą myśl o tym. One ustosunkować się mogą tylko negatywnie. Dla nas, bez względu na ustosunkowanie się aktualnie polityczne do tej kwestii, gdzieindziej leży jej punkt ciężkości, jej historyczny sens obliczony na wieki. Leży mianowicie w pytaniu: dlaczego nie my?

Nie Jego Apostolska Mość — tylko Polska. Nie Jego Apostolska Mość — tylko my. My Polacy musimy być organizatorami wielkiego imperium środka Europy. Bo albo będziemy twórcami tej potęgi, albo nie będzie nas wcale. Po to nas los postawił — na przełęcz. Po to każe nam rozwiązać po

naszemu problem przebudowy społecznej i gospodarczej w duchu chrześcijańskim i w ramach jedyne go w swej osobliwości nacjonalizmu polskiego.

Abyśmy stąd mogli promieniować wartościami ducha i kultury, naszą organizacją myśli i naszą organizacją życia. Na całe przyszłe imperium. Nie federacyjnie, lecz promieniście. Prawdziwym Bogiem, Bogiem silnym, Bogiem idei.

CO POTRAFI ANGLIA

Zaczęło się od szympansów. Köhler wykazał na nich, że łatwiej jest wiązać skojarzenia myślowe, niż rozrywać. Prościej iść drogą ewolucyjną, trudniej zaś wyłamać. Na wyłamanie, na rozbitcie potrzeba znacznie wyższej inteligencji. Możemy więc sobie wyobrazić, że małpoidalny człowiek pierwotny rozsadzał normy naturalne, wyskakiwał ponad szlak utarty, robił rewolucję wśród szympansów. I tym różnił się zasadniczo od antropoidalnych małp. Postępował indywidualnie. Wyrastał. Uczłowieczał się coraz bardziej.

Ale równocześnie szukał dla siebie miejsca pomiędzy normą życia osobistego a normą życia zbiorowego. Starał się utrzymać na krawędzi pomiędzy odosobnieniem a stadem, anarchią a kolektywem, sobkostwem a altruizmem. W razie bowiem upadku na tę lub na tamtą stronę odczłowieczał się i powracał do szympansów.

REWOLUCJA KONSERWATYSTÓW. Niegdyś parlament angielski obradował w kościele i „speaker”, przewodniczący Izby, siedział tyłem do ołtarza. To też po skończeniu obrad uważał za swój obowiązek skłonić się trzykrotnie przed ołtarzem i wycofać się do wyjścia tyłem przez szacunek dla świątyni. Od bardzo — bardzo dawna parlament angielski nie obraduje w kościele, a jednak „speaker” po skończeniu obrad kłania się trzykrotnie swemu fotelowi. Tak zachowała się forma zewnętrzna zwyczaju, podczas gdy treść uległa zmianie radykalnej.

To jest istotna cecha Anglii. Zachowawczość w formie,

radikalizm w treści. Permanentna rewolucja pod patyną konserwatyzmu. Uśmiech dziecka na twarzy imperialisty i zdobywcy. Stąd wszystko to, co gdzieindziej przechodzi wstrząsem i katastrofą, w Angli udaje się gładko na drodze reform, które legalnie i spokojnie odwracają dotychczasowy porządek rzeczy. Powiedzielibyśmy, że sprzeczności i konflikty, grożące nie wiem czym, dogadują się i znajdują polubowny sposób wyjścia. Anglik z zadziwiającą i jak gdyby wrodzoną ławością kroczy trudną ścieżką na krawędzi pomiędzy albo — albo. Cieszy się równością idealnie demokratyczną i ma zarazem hierarchię, bez której organizacja życia społecznego byłaby nie do pomyślenia. Godzi jednostkę ze zbiorowiskiem. Robi rewolucję paradoksalnie. W sposób umiarkowany.

W 1894 z inicjatywy Wiliama Harcourta zreformowane zostało prawo spadkowe. Ale jak?! Zamiast podatku od rzeczywistego dochodu z sukcesji musieli spadkobiercy przelewać na rzecz skarbu znaczny procent od globalnego oszacowania dóbr. Skutek reformy był taki, że pałace i obszarnicza własność ziemska uległy straszliwemu opodatkowaniu. Sam twórca reformy odczuł to na własnej skórze, bo kiedy oddzielił majątek kolosalny, lecz słabo dochodowy, całą płynną gotówkę zabrano mu w postaci podatku spadkowego i został tylko z zobowiązaniami. Notabene nie wytrzymał dłużej w tej sytuacji i przedwcześnie ze zgryzoty zmarł.

Państwo na tej reformie prawa spadkowego grubo zarobiło. Obliczają, że do dnia dzisiejszego z górą półtora miliarda funtów sterlingów. Cyfra, od której może się nam Polakom w głowie zakręcić...

Jednocześnie dzięki tej reformie odbyła się głęboka przemiana w strukturze gospodarczej kraju. Stopniowo zlikwidowano zbytkowne i niekalkulujące się przerosty w stanie posiadania, wiele dóbr uległo parcelacji, od pałaców ruszono

ku domom czynszowym i urbanizacji. Najbogatsi dostali po kieszeni. Ustawa ograniczała przywilej. Struktura Anglii przystosowała się do nowych zadań i potrzeb mniejszego człowieka.

Tak reforma prawa spadkowego dokonała doniosłej w skutkach rewolucji finansowej, a zacy skądinąd sir William Harcourt okazał się rewolucjonistą mimo woli. Charakterystyczny dla Anglii fakt z przeszłości.

Drugi fakt nie mniej charakterystyczny mierzy w przyszłość.

Był sobie niejaki Kingsley Fairbridge rodem z Południowej Afryki. W 1909 r. mając 24 lata wystąpił z projektem emigracji dzieci. To znaczy żeby to młode pokolenie marniejące w rynsztokach, degradowane przez życie na złodziei i nędzarzy, to bez dozoru i nadziei na lepsze jutro — pokierować planowo z korzyścią obustronną: i dla państwa i dla dziecka, o które chodzi. Na drogę odpowiednio zorganizowanej kolonizacji w dominiach. Realizacji swego pomysłu podjął się sam, apostoł bezinteresowności, mistyk idei, pionier ruchu.

W 1912 r. razem z młodą żoną wyruszył do Australii, gdzie nabył 65 ha dzikiego terenu, wybudował skromny domek, parę baraków i na to małe gospodarstwo sprowadził kilkunastu uliczników z Londynu. Ferma, szkoła, jacejka nowego życia, wszystko co chcecie, jak sam był wszystkim po trochu: fonałem, drwalem, rolnikiem, ogrodnikiem, hodowcą, nauczycielem, wychowawcą, ojcem i opatrnością. Dzieci przyjeżdżały z Anglii coraz liczniej, rodzina zbiorowa rozrastała się. W czasie wojny światowej trzech wychowanków Fairbridge'a zginęło na froncie. Lecz idea znalazła już należyty w ojczyźnie oddźwięk. Udzielono większych środków, urządzono drugą i trzecią fermę, powołano w Anglii do życia specjalne Towarzystwo Emigracji Dzieci. Eksperyment

odsłonił perspektywy nadzwyczajne. Wywołał przewrót w ustalonych dotąd formach ruchu emigracyjnego.

Próby zlikwidowania bezrobocia w Anglii przez ułatwienie wychodźstwa robotniczego do Kanady dały w rezultacie kompletne fiasko. Koncepcja Fairbridge'a występuje z czymś zgoła odmiennym, stanowi prawdziwą rewolucję. Emigruje dziatwa w wieku średnio 10 lat. Na emigracji do r. 14-go kończy szkołę powszechną, po czym przechodzi 18 miesięczny kurs dokształcający, który polega na przećwiczeniu uprawy ziemi oraz przerobieniu dodatkowych związanych z rolnictwem rzemiosł, jako to: kowalstwa, murarstwa i ciesiołki. W 16 r. życia młody człowiek opuszcza fermę - jacejkę i udaje się na praktykę do miejscowych kolonistów. System płac tak jest powiązany z przymusowym systemem oszczędnościowym, że praktykant po jakimś czasie uniezależnia się i przechodzi na swoje, jako drobny samodzielny gospodarz. A przy tym jako wyraziciel pewnej idei, jako pionier nowej metody kolonizacyjnej, jako awangarda imperializmu angielskiego w innej niż dotąd, doskonalszej postaci.

Kingsley Fairbridge umarł młodo w 1924 r. z przepracowania i z malarii, której się nabawił w Afryce. Imię jego nadano wzorowej fermie doświadczalnej dla emigrujących dzieci. Następnie wpisano w poczet „eksploratorów“, twórców imperium światowego Wielkiej Brytanii. I co najważniejsza, dziełu jego nadano rozpęd iście imperialistyczny. Budżet Tow. Emigracji Dzieci wzrósł do rozmiarów 100 tysięcy funtów sterlingów. I to nie żadna łaska obywatelska, tylko lokata imperializmu. Wywozi się 50 tys. dzieci, a im dalej tym więcej. Metropolia zasila dominia nową generacją i wychowuje ją w duchu pionierskim, zdobywczym, imperialistycznym.

To przekształcenie dzieci ulicy w zdobywców; to przetransponowanie minusów tutaj na plusy tam; to odsłonięcie per-

spektyw dalekosiężnych na nową formę penetracji między-
lądowej, czyż to nie rewolucja, dokonywana spokojnie, sy-
stematycznie, po apostołsku, tak radykalnie jednak, że może
zmienić oblicze świata... Oto co potrafi Anglia.

EPOKA WIKTORIAŃSKA. W 1897 r. Wielka Brytania obchodziła uroczyste brylantowe gody panowania królowej Wiktorii. 60-lecie wstąpienia na tron. Święto imperium. Olbrzymia defilada wojsk w Londynie wyglądała właściwie na defiladę wszystkich ludów świata wobec Anglii i jej imponującej „splendid isolation”. Był to prawdziwy triumf rzymski, jak powiada Maurois w swym dziele „Edward VII i jego czas”. Triumf monarchini globu. Szły pułki angielskie, szkockie, irlandzkie i walijskie, szła piechota z Przylądka Dobrej Nadziei, czarni Afrykańczycy, mieszkańcy Kanady, Australii i Indii, szli Chińczycy z Hong-Kong, Dajakowie z Borneo, Zaptiowie z Cypru... Moment kulminacyjny. Anglia znalazła się u szczytu chwały i potęgi.

Dziwnym jednak zrządzeniem opatrności w tymże czerwcowym dniu hołdu i blasków oręża rozległ się głos puszczyka. Młody wówczas, ale już znakomity poeta imperializmu angielskiego, Rudyard Kipling, przemówił ze szpalt „Times’a” pysznym wierszem patriotycznym i w wierszu tym obwieścił, że już wodzowie i królowie odchodzą. Natchniony duch przewidział koniec epopei. Jakoż w niespełna 3 lata po tym triumfie jubileuszowym rozpoczęła się nieszczęśliwa dla Anglii wojna z Boërami w Transvaalu. Zmierzch bogów. Przełom epoki wiktoriańskiej.

Zresztą nie tylko pod tym względem, od zewnątrz. W stosunkach wewnętrznych Wielkiej Brytanii, w strukturze gospodarczej i w układzie warstw, odbywa się również gruntowna przemiana. Życie publiczne z pod znaku arystokracji przechodzi pod batutę burżuazji przemysłowej. Do Izby

Gmin dostają się przedstawiciele robotników z Partii Pracy. Pierwszy ten przeblysłk gminowładztwa otwiera dalsze możliwości polityczne i socjalne, powoduje szereg głębszych zmian, kasuje przywileje, przeprowadza faktyczną rewolucję pod patyną umiarkowania i konserwatyzmu, hierarchii i porządku. Oto co potrafi Anglia. Zawsze idzie z duchem czasu i w zgodzie z nim reformuje się od stóp do głowy. Zawsza w starej skorupie obyczaju i w starej ramie bezpieczeństwa granic.

PODŁUG ZASAD PIŁKI NOŻNEJ. Przechodzi się przez most wtedy, kiedy się do mostu dojdzie. Tak mówi przysłowie angielskie, mądrość ludu, praktyczność i zdrowy sens. Bo Anglik nie rozstrzyga żadnych zagadnień z góry, a priori, teoretycznie, tylko gdy one zaczną „zachodzić“, stawiać się faktami w życiu.

Salvador Madariaga w książce „Anglik, Francuz, Hiszpan“ podkreśla specjalnie, iż mentalność i charakter Anglika wypowiadają się w działaniu. Anglik szuka wciąż konkretności. Życiowość jest jego żywiołem. Stąd konieczność swobody dla aktów woli. Jak w grze sił, jak w sporcie. Fair-play. Całe życie angielskie zorganizowane zostało bez przesady podług zasad piłki nożnej, foot-ball'u. Sportowa organizacja życia zbiorowego. Ale jednocześnie spontaniczna, praktyczna i rycerska. Opozycja polityczna i socjalna uważana musi być za organicznie potrzebną do kompletu gry jak w piłce. Dla nas może to być dziwaczne i niezrozumiałe, dla Anglików natomiast jest to naturalne. Otóż na tej drodze ściśle naturalnej w ramach lojalnej gry dokonywa się bezustanna przebudowa społeczeństwa angielskiego, naturalne kształtowanie potrzebnych nowych instytucji, paradoksalna rewolucja w pantoflach i peruczce. Władza w państwie przechodzi z rąk do rąk, lecz ciągle pozostaje pod okiem króla i z za-

chowaniem form tak dalece, że nie spada puder z pontyfikalnych szat i insygniów panowania.

Polityczna mądrość angielska głosi, że za wolność płaci się wiekuistym czuwaniem. Wolny i demokratyczny Anglik uważa w sposób naturalny bunt jednostkowy i warcholstwo za rzecz niegodną człowieka, za jakąś degradację moralną, za nielojalność wobec drużyny, w której się gra. Dla tego nawet najbardziej lewicowi socjaliści są tam — narodowcami. Oto co potrafi Anglia.

W ALKAZARZE. Biada w tej chwili narodom, które nie umieją sprzecznych prądów wewnętrznych opanować, albo — co byłoby rozsądniej — sprowadzić do lojalnej gry na wzór angielski. Tak żeby się rozchodziło tylko i wyłącznie o to, kto pierwszy zrobi „goala“ danej reformy, kto najprędzej i najumiejtniej przebuduje.

Nigdy nie jest zapóźno, dopóki jeszcze możemy się dogadać lojalnie, sportowo, po rycersku, uzgodniwszy najpierw samą zasadę działania: wielkość, całość, niepodległość własnego państwa. Oto aksjomat, który nie może się stać przedmiotem dyskusji. Oto sprawa wiekuista, dla której poświęcamy zawsze siebie i wszystko.

Jesteśmy w Alkazarze. Na szczęście nie w sensie hiszpańskim, żeby brat przeciw bratu... Polska cała jest niby w Alkazarze, obleżona przez trudności i wrogie siły świata. Tym pilniej winna pojednać się wewnętrznie na gruncie jednej jedyniej zasady działania. Dla niej niech się obudzi czym prędzej w sumieniu każdego Polaka lew Alkazaru.

ANTYCHRYST PUKA DO DRZWI

Wszyscy wiedzą, że masoneria istnieje. Nikt nie wątpi, że przedstawia ona siłę zorganizowaną. Trzy cechy znamionują jej sposób oddziaływania: 1. opanowywanie elity umysłowej w postaci przede wszystkim wolnych zawodów; 2. tworzenie psychosfery, czyli inaczej mówiąc opinii publicznej, ułatwiającej znakomicie realizację pożądanych faktów; 3. tajemnica konspiracji na tyle osłoniętej, żeby można było przygotować co się chce, i na tyle zdezwuowanej, żeby o konspiracji mówiono powszechnie, bo to budzi specjalny lęk.

Masoneria jest wszędzie, w każdym kraju, na prawicy i na lewicy. Różne „zakony“ i różne „obrządkı“. Nie trzeba jednak przesadzać ich zgrania z sobą, ich jakoby sztabowego porozumienia, ich centralistycznej dyspozycji planowania, aczkolwiek i pod tym względem są próby koordynacji w formie konwentów międzynarodowych oraz stałej instytucji A. M. I. (Association Maçonnique Internationale — Stowarzyszenie Masońskie Międzynarodowe). W powiązaniu czynnika lokalnego z międzynarodowym tkwi milion sprzeczności zależnych od właściwości rasowych, potrzeb, poziomów, przeszkód i czasu, w którym się rzecz dzieje, — słowem, od miliona przyczyn i powodów. Byłaby z tego mozaika nielada, gdyby nie jedna kardynalna zasada, z której powstał ruch wolnomularski i dla której istnieje. Jedna kardynalna zasada pomimo różnaitości „zakonów“ i „obrządków“.

W Paryżu odbywają się — o czym wszyscy wiedzą —

konwenty, czyli walne zgromadzenia doroczne trzech zakonów (dane czerpiemy z miesięcznika „La bataille antimacornique“ 4 rue Castellane, Paris 8). Uchodzą one za najpoważniejsze tak co do liczby członków jak i co do wpływu na politykę u siebie i zagranicą.

„Wielki Wschód Francji“. Siedziba w Paryżu, 16 rue Cadet. Należy podobno 40 tysięcy ludzi z samej tylko Francji, wśród nich najwybitniejsi mężowie stanu i działacze.

„Wielka Loża Francji“. Siedziba w Paryżu, 8 rue de Pu-teaux. Liczy u siebie nie więcej niż 17 tysięcy członków, posiada za to gęstą sieć filij zagranicą, zwłaszcza w Europie Środkowej. Uchodzi za najbardziej zażydzoną i konspiruje się nadzwyczaj starannie. Utrzymuje kontakt z lożami angielskimi i z sowiecką „Alpiną“. Jeden Konwent międzynarodowy tego „zakonu“ w Pradze zaszczycony został honorowym przewodnictwem „brata“ Benesza, prezydenta Republiki Czechosłowackiej i jednocześnie wielkiego mistrza Wielkiej Loży Czechosłowacji. Z tajnych obrad przedostało się coś nie coś do wiadomości publicznej, a mianowicie, że miejsce w Pradze na zjazd międzynarodowy zalecone było przez loże angielskie i że Czechosłowację uznano jednogłośnie za łącznik pomiędzy Wschodem a Zachodem, to znaczy pomiędzy Rosją Sowiecką a Francją.

„Prawo Ludzkie“. Siedziba w Paryżu, 5 rue Jules-Breton. Liczy we Francji 7.500 członków, lecz chyba dziesięć razy tyle zagranicą. Wyjątkowy jak na stosunki francuskie udział kobiet. Tym może tłumaczy się wybitna w tym „zakonie“ skłonność do zakładania łóż teozoficznych obrządku hinduskiego.

Ma się rozumieć, że trzy wyżej wymienione „zakony“ nie wyczerpują bynajmniej listy łóż masonskich. Są jeszcze angielskie, szkockie, niemieckie, szwajcarskie, amerykańskie. Są odrębne żydowskie „B'nai B'rith“ z hierarchią władz

o charakterze międzynarodowym. Do nich należy obecny premier Francji, brat starozakonny Leon Blum. Wszystkie one nie tylko sąsiadują z sobą, ale przeplatają się, „filiują“, porozumiewają i wiążą, miewają swoje frondy, swoje walki wewnętrzne o wpływy, swoich mężów opatrznosciowych, swoje okresy powodzenia i upadku. W każdym razie Francja jest w obecnej chwili dla masonerii prawdziwą ziemią obiecaną. Promieniają tu wszystkie niemal „zakony“ i „obrzędkie“ z całego świata.

MŚCICIELE HIRAMA. Masoneria wywodzi się legendarnie od pewnej konspiracji, którą zawiązała pomiędzy sobą w w. XII w Palestynie część krzyżowców francuskich z rycerzami Hugonem de Payens i Gotfrydem de St. Omer na czele. Byli to żołnierze świątyni, *milites templi*, Templarii, Templariusze. Ostatni ich wielki mistrz Jacques Molay z XIII w. uważany jest dotąd za duchowego patrona wolnych mularzy (francs - maçons).

Formy rytualne, takie dziwactwa makabryczne jak skakanie przez trumnę, wyprowadzają niektórzy aż z wiedzy tajemnej Egipcjan, z obrzędów wschodnich w ogóle, z kabały, z wtajemniczeń sekciarskich, osobiście z herezji manichejczyków, którzy od proroka swego Manesa wzięli dwoistość natury, dobro i zło, Ormuzda i Arymana.

Historycznie biorąc, wolnomularstwo powstało w 1717 r. w Londynie z połączenia czterech konfraterni albo łóż korporacyjnych majstrów mularskich i majstrów budowniczych. Utworzono Wielką Lożę i wybrano Wielkiego Mistrza. Z czasem doszły jednostki z poza fachu, alchemicy, kabaliści, różokrzyżowcy, filozofowie i naprawiacze. Tradycja znaków zewnętrznych i terminologia pozostały korporacyjne, pachnące średniowieczem zamierzchłym, z dodatkiem różnych formuł ezoterycznych, trochę „pour epater le bour-

geois“, więcej przez snobizm, a najwięcej dla odseparowania się od świata. Odtąd nie interesy korporacji, lecz myśl wysunięta została na plan pierwszy. Idea filozoficzna. Doktryna i mit. Symboliczne narzędzia pracy mularskiej, kielnia i trójkąt, stały się symbolem nowej koncepcji przebudowy świata. I tu dla potrzeb duszy ludzkiej, która zawsze szuka wiary jako źródła czynów i natchnień, zrekonstruowano mityczną postać Hiram.

Żył on na 1000 lat przed Chrystusem. Był królem Tyru i genialnym architektem. Salomonowi dostarczać miał pono materiałów i planów do budowy wielkiej świątyni w Jerozolimie. Wobec tego, że został zamordowany nie mógł dokończyć rozpoczętego przez siebie dzieła, którym było nadanie nowej formy architektonicznej budownictwu świata. Wolni mularze są kontynuatorami niedokończonego dzieła Hiram. W sensie, naturalnie, symbolicznym. Hiram to ludzkość, którą morduje ciemnictwem, przymusem, dyscypliną, starą formą życia zbiorowego. Wolni mularze mają wyzwolić ludzkość z tej opresji. Wolni mularze są mścicielami Hiram.

Dziedzina symbolów, dziedzina filozofii. Pierwszy artykuł Konstytucji masońskiej głosi co następuje*):

„Masoneria, instytucja w gruncie rzeczy filantropijna, filozoficzna i postępową ma na celu poszukiwanie prawdy, studium moralności; masoneria pracuje nad poprawą materialną i moralną nad udoskonaleniem umysłowym i społecznym ludzkości“.

Tylko, że w takim ujęciu filozofia dla realizacji musi schodzić na ziemię, agitować, jednać zwolenników, robić politykę, działać. Musi rzucać hasła, nieść sztandar, komuś i czemuś się przeciwstawiać, walczyć. W obronie uciemczo-

*) Materiały, uwagi i myśli o masonerii wyjmuję z książki: Robert Vallery-Radot „Dictature de la Maçonnerie“, Grasset, Paris, 1934.

nej ludzkości, tego symbolicznego Hirama, mordowanego wcale nie symbolicznie. Przez kogo?

Wiemy, kto niemal od dwóch tysięcy lat ewangelizuje świat. Kościół. Wiemy, kto niesie wizję odrodzenia ludzkości na rewolucyjnych zasadach sumienia apostołskiego. Kościół. W blasku jego objawienia zakwitła doktryna chrześcijańska, myśl filozoficzna, koncepcja absolutna wiążąca człowieka z Bogiem w porządku ustalonym, w hierarchii celów, w dyscyplinie.

Tymczasem obok występuje nowa ewangelia, konkurencyjna. Masoneria głosi wyzwolenie człowieka z porządku ustalonego, z hierarchii, z dyscypliny. Żeby zaś tym prędzej uwolnić Hirama z więzienia obowiązków, masoneria podaje buntownikowi solidarną dłoń. Masoneria jako organizacja oparta na konspiracji zaprzysiężonych i na bezwzględnym posłuchu.

Tak powstał spisek, który swymi tajnymi rozgałęzieniami, niby gęstą siecią, pokrył całą Europę, przefiltrował warstwę kulturalną wszystkich krajów, zabarwił całą umysłowość. Opanował uniwersytety, ośrodki naukowe, szkoły, prasę, literaturę, opinię i władzę polityczną. Wstrząsnął ludzkością. Zmienił oblicze Europy. Stał się zaiste kościołem konkurencyjnym, antychrystusowym. Podjął się bowiem przebudowy społeczeństwa i państwa na nowej zasadzie, materialistycznej, bez Boga.

Analiza historyczna drugiej połowy w. XVIII, całego w. XIX i tego trzydziestoparolecia w. XX, w którym żyjemy, to prawdziwa rewelacja akcji masońskiej, istna radioskopia spisku.

Konwent międzynarodowy łóż masońskich w Wilhelmstadt w 1781 r., następnie takiż konwent w Paryżu w 1785 r. poprzedzają Wielką Rewolucję. Cała organizacja Francji ewolucyjnej pokrywa się ściśle z organizacją masońską.

Na 605 deputatów do Stanów Generalnych zasiada 477 masonów. Wielka rewolucja jest ich dziełem. Bóstwa żadnego nie ma, jest tylko wola zbiorowa, prawo większości jako wyraz woli powszechnej, owoc nauki Russa o „Umowie Społecznej“. Potargane zostały wszelkie związki krwi, ducha, stanów i narodów, obalone, zdeptane. Zostało stado jednostek pod znakiem trójcy nicości, Równość, Wolność i Braterstwo, nad nimi zaś jedyna dopuszczalna hierarchia — łoży masońskiej. Jako hasło — Braterstwo albo Śmierć. Działalność Klubów Jakobińskich, to tylko aspekt zewnętrzny umiejętnego operowania masami z za kulis zakonspirowanej łoży. Używano w razie potrzeby nawet — teroru. W imię wolności sumienia. W obronie praw człowieka i obywatela.

Bojowcami masonerii byli w w. XIX „węglarze“ (carbonari), powołani do życia w postaci oddziałów szturmowych najpierw w Besançon w 1809 r., a później wszędzie. „Do obowiązków węglarza należy — pisze historyk Vaulabelle — mieć strzelbę, 50 naboí i być gotowym ślepo wykonywać rozkazy zakonspirowanych szefów“.

Zaraz po wojnie francusko-pruskiej, kiedy dopiero decydowały się losy przyszłego ustroju politycznego Francji, odbył się konwent masoński w Locarno w październiku 1872 r. Przewodniczył delegat Prus, gen. Etzel. Francja była również reprezentowana. Na porządku obrad znalazły się trzy kwestie: jaki ma być system rządów we Francji? jaki nowy kult powinno się wprowadzić na miejsce katolicyzmu? czy nowa wojna z Francją potrzebna jest demokracji? Te same kwestie porusza kanclerz Bismarck w listach z tego czasu do ambasadora Niemiec, Arnima w Paryżu. Odpowiedź na te kwestie daje system rządów III Republiki Francuskiej i cała jej taktyka oficjalna aż do wybuchu wielkiej wojny światowej. Masoneria stała się wiązaniem, kośćcem

i szkieletem III Republiki. Organizacja państwa — emanacją masonerii. Forsowanie nowej materialistycznej zasady życia. Wypędzanie Chrystusa ze społeczeństwa i z instytucji. Kult świeckości za pomocą gwałtu. Braterstwo albo śmierć. Oczywiście, braterstwo w łoży, a nie inne. Wolność podporządkowana ślepo „zakonowi“ kielni i trójkąta, mścicielom Hirama.

SYNAGOGA SZATANA. W dniu 20 kwietnia 1884 r. wydał papież Leon XIII encyklikę „Humanum genus“. Nikt głębiej ani lepiej nie skrytykował masonerii, nikt wspanialej nie rozciągnął jej w szrankach sporu doktrynalnego, nikt dokumentniej nie zdemaskował jej taktyki i machinacyj. W każdym państwie penetracja masonerii prowadzi do zajęcia przez nią sytuacji suwerennej. Po co? Żeby duchowemu, leżącemu w naturze wyższemu porządkowi rzeczy przeciwstawić porządek materialistyczny. Zdezorganizować państwo. Na to zaś miejsce postawić fikcję między państwowego porozumienia. Ligę Narodów, jako łożę najwyższą wśród wielkich łoż. I wtedy gra brutalnych interesów jednostkowych. Bogaćcie się. Spółka Panamska i Stawiskada pod auspicjami przekupnych parlamentów i władz. Encyklika już wtedy, zanim jeszcze wystąpili na arenę socjaliści, uderzyła w strunę akcji socjalnej, o czym masoneria zgoła nie pamiętała.

Ton społeczny, podjęty wbrew i przeciw masonerii, wykazuje dowodnie, że rewolucyjna przebudowa struktury gospodarczej i społecznej zachodzić może niekoniecznie przy akompaniamencie rozpasania i rozwyrdrzenia zwanego „rewolucją mas“, albo „ruchem demokracji“. Że niekoniecznie musi być łączona z obaleniem autorytetów i światopoglądów duchowych. Że niekoniecznie trzeba w tym celu niszczyć podstawy własnego państwa. Wprost przeciwnie.

Masoneria nigdy nie szła w awangardzie akcji społecznej. Była typowym konspiracyjnym spiskiem burżuazyjnej inteligencji. I dopiero prądy socjalistyczne i komunistyczne użyły jej jako awangardy, jako apostołów przygotowujących grunt pod socjalizm i komunę. W obu fazach masoneria odgrywa raczej rolę burzycielską po to, aby kto inny budował nowy porządek świata. Z tego tytułu akcji lucyferycznej trafnie nazwał masonerię, zdaje się że Pius IX, synagogą szatana. *Milites templi Antichristi*. Żołnierze kościoła Antychrysta.

Starły się niewątpliwie dwa kościoły, Chrystusa i Antychrystusa. Ujął to świetnie minister socjalistyczny Viviani, kiedy we Francji rozgorzała namiętna walna o świeckość: „Kto zwycięży, czy społeczeństwo oparte o wolę człowieka, czy o wolę Boga?”. Tak też należy rozumieć akcję masonską na świecie. Mistyka walczy z mistyką, doktryna z doktryną, zasada przebudowy z odmienną zasadą przebudowy. Nieomyślności ducha przeciwstawia się nieomyślność nauki. Wolnej duszy ludzkiej — determinizm ewolucyjny, wiodący w nicość, w proch, z którego powstaliśmy.

Ale postęp, demokracja, ludzkość, — to już nam dzisiaj nie wystarcza.

Narody, które masoneria obudziła do życia, zaraz obróciły się przeciwko niej. Fichte w w. XIX zapoczątkował w Niemczech ruch w kierunku nacjonalizmu. Wykwit nacjonalizmu, hitleryzm, pozamykał loże. Cavour zawdzięcza Młodej Europie masonskiej i Mazziniemu zjednoczenie Włoch. Corradini kładzie podwaliny pod ideę imperializmu włoskiego i faszystwu, który likwiduje bez pardonu masonerię. We Francji czynią to: Barrès, Peguy, Maurras... Bariera przeciw masonerii. Idea żołnierza i zakonnika, honoru i prostoty, jako najszlachetniejszego tworzywa narodu. Nie ma dziś lewicy ani prawicy, jest zdrowy sens narodowy, który deza-

wuuje mistyfikację postępu, ludzkości, demokracji, maso-
nerii, frontu ludowego, socjalizmu i komuny. Słowem, an-
tychrysta.

Antychryst puka i do naszych drzwi. Otworzyć, czympre-
dziej otworzyć! Ale z bronią w ręku. Bić siłą idei i siłą pię-
ści. Pędzić go aż do czeluści, z których wychynął, i tam za-
dać mu cios śmiertelny.

MARSZ CORRADINIEGO

Książęce nazwisko węgierskie Rakoczy, do którego już w w. XVIII przyrosła tradycja nieubłaganej walki z Austrią o niepodległość, stało się w w. XIX legendą, ideą, hasłem. Słowo to niby osobliwy ton porywało do czynu, nieciło bunt. Szło powiewem i muzyką, wybuchało dynamiką nieposkromioną, zaraźliwą tak dalece, że i my Polacy z Bemem na czele musieliśmy się w 1848 r. wtrącić w sprawę nie naszą pomiędzy Austrię a Węgry. Przy dźwiękach marsza Rakoczego nie tylko nogi zaczynały drgać do taktu, ale co ważniejsze — serca biły w tempie przyspieszonym, uskrzydlał się duch, płonęła wyobraźnia legendą, ideą i hasłem. Na dźwięk tego jednego nazwiska rodziła się w osobliwej atmosferze tamtych czasów nowa emocjonalna wiara — w prawo ludów do wolności.

Rolę analogiczną dzisiaj w w. XX dla naszego pokolenia odgrywa nazwisko Corradiniego. Tylko teraz ten porywa nas dalej i wyżej, od wywalczonej wolności do siły, którą należy ukształtować, od osiągniętej niepodległości do potęgi, którą musimy wypracować. Jak? Przez nową emocjonalną wiarę w naród, przez ton wewnętrzny, przez specjalne ujęcie produkcji, przez zdobywczą dynamikę na każdym polu i w każdej dziedzinie. Tego rodzaju aktywność, do tego prowadzącą celu, Corradini nazywa nacjonalizmem lub szerzej — imperializmem. Naród albo zdobędzie się na marsz zdobywców, albo zginie. Sonata heroiczna albo nicość. Takie jest nieubłagane prawo życia.

Enrico Corradini urodził się w 1865 r., zmarł, o ile mi wiadomo, w 1933. Żył więc na przełomie dwóch stuleci XIX i XX, dwóch epok dziejowych. Widział schyłek demokracji liberalnej i narodziny nacjonalizmu. Sam to zresztą spowodował w niemałym stopniu i przyspieszył na długo przed tym, zanim się komukolwiek wyśnił faszyzm. Krytyk literacki i teatralny, powieściopisarz i dramaturg, pisarz polityczny, mówca, twórca i wódz stronnictwa, razem zaś tęgi nauczyciel w szkole miłości ojczyzny.

Kłęska Włochów pod Aduą wywołała w nim bolesny kompleks niższości. To był jakby punkt zwrotny w myśleniu politycznym. Kompleks Adui a wizja Romy, co za rozczarowanie?! Italia jako żalosna spadkobierczyni władców świata. Słabość na gruzach mocy. Trzeba tedy pójść na przekór rzeczywistości. Trzeba właśnie odrodzić autorytet i siłę nowej Italii tak, by teraźniejszość nie zdradzała wielkiej i godnej przeszłości.

Wojna rosyjsko - japońska, podobnie jak u nas Piłsudskiemu, nasuwa Corradiniemu koncepcję rycerskiej moralności wojennej w przeciwieństwie do zakłamaney i cynicznej moralności pacyfistów. Ofiarność i poświęcenie jednostki na rzecz dobra powszechnego. Apogeum żołnierza w boju.

W założonym przez siebie w r. 1903 czasopiśmie „Il Regno” głosi w sposób umotywowany potrzebę idei narodowej, jako zasady przebudowy Włoch.

W r. 1909 wyjeżdża do Ameryki Południowej, gdzie bada stosunki emigracyjne, po czym powraca do kraju z myślą przewrotu w polityce emigracyjnej. Zamiast emigracji — ekspansja. Zamiast groźnego upustu krwi plemiennej — praca wychodźstwa w łączności z macierzą. Każdy Włoch zagranicą musi być pionierem wpływów włoskich, przemysłu, handlu, kultury i stylu Italii.

W ogniu tych doświadczeń i obserwacji idea narodowa

zdobyła formę zdecydowanej, wyraźnej, rewolucyjnej doktryny. Naród proletariuszy winno się przekuć na naród producentów i właścicieli. Biernych i uległych przerobić na zdobywców. W tym celu powstał pierwszy w Italii Związek Narodowy w 1910 r. W tym też celu powołano do życia w 1911 r. pismo codzienne „Idea Nazionale” z Corradinim jako redaktorem naczelnym. Marsz Corradiniego znalazł w dzienniku swój wyraz propagandy, wywiesił sztandar ruchu. Corradini został wodzem partii. Kompleks Adui oparty na drodze faktów dokonanych. Przygotowanie wypadu na Afrykę. Trypolitania. Na kongresie w Rzymie w 1912 r. proklamowanie walki z masonerią, czyli uświęcenie zasady suwerenności własnego narodu. W r. 1914 akcja na rzecz interwencji Włoch w wojnie światowej po stronie Entente’y. I wojna. Po słowie i piórze — karabin. Po pieśni — czyn.

W 1922 r. akces do faszyzmu. Jest coś symbolicznego w zmianie koszuli: błękitnej nacjonalistów na czarną faszyistów. Coś jak przejście od elity do mas. To nacjonalizm czynny, twórczy i radykalny, nacjonalizm jako system działania rozlał się falą żywiołową po całej Italii, porwał tłumy, z partii ogarnął naród.

Wydaje mi się, że nikt dotąd w Polsce nie tłumaczył Corradiniego, ani o nim obszerniej nie pisał. Niech mi tedy wolno będzie przytoczyć w luźnym streszczeniu uwagi i myśli z arcyciekawej książki „Marsz producentów” („La marcia dei produttori”. Enciclopedia Nazionale, Roma, 1916).

Poprzez fenomen drobny i zdawałoby się, że ograniczony do działalności ściśle ekonomicznej, Banca Commerciale w Mediolanie, Corradini poddaje gruntownej analizie fenomen kolosalny imperializmu germańskiego. Wykazuje, jakimi drogami posuwa się zdobywczość Niemiec, ich ekspansja na zewnątrz, ich ofensywa polityczna, którą plano-

wo poprzedza akcja przygotowawcza kapitału niemieckiego. W pierwszej fazie imperializm gospodarczy, w drugiej — polityczny. Najpierw bankier, później żołdat. Takie jest powszechne prawo dziejów ludzkości. Teoria — tak, ale ona kształtuje umysły i ducha, ona wywiera wpływ, ona jest muzyką, a w takt tej muzyki układa się zbiorowe działanie narodu.

Kiedy Niemcy masowo emigrowali, to wcale nie według jakiegoś planu, żeby świadomie zdobywać świat dla swego imperium, lecz nastawienie to nieśli w sobie, mieli je w drylu, w instynkcie, we krwi. Wszędzie, gdziekolwiek stawali do pracy, tworzyła się ich atmosfera, poddawali swój ton, nieświadomie wypełniali misję niemiecką, realizowali aktywność w swoim niemieckim stylu. Stawali się awangardą niemieckości. Opanowywali system gospodarczy, skąd już krok tylko do panowania politycznego. Albowiem system polityczny, który nie opanuje systemu ekonomicznego, nie panuje wcale.

Banca Commerciale w Mediolanie powstał z kapitału niemieckiego w trzech postaciach: austriackiej, szwajcarskiej i niemieckiej. Trzy postacie miały jednego autora. W celach autora leżało podniesienie i rozwój przemysłu włoskiego, ale o tyle tylko, o ile to się mieściło w planach imperializmu niemieckiego, który dając kapitał kontrolował i oprocentowanie i sposób użycia. Przemysł włoski mógł być co najwyżej filią przemysłu niemieckiego. Państwo włoskie filią państwa niemieckiego. Misternie skonstruowany system opieki politycznej. Typowa kolonizacja z pozorami i metodami wysokiej kultury.

Udział Italii w wojnie europejskiej po stronie Entente'y a przeciwko Niemcom wywraćiał ów cały plan podboju i kolonizacji niemieckiej. Zrzucił jarzmo z narodu włoskiego, wyzwalał państwo z niewoli faktycznej. Nowa uniezależnio-

na wewnątrznie Italia zdobywała kresy na północy, opanowywała Adriatyk, mogła walczyć o preponderancję na Morzu Śródziemnym i stąd iść w kierunku naturalnej ekspansji starorzymskiej na Afrykę. Przyszła polityka imperium włoskiego ukazana jak gdyby w jednym błysku. Wizję tę odślaniał marsz Corradiniego. Realizował zaś w dwadzieścia lat później Mussolini.

Są dwa patriotyzmy: wrodzony, szukający ujścia w wylewie górnołotnych słów, i aktywny, realny, wyspecjalizowany. Tego znacznie mniej. A przecież w nim dopiero konkretyzuje się emocja, on stanowi o dynamice na wszystkich sektorach życia, przez niego gospodarstwo jednostkowe wiąże się w całość narodową z państwem, osiąga swój sens polityczny. Mgliste poczucie dobra powszechnego staje się zrozumiałe, jasne i wykonalne dopiero w podporządkowaniu swoich osobistych spraw sprawie państwa. Duch i moralność żołnierza frontowego.

Do czego to prowadzi? Do wytworzenia nowego rodzaju siły zbiorowej, do imperializmu najpierw wewnętrznego.

Imperialistyczni są producenci w państwie, od najmniejszego do największego, wszyscy na górze, czy wyrastający z nizin — książęta nowych czasów, konstruktorowie siły. Dyrektorzy przedsiębiorstw, właściciele kopalń rudy i węgla, bankierzy, kupcy, posiadacze rolni, rzemieślnicy mają rację bytu o tyle, o ile ustosunkowują się do państwa na wzór i podobieństwo średniowiecznych feodałów do suwerena. Własne państwo gwarantuje im wolność i siłę osobistą. Wolność i siła osobista wymagają dyscypliny i karności zbiorowej. Przez wolny i silny naród państwo tym skuteczniej rusza na podbój świata i tym lepiej broni się przed inwazją obcą. Stopniem swojej organizacji gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Tempem dynamiki swoich producentów. Poziomem moralności obywatelskiej. W tym rozumie-

niu dyrektor fabryki równa się generałowi dywizji. Technika i rytm życia bazują się na wartościach duchowych, posiadają swoją wagę wewnętrzną, prowadzą do organicznego i dynamicznego powiązania wszystkiego w całość. Człowiek z państwem. Państwo jako organizm dynamiczny, nie statyczny. Państwo rosnące od wewnątrz, żywe i zdobywcze. imperialistyczne.

Historia zna wiele dróg, ale jedna jedyna jest droga wielkości: marsz narodu ku potędze produkcji, czyli ku imperializmowi. Ku bogactwu, lecz żywemu. Istnieje bowiem bogactwo martwe, wypoczynkowe, bogactwo używania. I bogactwo wytwarzające ciągle i bez przerwy, czynne, ruchliwe, dynamiczne, opanowujące. To właśnie bogactwo stwarza siłę i rozpęd. Ono staje się fundamentem imperializmu na wewnątrz i na zewnątrz. Ono uznane zostało przez Corradiniego za podstawę nacjonalizmu włoskiego. Co socjalizm dla proletariatu to nacjonalizm czyni dla Italii. Tamten powołał do życia siłę budzącą i organizującą klasę, ten zaś siłę budzącą i organizującą naród.

Nacjonalizm przeciwstawia się socjalizmowi nie dlatego, że nie chce przebudowy gospodarczej i społecznej. To już dziś nie argument dla dorosłych. Nacjonalizm przeciwstawia się socjalizmowi, ponieważ wnosi swój odmienny plan przetrwania rzeczywistości.

Socjalizm to walka klas. Czymże jednak są klasy i jaka ich funkcja w organizmie narodowym? To są ni mniej ni więcej tylko organizmy dynamiki produkcyjnej na różnych szczeblach i w różnych fazach. Odrębność ich i walka jest niezwykle płodna w skutki. W klasach tak zwanych wyższych dynamika produkcyjna osiągnęła swój szczytowy punkt, dużo wytwarzając—równie dużo spożywa, zużywa się, męczy, słabnie w tempie. W klasach uważanych za niższe dynamika produkcyjna jest w stadium formowania się, rozwoju

i napięcia, bucha w działaniu, pnie się w górę, zwalcza przeszkody, zdobywa, objawia rozpęd i moc. Niestrudzona kolumna ludzkości wychodzi ze świeżych klas ludowych, żeby swoją młodą energią i prężnością zastąpić zużywające się klasy pańskie. Naród organizm większy, klasy organizmy mniejsze, naród zyskuje na tej walce i wymianie klas. A więc nie bezklasowe społeczeństwo jako ideał socjalizmu, lecz rozsądnie w ramach bezpieczeństwa państwa prowadzona walka klas, odświeżanie dynamiki, podtrzymywanie zawsze młodej i śmiałej potęgi produkcyjnej — oto ideał nacjonalizmu. Na tym polega zdrowy rytm życia. Jak życie i śmierć w przyrodzie wiecznie mają miejsce tak, że uwagi na to nie zwracamy, tak klasy walczą, ścierają się, wchodzą i schodzą po szczeblach drabiny społecznej. Cisza byłaby dramatem. Solidaryzm — martwością. Niech pulsuje rytm życia! To nic, że czasami rytm ten narusza się i wikła, że dokonują zmian w sposób przyspieszony, gwałtowny i zły, że robi rewolucję. Życie przywraca organizmowi znowu pulsowanie normalne. Gdyż to leży w naturze rzeczy.

Nacjonalizm potęguje rytm życia, dodaje mu rozmachu i wigoru, wzmacnia szybkość procesów wymiany.

Naród jest tym bardziej imperialistyczny, im klasy są bardziej dynamiczne. Im chętniej i sprawniej przeprowadzają się jako lokatorowie we własnym państwie o piętro wyżej. Tak klasa pracująca dzięki walce klas przychodzi do panowania. Naród przez to potęguje dynamikę produkcyjną. Państwo przez to rusza na podbój świata. Wyższym poziomem organizacji życia zbiorowego. Mocniejszą i technicznie lepiej postawioną dynamiką produkcyjną. Żołnierską z frontu moralnością obywateli. Marszem Corradiniego.

Imperializm to nie branie pod but, to nie zabór, to nie wojna zbója. Imperializm to marsz producentów, to nieubłagane prawo życia, to fakt uniwersalnie obowiązujący. Że

wyższy poziom życia przelewa się na niższy, na nim zdobywa dla siebie i swojej aktywności miejsce, kolonizuje, czyli wzmacnia tam rytm pracy, potęguje dynamikę lokalną do swego poziomu i jednocześnie znajduje ujście dla swoich producentów i zdobywców. Zasada jest więc wytwarzać niż spożywać, stale tętnić energią. Ta a nie inna zasada, *princípioum vitae* tworzy organizmy etniczne, które na przestrzeni wieków rozwijają się do coraz wyższych form, z plemienia w naród, istota wszakże, rdzeń plemienny niby geniusz natury narodowej pozostaje wiekuiście ten sam. Narody przechodzą różne fazy, rozkwitają i upadają, imperializują się lub afrykanizują, kolonizują same i znowu stają się obiektem kolonizacji obcej, jeżeli opada ich dynamika produkcyjna, ta niewzruszona żywotna zasada imperializmu. Potem cudownie, nie wiadomo dla czego odradzają się. Budzi się w nich duch żołnierzy i energia producentów. Z narodu podbitego stają się narodem podbijającym. Obudzony imperializm poszerza terytorium państwa, rozprzestrzenia swoją dynamikę, tworzy dochód. Imperializm jest przestrzenią przemienioną przez pracę w bogactwo.

Wszystko jest albo organizmem i żyje, albo go nie ma. Prawda jest organizmem, i rząd, i moralność, i cywilizacja. Wszystko żyje, wszystko musi mieć swój rytm. Rodzą się nowe organizmy w bólu i w męce, w wojnie. Stare i słabe giną. Takie jest prawo natury. Wszystko rośnie, wszystko jest jak gdyby w biegu od małego do dużego, wszystko walczy poddane wiekuistemu tchnieniu przyrody.

I — tu zastanówmy się nad filozofią rzeczy: wszystko zmierza do śmierci i spokoju. Wojna do ciszy, dynamika do statyki, imperializm do *pacem romanam*, walka klas do przyszłego ładu społecznego, bogacenie się do dostatku i dosytu. Czyli do śmierci. Ale po to, żeby się nowe rodziło, żeby znowu inny powstawał świat, pęd, dynamika, produkcja. Żeby grał nowy marsz Corradiniego.

P A X A M E R I C A N A

Rzym starożytny prowadził wojny, dopóki nie rozbroił wszystkich swoich przeciwników i nie opanował świata. Wtedy dopiero nastał i utrwalił się pokój w granicach wielkiego imperium rzymskiego, zaiste pokój rzymski, *pax romana*. Ale cóż to był za świat ówczesny? „Zagłębienie“ śródziemnomorskie i trochę Europy Zachodniej z wiatrem od Atlantyku. Mikrokosmos. Podczas gdy dzisiaj huczą nam oceany całej kuli ziemskiej, a lądy grożą zderzeniem i zagładą ras. Walka tytanów — dosłownie wisi w powietrzu, albowiem rozegra się ostatecznie w grzmocie eskadr lotniczych i mgłę morderczych gazów, które zatrują i zniszczą wszystko, co tylko żyje na ziemi tak, że nie będzie chyba nad kim panować.

Tej straszliwej perspektywie można przeciwstawić albo ideę pacyfizmu, albo organizację siły. Idea pacyfizmu jest środkiem wewnętrznym i nasennym. Nie znamy dotąd przykładu, by naród zażywający tego środka doczekał się innego skutku niż rozbrojenie, niewola i śmierć. Organizacja siły wymaga natomiast, by każde państwo zwiększało swój potencjał w trzech dziedzinach: wewnętrznego życia człowieka, ustroju zbiorowiska i produkcji. By naród stawał się samowystarczalnym, zwartym i moralnym obozem warownym. By duch ludzki chowany był w blasku krzyża i miecza. Georges Clemenceau, „stary tygrys“ Francji, mawiał z właściwym mu cynizmem: „Nie opowiadajcie mi bajeczek o triumfie sprawiedliwości i prawa, bo nie prawo i sprawie-

dliwość decydują na tym padole, lecz zorganizowana i planowo kierowana siła". Cynizm człowieka, który dał Francji zwycięstwo, był w rzeczywistości brutalną prawdomównością i jasnowidztwem politycznym.

Wszelkie porozumienia międzynarodowe o tyle tylko mają sens, o ile odpowiadają rzeczywistości, nie zaś urojeniom, choćby najszlachetniejszym. Innymi słowy, o ile prowadzą do organizowania siły jako realnej gwarancji bezpieczeństwa. Z tego punktu widzenia musi być rozpatrywana także Liga Narodów w Genewie, jej racja bytu, jej znaczenie. Tymbardziej, że powstaje oto groźny rywal — pakt organizacji pokoju Ameryki Północnej i Południowej. *Pax americana*.

W dn. 1 grudnia r. 1936 rozpoczęły się w stolicy Argentyny, w Buenos Aires, obrady konferencji panamerykańskiej przy udziale 21 republik ładu zachodniego. Przybycie prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Roosevelta, wyglądało na wjazd prawdziwego triumfatora. Bożyszczę mas, bohater, żywy sztandar jedności panamerykańskiej. W tym niezwykłym charakterze miał prawo wydać orędzie do świata, które właśnie brzmi jak wyzwanie rzucone starej, roztrzęsionej, wulkanicznej Europie.

Zbroją się wszyscy — głosi orędzie Roosevelta — a niektórzy nawet twierdzą, że jest to najlepszy sposób zapewnienia pracy bezrobotnym. Miliony otrzymują chleb za fabrykowanie śmierci dla milionów. Obłąd na tym polega, że w gruncie rzeczy tego rodzaju produkcja nie prowadzi do niczego, ponieważ nie wytwarza w zdrowym tego słowa znaczeniu produktów, nie zwiększa liczby konsumentów, nie daje wyników trwałych. Owszem, prowadzi do jednego: do ruiny i klęski. Wojna nie kosztuje mniej niż pokój. Obłądowi temu winniśmy się sprzeciwić: rozumem, entuzjazmem, całym naszym instynktem życia. To są cechy oświeconej de-

mokracji. Schronem dla niej może być obecnie Ameryka. Stąd demokracja promieniuje na świat. Ale co stanowi jej bazę ideową? Duch chrześcijański. Ten duch ożywia ludy obu Ameryk. W tym duchu cała nadzieja i przyszłość świata.

Jak widzimy, orędzie zarysowuje dosyć wyraźnie czynną postawę Panameryki w obliczu Europy. Idzie z ideą reformy i przebudowy stosunków światowych. Zapowiada unię obu Ameryk, czyli zorganizowanie siły, mogącej kiedyś zdecydować co i jak ma być.

Poprzednia konferencja panamerykańska odbyła się w stolicy Urugwaju w Montevideo, w 1933 r. Ustalono wówczas wspólny znak porozumienia obu Ameryk, sztandar panamerykański: trzy krzyże na tle wschodzącego słońca. Symbol idei, która stamtąd wschodząc ma siłę promieniowania na nas w kierunku reformy i przebudowy na zasadzie chrześcijańskiej. Coś w rodzaju umiarkowanej rewolucji rooseveltowskiej w Stanach Zjedoczonych. A jednocześnie z tym montaż takiej potęgi, że prawdopodobnie nie pozostanie Europie nic innego, jak tylko się ugiąć. I czy tylko Europie?... Wizja Ameryki panującej w obu od siebie kierunkach — na zachód i wschód, może się zrealizować prędzej niż przypuszczamy.

Konferencja panamerykańska w Buenos Aires posiada olbrzymie znaczenie w grze interesów pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Ameryką łacińską. Nie tylko z tego względu, że owocem narad stał się pakt organizacji pokoju. Ale po pierwsze dlatego, że posunięta została o krok dalej unifikacja tego kolosalnego lądu. Powtóre zaś, że stworzono — o czym się zresztą wcale nie mówiło — konkurencję dla Ligi Narodów w Genewie. Genewa traci możliwości wtrącania się w sprawy amerykańskie. O wszystkim decydować będzie Nowy Jork i Buenos Aires. Głos tego porozumienia nabiera tak wielkiej wagi, że zaciąży nad konfliktami w

Azji i w Europie. Genewa traci swą wyłączność i suwerenność, swój monopol na pacyfikację świata. Staje w obliczu nowej Ligi Narodów, która masą, liczbą i potencjałem przetrasta wielokrotnie najśmielsze marzenia Europejczyka.

Ideologiem amerykańskiej Ligi Narodów jest niewątpliwie Roosevelt, duszą i motorem — Carlos Saavedra Lamas, argentyński minister spraw zagranicznych. Wielka ambicja polityczna, szerokie horyzonty, sprytna inteligencja. Spółka obu tych mężów stanu ma szansę, że uda się przynajmniej w części to, co zamierzali. A przecież nie chodzi o rzeczy małe. Miarę rozmachu może dać dopiero jakieś takie pojęcie o rozmiarach państw leżących pomiędzy obu oceanami — Atlantykiem i Pacyfikiem, oraz Ziemią Ognistą i Kanadą. To nie są republiki lilipucie, jak sobie nieświadomi wyobrażają. Brazylia równa się całej Europie. Peru — prawie cztery razy takie jak Polska. Argentyna to 3 miliony km². Małutki Urugwaj nie jest mniejszy od Italii. Meksyk mierzy niemal 2 miliony klm², czyli jest pięć razy większy od Polski. Do powyższych, nie wszystko jeszcze mówiących proporcji, dodajmy kolosalne bogactwa naturalne ziemi, oraz prężność nadzwyczajną i dynamikę tamtejszej ludności, złożonej przeważnie z elementu napływowego, z asów ryzyka i przedsiębiorczości. Konkurencja dla Ligi Narodów w Genewie urasta w takich okolicznościach do niebezpieczeństwa dla preponderancji europejskiej w polityce świata. A ze zmierzchem naszej Ligi Narodów na rzecz panamerykańskiej zbliża się schyłek Europy.

IDEA BOLIVARA. Już sto lat temu ktoś miał myśl związku panamerykańskiego. Tym kimś był Szymon Bolivar, oswobodziciel Wenezueli, Kolumbii i Peru a pośrednio i Boliwii z pod jarzma hiszpańskiego. W 1827 r. zwołał on do Panamy kongres świeżo uformowanych niepodległych republik

Ameryki Łatyńskiej. Chodziło o to, żeby powstało coś w rodzaju unii międzypaństwowej, porozumienia i zbliżenia, dysponującego siłą, wielkością i splendorem. Myśl była wielka, nawet stanowczo za wielka w stosunku do rozumu lokalnych mężów stanu i dlatego nie doprowadziła do niczego. Wielkość rozpełzła się. Unia wymarzona przez Bolivara teraz dopiero poczyną torować sobie drogę w umysłach ludzi zainteresowanych. Idea potęgi stanęła na drodze wypełnienia w ustalonym akurat pakcie organizacji pokoju panamerykańskiego. Hasło paktu: nikt nie ma prawa wtrącać się do nas, Ameryka to my, niech żyje doktryna Monroëgo!... Ale przez to — dopowiadamy — tym łatwiej będzie rzucić zunifikowaną potęgę na szalę zdarzeń i zatargów światowych. Ameryka mówi. Ameryka czyni.

Myśl Bolivara okazała się wiekuistą, wspaniałą ideą. Geniusz wojskowy był równocześnie geniuszem politycznym. Marzenie o największej potędze świata było nie taką utopią, jakby się zdawało. Bolivar poprostu odgadł przeznaczenie Ameryki, wyczuł jej rolę, spadkobiercom politycznym w spuściznie pozostawił wypełnienie swego testamentu.

Piękna, niezwykła była to postać pod każdym względem. Unamuno nazywa go Don Kichotem. W znaczeniu oczywiście rycerskim. Historia mianowała go Washingtonem Ameryki Południowej, dzieje wojskowości — Hannibalem za błyskawiczność w marszach i atakach i za wierność w służbie. Komuż on służył? Podobnie jak Kościuszko, Bolivar służył wolności. Pod tym względem nosił w sobie ducha rewolucyjnego, bezinteresowność ponad wszelkie wyobrażenie, niezłomność iście legendarna. Nie ugięły go niepowodzenia wielokrotne; niewdzięczność ludów, które czyn Bolivara wyzwalał i uszczęśliwiał; trudy nadludzkie i przeszkody. Mógł o sobie z całą słuszością powiedzieć na łożu śmierci, że „Jezus Chrystus, Don Kichot i Bolivar byli wielkimi pasterza-

mi". Prowadzili bowiem ludzkość w pewnym kierunku, kiedy ma głos idea, tudzież sumienie i serce człowieka. A więc siła oparta na zasadzie chrześcijańskiej, na trzech krzyżach ze sztandaru panamerykańskiego.

RENEZANS ZDOBYWCÓW ŚWIATA. Nie sama liczba decyduje. Nie terytorium waży w grze o świat. Raczej należałoby zwrócić uwagę na walor i treść, na moc wewnętrzną, na źródło energii i pędu. Podejście z tej strony do zagadnienia nasuwa nam pewne wątpliwości, czy aby nie przesadzamy znaczenia paktu amerykańskiego, czy pax americana posiada nie w koniunkturze, lecz w samej sobie wolę mocy. Przecież Hispano - Ameryka to w masie jeszcze barbarzyństwo, mieszanina ras nie stopionych dostatecznie w tyglu dziejów, nie przeszkolonych jeszcze historycznie, nie wypróbowanych w działaniu zbiorowym.

Wobec tych obaw niech przemówi teraźniejszość i przeszłość zamierzchła. Otóż teraźniejszość centralnej i południowej Ameryki mogłaby służyć dla nas, starych Europejczyków, przykładem, w jaki sposób w zlepku najrozmaitszych elementów imigrujących tworzy się szkołę żywego patriotyzmu. Młody Urugwajczyk np. syn Niemca, Polaka lub Włocha, da się chętnie porąbać, pójdzie na ofiary, poświęci się dla swej nowej ojczyzny. Bez wahania. A co za ambicja narodowa?! Jaka duma?!...

Przeszłość? Mój Boże, nie wygasa bez śladu i echa, to co ongi było tworzywem historii. Hiszpański duch, charakter żołnierski i zakonny, impet zdobywców z XVI-go wieku. Balboa znalazłszy się po raz pierwszy na wybrzeżu Pacyfiku, obejmuje symbolicznie ocean w posiadanie. Wchodzi do wody z mieczem w prawej dłoni i krzyżem w lewej. Krzyż i miecz były symbolem marszu Hiszpanii na Amerykę, na Indie Zachodnie, jak się wówczas nazywało. Krzyż i miecz

wycisną swe piętno na całym życiu nowego kontynentu. Krzyż i miecz jako znaki wartości i skłonności wiekuistych przedarły się poprzez stulecia, poprzez potop krwi, krzywd i nadużyć, skandali, łupiestw i zbrodni braci Pizzarów, Corteza, Almagra, Valdivii czy Balboi, — słowem wszystkich konki-
stadorów osławionych i obciążonych klątwą. Ale krzyż i miecz stanowiły również godło służby Hernanda de Soto i Bartłomieja Las Casas, rycerzy bez skazy, obrońców chlubnie zapisanych na kartach historii tak obficie poplamionej krwią. Godło krzyża i miecza w ręku żołdaków i zbójów, w ręku Apostołów i Bolivarów, w ręku dobrych i złych, wszędzie — musiało pozostawić coś niezatartego w charakterze ludności, coś kiełkującego w tradycji i kulturze, coś co zdolne jest odżyć w nowym blasku. Odrodzenie idei odradza ludzi. Możliwy przeto jest pod sztandarem panamerykańskim resenans zdobywców. A wtedy pax americana rozpoczyna swój marsz, swój podbój świata.

CHŁOP — KATOLIK — NACJONALISTA

Zdarza się niekiedy zadziwiająca zbieżność w myśleniu u ludzi zamieszkających daleko od siebie i nie spotykających się od długiego czasu. Jak gdyby ta sama idea zakwitła naraż i tam i tu... Tak było ze mną.

Chodziłem pod urokiem pewnej natarczywej koncepcji co do źródeł nacjonalizmu polskiego, przy czym przychodziły mi na myśl stale takie nazwiska, jak: Piłsudski i Brzozowski i równocześnie uparte pytanie: dlaczego nowy nacjonalizm polski poczyną się w sferze radykalnych porywów i czynnej rewolucji. I nagle przywidziało mi się, że wpadłbym może na trop rozwidniający i oświecający, gdybym mógł w tym względzie zestawić bliżej i porównać Stanisława Wyspiańskiego z Karolem Péguy. Jeden w Polsce drugi we Francji — niecili przez dzieło swe sztukę heroizmu życiowego. Szukali bohaterstwa, Zwiastowali ideę narodu walczącego.

Wtem ni z tego ni z owego, bez żadnych uprzedzeń, otrzymuję przesyłkę z Paryża. Mała książeczka pod tytułem, który mnie uroczył oddawna: „Charles Péguy et Stanisław Wyspiański, deux poètes de l'héroïsme“ (Editions Victor Attinger, str. 64). Napisał Edward Krakowski, autor wielu cennych prac z dziedziny intuicjonizmu, uczeń Bergsona, zresztą mój przyjaciel. Na tym miejscu składam mu podziękowanie serdeczne za to, że temat dla mnie pociągający nieodparcie, ale ciągle jeszcze mgławicowy i trudny, w znacznej mierze rozwidnił i oświecił.

CHŁOPSKI TON. Zastanawiający jest w twórczości Wyspiańskiego nie tyle uparty i zawzięty powrót do ziemi, ile związany z tym mocny, ambitny chłopski ton. Król Bolesław Śmiały z dramatu chodzi w sukmanie krakowskiej. W ornamencie dekoracyjnym i w stylu Wyspiańskiego jako malarza powtarza się wciąż wzór ludowy. W formie teatru, w podejściu do sztuki w ogóle, w jestestwie swoim poeta wydzwiga chłopskość na szczyt, w niej widzi walor i treść, w niej rdzeń i zasadę narodu. Ziemiański syn przeistacza samego siebie, niby tworzywo artystyczne, w syna chłopskiego.

A co u Wyspiańskiego było powrotem, to u Karola Péguy — stanem naturalnym. „Nie jestem, powiada, inteligentem, który raczy schodzić i zniżać się do ludu, jestem sam z ludu... Wystarczy popatrzeć na mnie... Wszystko we mnie i wszystko dokoła mnie czyni ze mnie chłopca... Nie umiałem nigdy zasiąść w fotelu, poprostu dla tego że nie umiem. Najbardziej odpowiada mi dobry twardy stółek“...

Charles Péguy urodził się w 1873 r. jako syn biednego drwala. Stypendium umożliwiło mu studia średnie i wyższe. Życie dojrzałe rozpoczyna oczywiście od radykalizmu, rzecz prosta takiego jaki wówczas był: pod znakiem socjalizmu. W 1900 r. zakłada sławny swój dwutygodnik „Cahier de la Quinzaine“, skąd promieniuje na elitę umysłową Francji przedwojennej i skupia wspaniałą ekipę różnorodnych, ale jakże świetnych głów, że wymienię tylko Sorela, Barrèsa i Maurrasa. Péguy czarował swoją postawą życiową, której wyraz dawał w sposób wybitnie aktywny i bezkompromisowy w sztuce i w działaniu. On chłopski syn... Wierny swojej idei pozostał aż do śmierci, która spotkała go jak bohatera na polach bitwy nad Marną w dn. 5 września 1914 r.

Jego idea? To trudno nawet wypowiedzieć, bo w nim, podobnie jak u Wyspiańskiego, znaczenie ma raczej nastawie-

nie wewnętrzne, wola, to co Sorel określał słowem — mit. Przysposobienie bohaterskie. A więc pewne punkty podstawowe światopoglądu rosnącego z wiary. Najpierw *ojczyzna*, w ujęciu jednak zdecydowanie chłopskim. A więc ziemia. Związek organiczny z ojczyzną to związek z ziemią rodzinną. Jak niemal mistycznie określił polski nacjonalista rewolucyjny u schyłku XVIII w., kanonik Franciszek Jezierski: „Ziemia moja jest częścią mego jestestwa. I gdyby przyrodozienie cofnęło się z swych granic, a ja bym ścisnął garść ziemi ojczystej, wytrysnęłaby z niej krew ta sama, która płynie w żyłach moich“*)

Dalej punkt drugi — *dyscyplina wewnętrzna* człowieka zawarta w religii katolickiej, skąd stosunek do świata rzeczywistości oraz program przebudowy społecznej i gospodarczej życia zbiorowego. I znowu — po katolicku i po chłopsku, to znaczy skromnie i uczciwie, na elementarnych zasadach rozsądku i wiary. Wreszcie punkt trzeci — *heroizm*. Człowiek walczy w imię honoru. O pion moralny. O utrzymanie linii, która musi iść od' jego małości ludzkiej ku wielkości Boga. Przez poświęcenie, a choćby nawet przez śmierć.

Bohaterska śmierć Karola Péguy była niejako godnym finałem jego żywej, bo zaiste przeżywanej filozofii. Oto zwięzły opis ostatnich chwil tego chłopskiego syna wyjęty z książki Krakowskiego.

„Kapitan Guérin i drugi porucznik de la Cornillière zostali zabici na miejscu. Padnij — ryczy Péguy do żołnierzy: ogień pączkami! Ale sam stoi i z lornetką w ręku kieruje ogniem. Bohater w tym piekle. Strzelamy jak wściekli, czar ni od prochu, karabin parzy nam palce. Co chwila krzyki, jęki, rżenie, to koledzy trafieni obok nas... Péguy wciąż

*) Cytuję z Wacława Berenta „Diogenes w kontuszu“.

stoi pomimo naszych wołań — kładźcie się! Istne szaleństwo odwagi... Przeważnie nie mamy już tornistrów, pogubiliśmy je w tyralierce, a tornister w takiej chwili to cenna osłona. A głos porucznika słychać ciągle: strzelać! strzelać! Niektórzy się skarżą: nie mamy, panie poruczniku, tornistrów, wszystkich nas szlag trafi. — To nic, krzyczy Péguy: ja też nie mam, strzelać, strzelać bez przerwy! I stoi tak niby wyzwanie w obliczu karabinów maszynowych i zdaje się wołać o śmierć, którą był opiewał w swoich wierszach. W tej chwili mordercza kula dziurawi mu głowę, rozwała to bohaterkie szlachetne czoło... Padł bez jęku z zamkniętą ostatecznie w oczach wizją cofającego się nieprzyjaciela, a więc jak gdyby z wizją rychłego zwycięstwa. Zawsze wierzył w zwycięstwo“. W rozkazie wojskowym napisano o ś. p. Karolu Péguy co następuje: „Oficer o wielkiej wartości moralnej. Dał dowód niepospolitego męstwa w sytuacjach bardzo krytycznych. Poległ na czele kompanii, którą prowadził do ataku“.

O takiej śmierci marzył niewątpliwie Wyspiański, apostoł narodu walczącego o wolność. Również żeby czynem dać świadectwo wierze, a śmiercią dać świadectwo życiu. Żeby krew jestestwa swego połączyć z krwią ziemi.

POLSKA IDĄCA... Istnieje głębokie i dalekosiężne podobieństwo nie tylko pomiędzy Stanisławem Wyspiańskim a Korolem Péguy, lecz także pomiędzy mitem jednego w Polsce a mitem drugiego we Francji. Paralela idei i dróg. Chłopskość, dyscyplina wewnętrzna, heroizm. Namiętność patriotyczna niby ziemia krwawiąca... Bóg realizowany w formach życia codziennego, czyli katolicyzm nie jedynie w praktykach religijnych, ale w kulturze człowieka aktywnego, który walczy o nową wizję świata. Katedra na Wawelu obok katedry w Reims. Albowiem i tu, i tam, i wszędzie na

jednej linii leżą trzy fundamentalne zasady życia zbiorowego: chłop — katolik — nacjonalista.

Achilles Wyspiańskiego ma chłopski strój i chłopską treść wewnętrzną. I taką była kultura Achajów, rdzennie ludowa, chłopska. I dopóki była taką, zachowała samoczynną zdolność odradzania się i wiekuistej żywotności. Aż przyszli do Achajów — achajął i achajął i podminowali najpierw po swojemu psychosferę narodową, a potem już łatwo rozsadzili naród od środka. To groźne memento dla nas. Błogosławieństwem zaś nie groźbą jest wszelki ruch radykalny w Polsce, o ile opierać się nie przestanie na tych trzech fundamentalnych zasadach naszego życia zbiorowego: chłop — katolik — nacjonalista.

Marszałek Foch był przykładnym katolikiem, co nie przeszkodziło mu bynajmniej, że stał się bohaterem narodowym. Charle Péguy, wcale nie w mniejszej skali ducha, tak samo świetnie ilustruje, on — chłopski syn, trójwymiarową zasadę życia zbiorowego: chłop — katolik — nacjonalista. Właśnie trójwymiarową, to jest idealnie uzupełniającą się, żywą, zwycięską...

Radykalizm w Polsce, rozniecony swego czasu od ogni wielkiej rewolucji francuskiej, podjęty został i zrealizowany przez kogo? Przez drobną szlachtę, przez oficerów i żołnierzy, przez legionistów i powstańców. Stąd nacjonalizm każdej istotnie z ducha polskiego poczętej rewolucji społecznej w Polsce. Stąd związek organiczny z ziemią ojczystą. Stąd jej ludowość i chłopskość. Stąd jej prymat ducha na materią.

I dlatego we Francji w ruchu narodowym taką doniosłą rolę odegrał „péguizm“, który równa się trójwymiarowej zasadzie: chłop — katolik — nacjonalista. I dlatego w Polsce nowy nacjonalizm poczyną się nie z odruchu obrony i zachowania tego co jest, lecz z porywów radykalnej i czynnej rewolucyjności, którą określilibyśmy największym w Pol-

sce słowem — Piłsudski. Albo inaczej — „piłsudskizm“, jeżeli tym mianem ogarniemy prekursorów ruchu, jak Mickiewicz, Mochnacki, Brzozowski, Szczepanowski, Wyspiański i inni.

I dlatego marzy mi się Polska idąca jako chłopska — katolicka — nacjonalistyczna.

NARÓD IDZIE Z NAMI

Ciekawa książka. Książka z której bucha płomień entuzjazmu. I nauka na żywym przykładzie, jak odważny i myślący działacz robotniczy sam od bałamuctwa III Międzynarodówki komunistycznej dochodzi do wycucia i zrozumienia ruchu narodowego we własnym państwie.

Jacques Doriot, ten sam, o którym już pisaaliśmy, że zde maskował Sowiety, zdarł maskę obrońcy proletariatu z twarzy czerwonego cara i despoty Stalina, wszystkich zaś jego sługusów w różnych krajach nazwał lokajami Moskwy, — wydał książkę p. t. „Francja z nami“ („La France avec nous!“ Ernest Flammarion editeur, Paris 1937, str. 142).

Dziełko to pisane jakby krwią i ogniem, z najgłębszego przekonania autora i twórcy nowego ruchu robotniczego we Francji, stanowi najlepszą propagandę i jednocześnie program t. zw. „doriotystów“, skupiających się w założonej świeżo Partii Ludowej Francuskiej (po francusku P. P. F., Parti Populaire Français).

Co nas w tej książce i w tej robocie żywej uderza i cieszy, to umotywowanie i sprecyzowanie dokładne dwóch faktów:

1) że program nowego nacjonalizmu przeciwstawia się kategorycznie nie tylko komunizmowi, ale i konserwatyzmowi społecznemu,

i 2) że wobec tego podstawą nowego nacjonalizmu nie są warstwy zastoju, wsteczństwa i kołtuństwa, tylko ludzie odwagi i postępu, ludzie pracy, a więc i robotnicy.

Wobec tych dwóch faktów *nowy nacjonalizm utożsamia się ze sprawiedliwością społeczną, staje się ideą zbawczą i wiarą proletariatu.*

JACQUES DORIOT. Od dwudziestu przeszło lat Jacques Doriot mieszka i działa w St. Denis pod Paryżem, w gminie podmiejskiej, na przedmieściu stolicy, w ruchliwym ośrodku przemysłu metalowego i chemicznego. Przybył tu jednak ze wsi jako syn chłopca, który wcześniej jeszcze porzucił uprawę buraków dla pracy w fabryce. Urodzony w r. 1898 od 17-go roku życia zaczyna praktykę ślusarską, a jednocześnie wchłania go niemal odrazu życie polityczne regionu, oczywiście socjalizm. Zmobilizowany i powołany pod broń w r. 1917 bije się na froncie, razem z pułkiem odbywa wędrowkę po Europie, bo maszeruje na Węgry w okresie rewolucji, do Jugosławii, kiedy d'Annunzio walczy o Fiume, i do Albanii w momencie zatargów z Italią. Po powrocie do ojczyzny już jest zdecydowanym komunistą. Jeździ jako delegat partii na kongresy do Niemiec i do Moskwy. Zwłaszcza do Moskwy, gdzie zwraca na siebie uwagę Lenina i Stalina gwałtownością wystąpień. Energia i samokształcenie wysuwają go pomału na czoło działaczy komunistycznych we Francji. Staje w ekipie przywódców partyjnych. Zadzierają z policją. Zostaje wybrany do parlamentu. Zyskuje opinię bojowego i sztandarowego komunisty.

Ale jak wszyscy ludzie naszej epoki, dziecko duchowe w. XX, pożąda władzy żywej, bezpośredniego oddziaływania na bieg zdarzeń, pracy realnej w masach. Przechodzi w wyborach na wójta gminy St. Denis (po francusku: na mera). I tutaj, w samorządzie, wyczynia istne cuda. Usprawnia biuro. Powołuje do życia t. zw. „aktyw robotniczy“, za pośrednictwem którego cała ludność interesuje się sprawami samorządu i bierze udział w pracach Rady Gminnej.

Śmiałe, zrywające z rutyną inowacje Doriota mają na celu rzeczy konkretne. Organizuje efektywną pomoc dla bezrobotnych i ich rodzin, rozdawnictwo chleba, mięsa, gorącej zupy, obuwia, odzieży i zasiłków. Tworzy żłobki i kantyny dla dzieci i matek. Stwarza ułatwienia budowlane dla najbiedniejszych, walcząc skutecznie z bezdomnością. Zapewnia biedakom bezpłatny komfort ludzki w postaci fryzjera i kąpieli. A dalej: pomoc lekarska, dokarmianie w szkołach, kolonie letnie, kultura fizyczna i duchowa, czytelnie, biblioteki, muzea, sport. I wszystko to w ramach budżetu zwykłego, kosztem wysiłku, oszczędności i pracy nadludzkiej bez przesady.

Żywa działalność społeczna, pogłębienie studiów, wnikliwa obserwacja stosunków panujących w Sowietach i we Francji w łonie własnej partii — doprowadzają go do tak głębokich i istotnych przemian wewnętrznych, że ten bojowy i sztandarowy komunista odchodzi stopniowo od idei, którą wyznawał, i zrywa z III Międzynarodówką. W 1934 r. następuje oficjalne wydalenie Doriota ze stronnictwa.

Szuka swego pionu ideowego, lecz ciągle jeszcze go nie znajduje. Głosi tymczasem zgodność z Sowietami w ogólnych liniach, co do dyrektyw zasadniczych na świat, przy wyraźnej niezależności Francji jako państwa. Czyli innymi słowy: niepodległość polityczną, w kwestiach zaś społecznych komunizm. Wygląda to naturalnie bardzo mgliście, lecz przypomina narodowy socjalizm, albo jeśli kto woli — narodowy komunizm.

„PEPEEF“. To skrót nazwy nowego stronnictwa zwolenników Doriota, czyli „doriotystów“. Pierwsze organizacyjne zgromadzenie partii przy udziale delegatów z wielu już stron Francji odbyło się w St. Denis w połowie 1936 r. Propagandę poprowadzono w takim tempie i przy doborze ta-

kich sił, że w ciągu 6 miesięcy „Pepeef“ potrafiła zmobilizować 100.000 ludzi. Trochę z lewicy, trochę z prawicy, przeważnie zaś element niezdecydowany i bierny, „dziki“ politycznie, którego zawsze najwięcej w każdym kraju. Doriot umiał do tego elementu dotrzeć, trafić mu do przekonania i do serca, obudzić drzemiące poczucie obywatelskie oraz wiarę w moc zorganizowanego świata pracy. Zgłaszają się bez przerwy, pobór bowiem trwa, członkowie różnych szkół ideowych, ofiary kapitalizmu, wrogowie obcej okupacji wewnętrznej, zwolennicy siły i potęgi narodu, proletariusze wszelkich zawodów i regionów. Wiece „Pepeef“ gromadzą olbrzymie ilości uczestników, do 30 tysięcy. Przemówienia wygłasza się w megafony. Powiewają sztandary. Ręce wyciągają się do uścisku solidarności. Rozlega się potężny krzyk tłumów: niech żyje Doriot!

Program stronnictwa „Pepeef“ został już wyraźnie sformułowany. W paru słowach możnaby o nim rzec, iż jest to *nowy nacjonalizm na podstawie daleko posuniętego radykalizmu społecznego, idącego mocnym krokiem ku przebudowie gospodarczej i społecznej całego kraju.*

„Pepeef“ wydaje pismo p. t. „Wyzwolenie narodowe“ („l'Emancipation Nationale“), którego nakład urósł wnet do niespotykanej u nas, wręcz bajecznej cyfry kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Pismo i partia tworzą ruch zaiste imponujący, o tak poważnej sile atrakcyjnej, że zgłasza się do współpracy z Doriotem szereg ludzi wybitnych, sławnych pisarzy i publicystów, imponujących głów, ciekawych intelektów. A to potęguje jeszcze bardziej promieniowanie i zasięg ruchu na masy. Ludzi uśpionych porywa. Aktywizuje żywioł najcenniejszy w takich wypadkach — młodzież.

Na czym polega tajemnica powodzenia Doriota w sensie politycznym? Na tym, że — jak sam powiada o sobie — kiedy wszyscy inni usypiali sumienie narodowe, gasili am-

bicję i obniżali prestiż ojczyzny, on to wszystko budził, rozniecał i podnosił. Komunizm usiłował skolonizować Francję i podporządkować ją rozkazom Moskwy, — Doriot zapelował do wrodzonej każdemu człowiekowi dumy narodowej. Wołał: Francuzi obudźcie się jako Francuzi, zanim jeszcze obcy nie zdążył was wziąć pod swój ciężki but! Obudźcie się czym prędzej, żeby nie było za późno!...

Doriot wykazał czarno na białym, udowodnił z dokumentami w rękę, że komunizm zmierza do zdobycia władzy drogą zamachu i opanowania siłą ośrodków dyspozycji w państwie, po uprzednim sparaliżowaniu pogotowia obronnego i poczucia narodowego obywateli. W danej chwili komunizm cofa się pozornie z dawnych swoich pozycji programu maksymalistycznego, tym bardziej jednak i tym konspiracyjniej szykuje się do skoku w postaci przyjemniejszej i miłszej dla oka europejskiego, w postaci wolności demokratycznej, obrony praw człowieka, humanitaryzmu, pacyfizmu i t. p. sztuczek, chwytów i oszustw agitacyjnych.

Na tę nową taktykę komunizmu może być jedna tylko odpowiedź: nie damy się uwieść! Z chwilą gdyby komunizm zdecydował się na jawne wystąpienie, na akcję bezpośrednią i na zamach, znajdziemy się bez wahania na froncie walki przeciw komunizmowi a łącznie z każdym i ze wszystkimi, z prawicą i z lewicą, z miastem i z wsią, z wojskiem i z cywilami, jako Front Wolności przeciw próbie dyktatury bolszewickiej, jako Front Narodowy przeciwko Frontowi Ludowemu. Siłę przeciwstawimy sile. W imię niepodległości i potęgi własnego państwa, albowiem *bez własnego państwa proletariat nie może mieć dla siebie żadnej przyszłości, ani nadziei, ani poprawy.*

Żyjemy w epoce, w której narody budzą się i otrząsają z siebie okupację obcą jak również obcy wpływ. Od odrodzenia mocy narodowej, od powiększonego bogactwa

narodowego zależy poprawa losu ludzi pracujących. Trzeba mieć siłę własną i politykę naprawdę niezależną, słowem wykazać konkretnie swój własny zdecydowany charakter, aby zdobyć uznanie i szacunek u obcych. Bez tego będziemy w pogardzie. Bez tego pozostaniemy niewolnikami i nędzarzami, jako czyjeś popychadła. W tych sprawach orientuje się dzisiaj należycie najprostszy człowiek.

Tajemnica powodzenia Doriota w sensie politycznym na tym polega, że takie oto prawdy unaocznił masom robotniczym.

Z punktu widzenia gospodarczego program Doriota mieści w sobie tak dużo zdrowego sensu i jest taki prosty, że aż przez to staje się w swej prostocie niemal genialny.

Środki normalne dotychczasowej ekonomii liberalnej nie wystarczają na opanowanie kryzysu. Więc co? Marx powiada, że socjalizm. Lecz socjalizm zbankrutował. System kapitalistyczny - burżuazyjny oparł się na wyzysku. Socjalizm zapowiedział, że jak tylko opanuje władzę, zaraz stworzy raj, usunie bowiem eksploatację człowieka. Spójrzcie na kraj, gdzie panuje dyktatura proletariacka, na Rosję Sowiecką. Pozostał ucisk człowieka przez człowieka. Pozostał system wyzysku. Wyzyskiem tym tuczy się jak zawsze zgraja uprzywilejowanych, z tą jedynie różnicą, że w systemie kapitalistycznym byli oni fabrykantami, podczas gdy w Rosji Sowieckiej są urzędnikami. Fakt pozostał faktem. Zamiast dawnej burżuazji żyje z pracy i wyzysku proletariatu 5 milionów biurokratów. Czy to ma być pociechą i rajem?...

W obliczu liberalizmu, który załamał się, w obliczu socjalizmu, który zbankrutował, co pozostaje? Jakie wyjście z kryzysu? Jaka przebudowa stosunków?...

SIŁA NARODU. Woła Doriot: stwórzmy siłę własnego narodu! Urządźmy imperium kolonialne! Francję na to

stać. Tam będziemy mieli zbyt, stamtąd zaś surowce. *Zorganizujemy gospodarkę niezależną, nacjonalistyczną*. Zamknijmy granice celne, nie kupujemy u obcych jak tylko to, czego absolutnie sami nie zdołamy wykonać. To zwiększy ruch gospodarczy, obrót, i zarobki. Anglia zrozumiała tę zasadę i zamknęła się razem z dominiami w całość możliwie samowystarczalną. Lepiej płacić drożej za własny towar, gdy się wie, że przez to zatrudnimy więcej rodaków.

Następnie w ramach państwa produkcja planowo kierowana. A więc reglamentacja? Owszem, lecz *nie narzucona z zewnątrz, administracyjnie*, tylko ustalana wewnętrznie przez producentów zorganizowanych w oddzielne związki zawodowe fabrykantów, robotników i techników.

Jak dotąd — nic specjalnie nowego nie widać w koncepcjach Doriota. Wszak o planowej gospodarce mówi i umiarkowany socjalizm, a taki plan De Mana w Belgii zawiera znacznie śmielsze rzuty w przyszłość.

Na to Doriot wysuwa najbardziej oryginalną część swego programu pod hasłem: *Maximum wolności i maximum organizacji*. I wypełnienie tego hasła ma dopiero stworzyć własną siłę narodu.

Kartelizacja przemysłu i rozwój monopolu zabezpieczyły kapitalizm przed niebezpieczeństwem ryzyka. Tym niemniej zysk pozostał. *Należy z powrotem powiązać zysk z ryzykiem*. Czyli zysk uprawnić i umoralnić. Gdzie ryzyko jest całkowite, całkowity zysk staje się własnością przedsiębiorcy. Gdzie ryzyko maleje, musi maleć i zysk. *Wprowadzić reglamentację zysku!* Z tego źródła powstawać będzie *fundusz socjalny*. Na co? Na opiekę społeczną, na rodzinę robotniczą, na budownictwo, na kulturę i komfort mas. Bravo! Na tworzenie nowych warsztatów, w których niewielki kapitał zostanie ożeniony z własnoręczną pracą przedsię-

biorcy. Proletariusz na tej drodze może się przekształcić w właściciela. Brawo! Na postęp techniczny zakładu przemysłowego po to, żeby ułatwić życie i pracę robotnikowi, żeby przy tej samej wydajności spadła ilość godzin pracy, żeby robotnik był zainteresowany w rozwoju i postępie technicznym „swego” przedsiębiorstwa. Brawo!!!

Oto zdaniem Dorioty — fundamentalna zasada przebudowy stosunków w dziedzinie jak dotąd najdrażliwszej — pomiędzy kapitalistą a robotnikiem, zasada wcale nie socjalistyczna, zasada nawskroś narodowa. Rząd każdy w interesie zbiorowiska, które reprezentuje, w interesie żywotności i siły własnego państwa musi iść na realizowanie tego a nie innego programu przebudowy socjalnej i gospodarczej.

Świat pracy myśli międzynarodowo i działa międzynarodowo poprostu dlatego, że ludziom tym nikt nie wskazał innej drogi i metody postępowania. Nikt nie pokazał radykalizmu narodowego, szczerzej życzliwości i efektywnej sprawiedliwości społecznej w ramach własnego państwa. Konserwatyzm społeczny, nie spełniając swoich obowiązków społecznych, okazał się nie tylko wrogiem robotnika, ale i wrogiem narodu, rozbił bowiem poczucie wspólnoty narodowej w masach. Zawdzięczając konserwatyzmowi społecznemu, robotnik rzuca się w objęcia międzynarodówki.

Nowy nacjonalizm wypowiada walkę i konserwatystom społecznym i socjalizmowi. Nowy nacjonalizm woła do was, ludzie pracy: nie będzie lewicy, nie będzie prawicy, nie będzie starych stronnictw, będą tylko *żołnierze narodu*, nacjonałiści i w tych samych osobach ludzie sprawiedliwości społecznej, zwolennicy radykalnej przebudowy stosunków w ojczyźnie.

Przeszłość należy do Was, przyszłość Wasza — w zjednoczeniu, od zjednoczenia mas zależy los ojczyzny.

Robotnicy, pracownicy, Polacy: „Dzięki Wam, przez Was, z Wami, dla Was — zwyciężymy“. Słowa są Doriota dla Francji. Możemy je wszakże przyjąć i zastosować do nas. Pod tym względem — naród idzie z nami! Z tą chwilą wszyscy robotnicy poczują się u siebie, we własnym domu, w narodzie.

REWOLUCJA NARODOWA

Zamykamy książkę, pytając, co dalej. Zatrzymaliśmy się bowiem jak gdyby na półmetku, w środku fermentu, w trakcie ruchu, który prowadzi do głębokich przeobrażeń aktualnej rzeczywistości świata. Można by jeszcze dużo pisać na ten temat, ale już dość. Wystarczy. Sprawa jasna. Wszędzie z prądów najbardziej sprzecznych wydobywa się na wierzch i walczy z tumultem zdarzeń i z chaosem myśli — człowiek swego narodu. Człowiek zbiorowy, rozpościerający się realnie, świadomością i działaniem w granicach własnego państwa. I jednocześnie człowiek wiekuisty, przeżywający emocjonalnie losy ojczyzny od zarania dziejów po dzień dzisiejszy. Taki człowiek budzi się w masach, staje się zjawiskiem obecnie powszechnym. Przez takiego człowieka naród prosi o głos i wypowiada się w dumnym poczuciu siły i wartości. Odzyskuje wiarę, potęguje energię i rozpiera ciasne gniazdo etniczne, bo nagle wszystkiego mu za mało. Poczut się zdobywcą na każdym polu, więc idzie i zdobywa. Drży w nim na dnie drapieżny instynkt zaborcy...

Żaden naród nie może żyć bez poczucia siły i wartości własnej, bez wiary i energii zdobywców. Przestaje istnieć z chwilą, gdy przerywa marsz ku wielkości. Traci poprostu powietrze, którym oddycha, zmienia swój klimat na obcy, a przez to zatracą się i upada. To powietrze, ten klimat niezbędny dla narodu, ten marsz ku wielkości narodowej — to **n a c j o n a l i z m**.

Na całym świecie daje on o sobie znać, objawia się

w takiej lub innej postaci, taką lub inną ideę panującą niesie na sztandarze i w rezultacie tworzy siłę własnego państwa. A w Polsce?...

Ustalmy tutaj parę elementarnych zasad myślenia i działania nacjonalistycznego, parę punktów, które nie wyczerpują wprawdzie całości problemu, otwierają jednak podejście do sprawy.

1. Nacjonalizm zaczyna się od krwi. Nie w sensie rasowym, tylko jako postawa bohatera, bunt orężny przeciwko okupacji obcej. Raczej śmierć niż niewola. Stąd szkołą nacjonalizmu musi być tradycja walk o niepodległość od insurekcji Tadeusza Kościuszki do Pierwszej Brygady Józefa Piłsudskiego i do r. 1920. Albowiem cała nasza istota, cała poezja energii narodowej, wyrażała się w czynie i w pieśni. Mogliśmy ulec, ale nigdy nie straciliśmy wiary w siebie. To też kochaliśmy poetów, konspirowaliśmy i robiliśmy rewolucję. Nacjonalizm, tracący kontakt z tamtą przelewaną krwią, stawałby się sztucznie wychuchanym kwiatem, teorią i książką, mitem niewolnika, nowoczesną Grecją na gruzach Akropolu. Nie ma i nie może być innego nacjonalizmu niż nacjonalizm „Virtuti Militari”.

2. Nacjonalizm obejmuje całe terytorium państwa, ściśle i dokładnie w tych granicach, które wywalczyliśmy nie dla kogo innego, tylko dla narodu polskiego. To są nasze granice etniczne, nie żadne kresy, nie jakiś zaczyn bratnich ludów. Rzeczą naszej ekspansji wewnętrznej i promieniowania jest takie nasycenie tych ziem polskością, ażeby pod tym względem nie było nigdy i nigdzie cienia wątpliwości. Przecież na tym ma polegać praca narodu, który nie cofa się, lecz ciągle musi iść naprzód, wcięż musi zdobywać i opanowywać. Koncepcja federa-

lizmu o tyle ma sens, o ile poszerza dotychczasowe granice i poza nimi, a nie u nas, wywołuje irredentę. W przeciwnym razie jest konceptem samobójczym.

3. Nacjonalizm uważa państwo za narzędzie narodu, za aparat, który ułatwia realizację celów narodowych w każdej dziedzinie życia. Rząd w Polsce musi być polski i przede wszystkim dla Polaków. Idealem naszego ustroju politycznego będzie nie Szwajcaria, lecz państwo narodowe. Polska naprawdę — polska.

4. Nacjonalizm nie służy specjalnie jakiejś teorii, czy doktrynie, czy systemowi gospodarczemu, ma bowiem najpierw na względzie gospodarkę czysto polską, dobrobyt Polaków, siłę i przewagę narodu polskiego. Dlatego pracuje nad wyzwoleniem Polski spod jarzma kapitału obcego i spod dyktanda wszystkich „krajowych cudzoziemców“. Nie możemy być urzędnikami i administratorami cudzej własności gospodarczej, nie może być polski minister — ministrantem cudzych dóbr.

5. Nacjonalizm wyrasta z wiary w człowieka i w człowieku widzi bazę i przyszłość ruchu narodowego. Człowiek zbiorowy i wiekuisty, człowiek w którym odzywa się naród... Oby takich ludzi było w Polsce najwięcej! Stąd powszechność obowiązków i powszechność praw, potrzeba i konieczność sprawiedliwości społecznej. Naród to masa ludzka świadoma, czynna, prężna i kulturalna, postępująca wyżej i wyżej. Siła zbiorowiska, sprawność aparatu, organizacja życia, zdobywczość w najszlachetniejszym jej znaczeniu, przez promieniowanie, — to wszystko winno być dziełem człowieka. A zatem otworzymy przed Polakami perspektywę i możliwości w przebudowie gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Nacjonalizm musi dbać o szczęście i dobrobyt mas, musi być radykal-

ny. Taki nacjonalizm jest właściwie ochrzczonym socjalizmem. Oczywiście, ze wszystkimi konsekwencjami chrztu w zakresie religii i doktryny chrześcijańskiej.

Oto jak musi być w Polsce, jeżeli Polska ma być silna, sprawiedliwa i polska. Powiemy nawet: jeżeli w ogóle ma być, może być tylko taka, w tym rozumieniu — nacjonalistyczna.

Ale do tego potrzeba zasadniczej zmiany pojęć, gruntownego przekształcenia wewnętrznego, oczyszczenia polityki polskiej od wszelkich naleciałości i zaśmieceń, przełamania wreszcie ram tradycyjnych ugrupowań i starych szkół myślenia. Prawdziwa rewolucja narodowa. Musi się ona dokonać najpierw w nas, poczym dokonamy jej na ziemiach Rzplitej w życiu człowieka, w strukturze społeczeństwa, narodu i państwa, w gospodarstwie, w kulturze i moralności. Prawdziwa rewolucja narodowa.



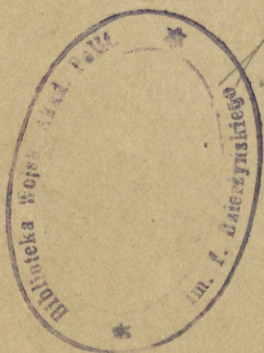
SPIS TREŚCI

<i>LUFCIK NA ŚWIAT</i>	5
GANGSTER W POLITYCE	9
DYKTATURA PROFESORÓW	15
FRANCUSKI DUCH	19
CHŁOP W PIŻAMIE	23
KIMONO I REWOLWER	30
PLAN DE MANA	37
CZWORAKI DUŃSKIE	45
POLEWKA Z KRWI	50
MISTYKA HITLERYZMU	56
MIT ŻOŁNIERZA	62
IDEA KORPORACJI	69
MARSZAŁEK W OCZACH ZACHODU	79
OTO JEST PRAWO ITALII...	86
FORUM MUSSOLINIEGO	92
EFEMERYDY FASZYZMU	99
KONSTYTUCJA PRACY	108
CZŁOWIEK WSPANIAŁY	113
CHRISTUS - REX	121
A PROPOS CHESTERTON...	127
REWOLUCJA ROOSEVELTA	131
FRONT LUDOWY	136
ŚMIERĆ BURŻUAZJI	142
POZDROWIENIE PIĘŚCIĄ	147
APOSTOŁOWIE NIERZĄDU	154
RZEŻ BRACISZKÓW	160
WIESZĄC WŁAŚCICIELI	166

WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH	173
WIARA PLOLETARIATU	179
REBELIA MAS	187
MIĘDZY Narodówka LOKAI	194
U PODSTAW ANTYSEMITYZMU	202
NOWA MYŚL KOLONIALNA	210
Z KIEPSKA PO WĘGERSKU	219
CZERWONY CHRZEŚCIANIN	226
SUMIENIE RADYKALNE	234
JEGO APOSTOLSKA MOŚĆ	244
CO POTRAFI ANGLIA	251
ANTYCHRYST PUKA DO DRZWI	258
MARSZ CORRADINIEGO	267
PAX AMERICANA	275
CHŁOP - KATOLIK - NACJONALISTA	282
NARÓD IDZIE Z NAMI	288
REWOLUCJA NARODOWA	297

BIBLIOGRAFIA

Książki, którymi się posługiwałem przy pisaniu, przeważnie wymieniam w tekście. Z czasopism czerpałem najwięcej materiałów i myśli, a często i tekstów, tłumacząc i przytaczając je wprost, żywcem bez podania źródła. Były to przede wszystkim: „Je suis partout“, „Lu“, „Esprit“.



13805



35039/
12.